www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 50 (988)
10-16.12.2018
Cena 6,80 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. LUDWIK STOMMA: NAIWNE RADY DLA POLSKIEJ LEWICY

PROF. LONGIN PASTUSIAK: BUSH W CZTERY OCZY Z JARUZELSKIM

DR BARBARA LABUDA: KOBIECA ŁAGODNOŚĆ W POLITYCE TO MIT

PROF. ANDRZEJ ELŻANOWSKI: BROŃMY KARPIA

„Strażnik" naszych pieniędzy

Adam Glapiński
prezes Narodowego Banku Polskiego

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

eprasa.pl

GALERIA AUTORSKA ANDRZEJA MLECZKI

sklep.mleczko.pl

KRAKÓW ul. św. Jana 14

WARSZAWA ul. Marszałkowska 140

www.mleczko.pl

eprasa.pl a838ec7ecc

CYTATY

DANIEL PASSENT,
komentator
Młodzież się laicyzmuje, ale państwo – wręcz przeciwnie.
„Polityka"

BARBARA KRAFFTÓWNA,
aktorka
W zasadzie wszystko jest marzeniem. Życie jest marzeniem.
„Twój Styl"

DAWID CELT,
mąż Agnieszki Radwańskiej
W tenisie kobiecym nie ma często logiki, ciężko szukać sensu, dlatego jest tak bardzo interesujący.
„Angora"

EUGENIUSZ KORIN,
reżyser
Najbardziej lubię pustą scenę i pustą widownię.
„Viva!"

CO ZROBIĆ, GDY NIE MOŻNA KUPIĆ PRZEGLĄDU?

Problemy Ruchu to wielki kłopot dla redakcji. Szukajcie nas w salonikach prasowych Kolportera, Garmond Press i Pol Perfectu, salonach Empik, sieci Auchan, Carrefour, E.Leclerc, na stacjach BP, Circle K.

Szczegóły na naszej stronie www.tygodnikprzeglad.pl i pod numerem 22 635 84 10 wew. 120.

Drodzy Czytelnicy,

Końcówkę roku mamy bardzo nerwową. Podobnie zresztą jak wszyscy wydawcy. Dobry kolportaż jest podstawą naszego działania. Nie wystarczy bowiem ciężka praca nad zawartością tygodnika ani jego wydrukowanie – PRZEGLĄD może później trafić do takiego kiosku, gdzie paczka gazet nie zostanie nawet rozpakowana. Bo np. sprzedawcy nie podobają się nasze poglądy. I tu jest miejsce na interwencję Czytelników. Kioskarz poinformowany, że nasz tygodnik będzie regularnie kupowany, MUSI go zamówić. Jeśli nie, to proszę o sygnał (miejscowość, dokładny adres i nazwa dostawcy gazet). Nie dajmy się terroryzować.

Mamy wiele nowych pomysłów. Chcemy wydawać kolejne książki z cyklu „Historia bez IPN" i „Wyklęci nie święci". Planujemy rozpoczęcie nowego, wielkiego dzieła. Wielotomowej „Prawdziwej historii Polski Ludowej". Sami, niestety, nie damy rady. Potrzebujemy relacji, wspomnień, dokumentów od tych, którzy odbudowali Polskę z wojennych ruin i odrzucają prawicowe kłamstwa obrażające dobrą pamięć o pracy kilku pokoleń Polaków.

Dziękuję za listy wspierające redakcję i pierwsze wpłaty. Nie zmarnujemy ani złotówki.

Jerzy Domański

Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FAUL

Obrzydliwość roku

Rozstawanie się z kasą przychodzi Towarzystwu Chrystusowemu bardzo opornie. Szkoda, że takich oporów nie mieli współbracia ks. Romana B., który wielokrotnie gwałcił nieletnią Kasię. Adwokat Krzysztof Wyrwa staje na głowie, by nie dostała ona zasądzonego 1 mln zł i comiesięcznej renty. I z imieniem Chrystusa w nagłówku pisma kieruje kasację do Sądu Najwyższego. Obrzydliwe postępowanie księży z ofiarami pedofili staje się w Polsce normą. Ale co tam wstyd? Byle kasa się zgadzała.

BĄKOWSKI

eprasa.pl a838ec7ecc

W NUMERZE

KRAJ

8 **„Strażnik" naszych pieniędzy**
Glapiński do dymisji?

11 **Tej afery nie da się wyciszyć**
– rozmowa z prof. Witoldem Orłowskim

12 **Szpiegowski sobieradek**
Rośnie rynek szpiegowskiego sprzętu i usług

16 **Jak dokończyć emancypację?**
– rozmowa z dr Barbarą Labudą

20 **Bez opamiętania**
Trudny czas dla zakupoholików

40 **Dom warszawskich gazeciarzy**
80 lat ogniska przy Środkowej

50 **Przyjaźń z lotniczej koperty**
Polka i Rosjanin pisali do siebie przez dekady

ZAGRANICA

24 **Rewolucja we Francji**
Zabrakło siły związków zawodowych

28 **Prezydent, który rozumiał Polskę**
Sześć wizyt George'a H.W. Busha

32 **Ten człowiek nie może milczeć**
90 lat Noama Chomskiego

EKOLOGIA

31 **15-latka punktuje polityków**
Dzieci walczą o klimat

OPINIE

36 **Ludwik Stomma**
Ekologia, laicyzm, prawda

39 **Andrzej Elżanowski**
Karpiobójstwo

KULTURA

44 **Bez przesady z dobrym wychowaniem**
– rozmowa z Gabrielą Muskałą

48 **Qulturalia**

66 **Satyrykon - Legnica 2018**

HISTORIA

54 **Krwawa łaźnia na wyspie śmierci**
Bitwa o Guadalcanal

OBSERWACJE

56 **Chcesz wejść do miasta? Zapłać!**
Korespondencja z Apulii

58 **Polskie wyspy**
Imigranci bardziej niemieccy od Niemców

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Do Czytelników

19 **Bronisław Łagowski**
Rewolucja, której nie będzie

27 **Roman Kurkiewicz**
Pół litra czystej czarnej na łeb

35 **Tomasz Jastrun**
Rząd tańczy

43 **Edward Mikołajczyk**
Szkoda, że się nie zamienili

47 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Chyba podejdę

20
KRAJ

BEZ OPAMIĘTANIA
Trudny czas dla zakupoholików

24
ZAGRANICA

REWOLUCJA WE FRANCJI
Zabrakło siły związków zawodowych

44
KULTURA

BEZ PRZESADY Z DOBRYM WYCHOWANIEM
– rozmowa z Gabrielą Muskałą

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. WITOLD ROZBICKI/REPORTER/EAST NEWS

eprasa.pl a838ec7ecc

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

WIESŁAW KOT
Nowa świecka tradycja – Boże Narodzenie

DROŻYZNA, PLUSKWY I SMOG
Zakopane szykuje się na święta

DR KRZYSZTOF ZIOŁKOWSKI
Czym jeszcze zaskoczy nas kosmos

Szykany za odwagę

Uznałem, że tekst „Szykany za odwagę" (PRZEGLĄD nr 48) dotyczy mnie osobiście. Po pierwsze – jestem absolwentem I LO w Olsztynie i jestem z tego dumny. Po drugie – poznałem opisaną w artykule dyrektor Jolantę Skrzypczyńską.

Mury szkoły, którą dziś kieruje Jolanta Skrzypczyńska, przekroczyłem w końcu maja 1945 r., gdy trzeba było sprzątać pozostałości po szpitalu wojskowym działającym w tym budynku pod koniec wojny. Otwarcie Państwowego Gimnazjum i Liceum Męskiego nastąpiło 4 czerwca 1945 r. Uczęszczało do niego 190 uczniów. Pierwszy egzamin dojrzałości, już w roku 1946, zdało 15 absolwentów. Ja ukończyłem szkołę w roku 1950 w grupie 41 absolwentów.

Wprawdzie losy zagnały mnie do Szczecina, ale przyjeżdżałem na każdy jubileusz liceum. W 2010 r., z okazji 60-lecia matury, spotkaliśmy się w gmachu szkoły, gdzie przybyłą trzynastkę czekała miła niespodzianka. Pani dyrektor Skrzypczyńska zrobiła z naszego spotkania święto całej szkoły. Mogliśmy się przedstawić młodzieży, opowiedzieć o swoich osiągnięciach zawodowych, a było ich sporo. Wszyscy maturzyści z mojego rocznika ukończyli studia, dwóch uzyskało tytuły profesorów w dziedzinie fizyki i chemii, siedmiu zostało doktorami nauk medycznych, trzech ukończyło po dwa fakultety. Jeden z naszych został ciężarowcem i zajął piąte miejsce na igrzyskach w Melbourne. Inny kolega przez wiele lat był dyrektorem olsztyńskiej Jedynki. Ja jestem inżynierem budownictwa lądowego i magistrem ekonomii. W 2015 r. na jubileusz 70-lecia szkoły przybyło z różnych stron świata ponad 400 absolwentów, w tym czterech z mojego rocznika. Mogę stwierdzić, że skoro mamy takich dyrektorów jak Jolanta Skrzypczyńska, skoro mamy taką cudowną młodzież, to z nadzieją można patrzeć w przyszłość.

Ryszard Kiełbowicz, Szczecin

Ziemia zapomniana

W Łodzi, o której pisze Marta Madejska, likwidowano nie tylko XIX-wieczne, ale także nowo wybudowane zakłady. Bistonę sprzedano za cenę złomu nowych maszyn. Konkurencja została usatysfakcjonowana.

Zbigniew Pietrzak

•

Dobrze, że są wrażliwe dziewczyny, jak Marta Madejska, które opisują losy tysięcy pracowników zamykanych zakładów, ludzi opuszczonych przez państwo, w imię neoliberalnej ideologii rzuconych na pastwę losu. Książkę o grabieży napisała także Magdalena Okraska – jest to „Ziemia jałowa. Opowieść o Zagłębiu".

Tadeusz Kalinowski

Klub Dobrej Pamięci we Wrocławiu
zaprasza na wyjątkowe wydarzenie, którego tematem będzie
„Historia Panoramy Racławickiej i jej miejsce na kulturalnej mapie Wrocławia". Prelekcję poprowadzi Cezary Sokołowski, a wsparciem artystycznym posłuży wybitny reżyser Stefan Szlachtycz. Pokażemy też film przypominający dzieje „Panoramy".
12 grudnia (środa), godz. 17.00, kawiarnia Wolak we Wrocławiu, ul. Legnicka 158.
Wstęp wolny. Zapraszamy wszystkich zainteresowanych historią i kulturą naszego miasta.

ZDJĘCIE TYGODNIA

Dziesięcioletnia Andrea Nicolle próbuje przedostać się do USA, podkopując ogrodzenie na granicy amerykańsko-meksykańskiej w Playas de Tijuana. Dotarła tu w grupie emigrantów z Ameryki Środkowej.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl a838ec7ecc

Prof. Henryk Skarżyński, światowy pionier implantów słuchowych, wszczepił wraz z zespołem 8 tys. różnego rodzaju implantów słuchowych. Jego pacjenci śpiewają, komponują, grają na instrumentach. A ostatnio na zaproszenie przewodniczącego Parlamentu Europejskiego Antonia Tajaniego dali występ w europarlamencie.

Za obraz Wojciecha Fangora „M39" namalowany w 1969 r. zapłacono na aukcji Desy Unicum **4,72 mln zł.** To najdroższy polski obraz na naszym rynku. Przebił ceną dotychczasowego rekordzistę – „Macierzyństwo" Stanisława Wyspiańskiego, za który zapłacono 4,36 mln zł.

Ponad 500 osób trafiło w 2017 r. do więzienia za **okrutne czyny wobec zwierząt.** Prokuratury prowadziły 4160 takich spraw.

Tomasz Wiśniewski, dziennikarz, historyk i filmowiec, został **laureatem Nagrody Muzeum POLIN** za przywracanie pamięci o białostockich Żydach.

Marek Flisiński z restauracji Water&Wine w Nałęczowie został **najlepszym polskim kucharzem** według znanego przewodnika Gault&Millau. Oceniono 650 polskich restauracji.

71% Polaków z owoców **wybiera** najczęściej **jabłka,** a **58%** z warzyw – **pomidory.**

Płk Tadeusz Szczurek, komendant Wojskowej Akademii Technicznej, został **mianowany przez prezydenta Dudę generałem brygady.** Takiego komendanta jeszcze tam nie było. Ściśle związany z Macierewiczem Szczurek zaangażował się w eksperymenty smoleńskie. W tym w „słynny wybuch termobaryczny" Berczyńskiego. Pozwalniał naukowców, którzy nie uznawali tej hucpy. Szczurek jako komendant i generał to karykatura i obraza dla wojska.

Kamila Gasiuk-Pihowicz z Nowoczesnej (jeszcze) jest w polityce kimś, do kogo lepiej nie odwracać się plecami. Knucie, fałszywe deklaracje i ambicje większe od stodoły. Jedno, co jej się udało, to obrzydzenie polityki kolejnym ludziom.

30,5 tys. praw jazdy zatrzymała policja w 2017 r. za przekroczenie o 50 km/godz. prędkości dopuszczalnej w terenie zabudowanym.

W 8% gospodarstw domowych w Polsce nie pracuje żaden z dorosłych domowników. Łącznie dotyczy to ok. 1,7 mln osób. W tych rodzinach wychowuje się 8,3% dzieci w wieku do 17 lat.

Andrzej Adamczyk (PiS), minister infrastruktury, ma imponujące wykształcenie. Dwa lata temu **ukończył studia** w oddziale Społecznej Akademii Nauk **w… Olkuszu.** Ale nie pamięta już tematu pracy magisterskiej.

PRZEBŁYSKI

Łapówkarze! Ale tylko dla Niemców

Czy łapownictwo w Niemczech może nie być łapownictwem w Polsce? Na razie tak. Ale jeszcze w grudniu sytuacja może się odmienić. Niemcy już swoje zrobili. W 2009 i 2011 r. Sąd Krajowy w Stuttgarcie uznał, że w Rafinerii Trzebinia (Orlen) zarządzanej przez Grzegorza Ślaka doszło do korupcji. Do decydentów z rafinerii i Orlenu trafiło ok. 3 mln euro. Oskarżeni niemieccy przedsiębiorcy Gaede i Chwat przyznali się do winy i zostali w swoim kraju skazani za łapownictwo. Polski sąd w 2017 r. uniewinnił Ślaka, Kaliciaka i Trębacza, których Niemcy i Chwat wymieniali jako biorców łapówek. Zobaczymy, co powie sąd apelacyjny. I co zrobi prezes Obajtek.

Recepta na obciach

Do Sejmu wjechały na plecach Petru. Ale szybko go okłamały i ograły. A teraz oszukały same siebie. Lubnauer i Gasiuk-Pihowicz. Krótkie nóżki fałszywych karier. Picu, picu, telewidzu. A co jest za kotarą małżeństwa Pihowiczów? Mąż, analfabeta finansowy, były skarbnik Nowoczesnej. Doprowadził partię do utraty dotacji z budżetu. A wspólnie z żoną Kamilą wprowadzili na listę do Sejmu Zbigniewa Gryglasa. Ponurego faceta, który szybko poszedł do PiS.

Kruczkowskiemu nie pomogła nawet Kaczyńska

Jak powszechnie wiadomo, Jadwiga Kaczyńska, mama znanych bliźniaków, zajmowała się twórczością Leona Kruczkowskiego. I była autentycznie zafascynowana jego dziełami. Ciekawe więc, co by powiedziała na działania Dariusza Drelicha, wojewody pomorskiego, który orzeczeniem zastępczym zdekomunizował gdańską ulicę Leona Kruczkowskiego? Wojewodzie z PiS chyba nie są znane opracowania matki prezesa. Nas to nie dziwi, bo tam mało kto coś czyta.

A decyzja Naczelnego Sądu Administracyjnego dekomunizująca Kruczkowskiego wygląda jeszcze gorzej. Pachnie z daleka jakąś małostkową zemstą. Wiadomo, na kim.

Korkuć poległ na Marksie

Pewno bez Macieja Korkucia byłoby mądrzej. I uczciwiej. Ale i nudniej. Bo Korkuć, modelowy funkcjonariusz IPN, przypomina, na co idą nasze podatki. Robi to w taki sposób, że gdyby ktoś szukał konsultanta do projektów, które dotyczą obłędu, obsesji czy fanatyzmu, lepszego od Korkucia eksperta nie znajdzie.

A jaki jest przy tym gorliwy! Dopadł Karola Marksa w Boguszowie-Gorcach. Autor „Kapitału" miał tam ulicę od końca II wojny światowej. Mieszkańcom to nie przeszkadzało. Ale Korkuć zażądał krwi nieboszczyka. Przysporzył pracy Naczelnemu Sądowi Administracyjnemu, który w prawomocnym orzeczeniu pogonił inkwizytora. I Marks wróci do podwałbrzyskiej miejscowości.

FOT. YOUTUBE.COM (2), ARCHIWUM

eprasa.pl a838ec7ecc

www.mleczko.pl
www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy pracownicze plany kapitałowe to kolejna wersja OFE?

PROF. LEOKADIA ORĘZIAK,
SGH

Tak, bo mają z OFE wiele wspólnego. Główne korzyści z PPK przypadną instytucjom finansowym i powiązanym z nimi wąskim elitom. Koszty poniosą natomiast pracownicy i budżet państwa, który na dofinansowanie PPK będzie musiał zaciągnąć nowy dług. Z punktu widzenia pracownika i przyszłego emeryta PPK to system obciążony wysokim ryzykiem związanym z kryzysami, niemożliwymi do skontrolowania patologiami i defraudacjami występującymi na rynku finansowym. Aktywa gromadzone w PPK będą przez dziesiątki lat pomniejszane o koszty zarządzania i rujnowane przez inflację. PPK to kontynuacja skrajnie neoliberalnej reformy emerytalnej z 1999 r., która przyniosła drastyczne zmniejszenie emerytur. Z powodu PPK miliony Polaków, którzy świadomie, a częściej nieświadomie, pozostaną w tym systemie, będą obciążone dodatkową składką. Miliardy złotych pobrane z pensji pracowniczych i budżetu państwa zostaną przekazane do gry i spekulacji na rynku finansowym, a nie na wzmocnienie systemu emerytur z ZUS albo na ratowanie szpitali i inne ważne cele społeczne.

BOGDAN GRZYBOWSKI,
OPZZ

Oszczędzanie na emeryturę bywa uzależnione od zaufania do systemu emerytalnego. Niestety, zostało ono mocno nadszarpnięte już w momencie reformy z 1999 r., która dała możliwość obcięcia emerytur o połowę. Niewiara w stabilność systemu jest też związana z OFE. II filar miał przynieść przyszłym emerytom niebagatelne środki, jednak władza je zagrabiła. Możliwe, że emeryci nic na tym nie stracili, ale pozostają szkody związane właśnie z utratą zaufania do systemu emerytalnego. PPK nie są jego częścią, to osobny system. Symulacje pokazują, że kokosów nie zapewni. Ale jeżeli uświadomimy sobie, że dla osób wchodzących obecnie na rynek pracy relacja emerytury do ostatniego wynagrodzenia nie przekroczy 30%, to wydaje się, że młodzi ludzie nie mają wyboru i muszą zacząć oszczędzać w III filarze (IKE, IKZE, PPE, PPK). Dzięki pracodawcom i związkom zawodowym udało się na szczęście dodać do ustawy zapis potwierdzający prywatny charakter środków w PPK. Z historii wiemy jednak, że nie taką własność nacjonalizowano, dlatego będzie trudno przekonać pracowników do tego programu.

ŁUKASZ KOMUDA,
Fundacja Inicjatyw Społeczno-Ekonomicznych

Z mojego punktu widzenia kluczowym podobieństwem jest to, że oba systemy odrzucają ideę solidaryzmu społecznego, podkreślając indywidualizm wysiłku zapracowania na własną emeryturę. Różnicą jest natomiast to, że OFE uszczuplały środki na bieżące wypłaty świadczeń, a PPK to dodatkowy strumień pieniędzy odkładanych na ten cel, co teoretycznie powinno poprawić sytuację ekonomiczną emerytów. Jednak niezależnie od tego, czy ten program okaże się pożyteczny, następcy PiS zapewne go osłabią lub zlikwidują. Rozwiązania wprowadzane do systemu emerytalnego powinny obowiązywać przez co najmniej jedno pokolenie, tymczasem dla polskiej polityki horyzont stanowią jedna, góra dwie kadencje. Nie wróży to najlepiej tym, którzy liczą na godną emeryturę np. za 30 lat.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl a838ec7ecc

„STRAŻNIK" NASZYCH PIENIĘDZY

Czy dla dobra polskiego systemu bankowego Adam Glapiński nie powinien złożyć dymisji?

Robert Walenciak

W piątek, 7 grudnia, pod budynkiem Narodowego Banku Polskiego w Warszawie przed godz. 8 zjawiła się grupa osób. Obywatele RP. Manifestanci przykleili do szyb artykuły z „Gazety Wyborczej" i „Newsweeka", które opisywały aferę Komisji Nadzoru Finansowego. Usunięcia tych artykułów domaga się NBP. Rozwinęli też transparenty z napisami: „Glapiński, prawdy nie zakneblujesz".

Ich przedstawicielka, reprezentująca Obywateli RP Agnieszka Dzikowska, mówiła mediom: „Domagamy się, aby Adam Glapiński, prezes NBP, zachował się zgodnie ze standardami demokratycznymi i ustąpił z zajmowanego stanowiska. Uważamy, że swoim postępowaniem dowiódł, iż nie ma moralnej legitymacji, aby pozostawać prezesem najwyższej krajowej instytucji finansowej, od której zależy bezpieczeństwo ekonomiczne państwa i jego obywateli".

Tak oto afera KNF, która wybuchła prawie miesiąc temu, zatacza kolejne kręgi. I z każdym dniem zbliża się niebezpiecznie do prezesa Glapińskiego. A on sam zachowuje się w sposób coraz bardziej nerwowy. Czy ma powody?

Afera KNF zbliża się do Adama Glapińskiego. On sam jest coraz bardziej nerwowy.

Przypomnijmy: spotkanie właściciela Getin Noble Banku Leszka Czarneckiego z przewodniczącym KNF Markiem Chrzanowskim odbyło się w siedzibie KNF 28 marca. Czarnecki przyjechał na nie wezwany przez Chrzanowskiego. Domyślał się, jaki będzie temat spotkania, bo wziął ze sobą dyktafony.

Wtedy właśnie Chrzanowski miał złożyć Czarneckiemu propozycję korupcyjną (on sam nie przyznaje się do winy). Wybór należał do biznesmena – albo jego bank, który przeżywał kłopoty, zostanie przejęty za złotówkę w ramach tzw. planu Zdzisława, albo właściciel rozpocznie jego restrukturyzację, zatrudniając do tego wskazanego przez Chrzanowskiego prawnika, Grzegorza Kowalczyka. Za sumę ok. 40 mln zł.

Potem, po rozmowie, którą Chrzanowski uznał za udaną, szef KNF zaprowadził Czarneckiego do prezesa NBP Adama Glapińskiego.

Po co? „Z perspektywy bankiera wyglądało to jak wizyta u »ojca chrzestnego«" – tak napisała „Gazeta

Adam Glapiński zawsze z prezesem

Na czym polega siła Adama Glapińskiego? Otóż należy on do niewielkiego grona tych, którzy z Jarosławem Kaczyńskim są od zawsze. A do tego od zawsze jest w miejscach, w których decydowały się sprawy finansowe kolejnych ugrupowań Kaczyńskich.

Był współzałożycielem i wiceprzewodniczącym Porozumienia Centrum. Był w kolejnych rządach ministrem budownictwa (gabinet Jana Krzysztofa Bieleckiego) i ministrem współpracy gospodarczej z zagranicą (rząd Jana Olszewskiego). Jak mówił Jarosław Kaczyński Teresie Torańskiej, PC nie weszło do rządu Hanny Suchockiej właśnie dlatego, że nowa premier nie chciała dać Glapińskiemu żadnego stanowiska. A on już wtedy budził kontrowersje. Za czasów Olszewskiego wprowadził, i rozdzielał, koncesje na import paliw do Polski. Skończyło się to wielką awanturą. Jak przypomnieli Obywatele RP, „UOP podejrzewał, że przydziałowi niektórych koncesji towarzyszyły łapówki, ale sprawę umorzono, bo nie znaleziono wystarczająco mocnych dowodów. Michał Frąckowiak, jego (Glapińskiego – przyp. red.) zastępca w ministerstwie, po odejściu ze stanowiska dostał posadę dyrektora, a potem prezesa w spółce Solo, której wcześniej przydzielił jedną z pierwszych koncesji na obrót paliwami".

Media pisały także o jego innowacji w ministerstwie – otóż miał zamontować przed swoim gabinetem zamek szyfrowy. Nawet sekretarka, jeśli chciała wejść, musiała dzwonić, żeby ją wpuścił.

Nazwisko Adama Glapińskiego przewija się też przy okazji innych finansowych przedsięwzięć partii Kaczyńskiego. Pojawia się przy spółce Srebrna, czyli Fundacji Prasowej „Solidarność", przy aferze Telegraf, no i przede wszystkim przy aferze FOZZ.

„W procesie dotyczącym FOZZ w licznych zeznaniach i wyjaśnieniach opisywano, że za jego pośrednictwem przekazywano pieniądze z FOZZ na rzecz Porozumienia Centrum – napisali Obywatele RP. – Wyliczano, że chodziło o przynajmniej 600 tys. dol. Twierdził potem, że nie znał nikogo związanego z FOZZ, ale to on, co potwierdził osobiście Jarosław Kaczyński, forsował szefa FOZZ Grzegorza Żemka na stanowisko wiceprezesa NBP, spotykał się z nim i prowadził rozmowy".

Innymi słowy, Adam Glapiński był dla Kaczyńskiego nieoceniony, zajmował się finansowymi przedsięwzięciami partii, budzącymi różne podejrzenia. Można więc zakładać, że wie o Kaczyńskim i jego finansowych przedsięwzięciach wszystko i że obecna potęga finansowa PiS to również jego dzieło. Najbardziej zaufany, najbardziej sprawdzony. Tylko sam nie ma szczęścia do protegowanych.

eprasa.pl a838ec7ecc

Wyborcza". I trudno temu wrażeniu się dziwić. Do prezesa NBP nie wchodzi się ot tak, z ulicy, bez zapowiedzi. Jak najbardziej uprawnione jest myślenie, że Chrzanowski zaprowadził Czarneckiego do Glapińskiego, aby potwierdzić, że *deal* został zawarty.

Czy ta rozmowa też została nagrana? To jeden z bardziej tajemniczych elementów całej sprawy. Po 13 listopada, gdy afera wybuchła, pojawiły się bowiem informacje, że jest również nagranie rozmowy, w której bierze udział Glapiński. Ale reprezentujący Czarneckiego mecenas Giertych temu zaprzeczył.

W niedzielę, 18 listopada, późnym wieczorem zebrał się Komitet Stabilności Finansowej, który debatował nad kondycją banków Leszka Czarneckiego, Getin Noble Banku i Idea Banku. Po kilku godzinach, w nocy, wydano komunikat, że „Narodowy Bank Polski zadeklarował gotowość natychmiastowego uruchomienia wsparcia płynnościowego w celu zapewnienia obsługi zobowiązań wobec klientów banków: Getin Noble Bank oraz Idea Bank".

Co takiego się stało, że trzeba było ściągać przedstawicieli NBP i Ministerstwa Finansów w niedzielny wieczór? Żeby ogłosili, że banki Czarneckiego są bezpieczne, że w razie kłopotów zostaną dokapitalizowane przez NBP? To w poniedziałek rano byłoby już za późno?

Być może to przypadek, ale akurat na poniedziałek przewidziane było przesłuchanie Leszka Czarneckiego w prokuraturze. Trwało wiele godzin. A dwa dni wcześniej Roman Giertych zapowiedział, że tego dnia złoży w prokuraturze nagranie rozmowy Leszka Czarneckiego z szefem KNF i „innymi przedstawicielami tej instytucji". Mówił też, że „na taśmie słychać i widać, jak przedstawiciele urzędu państwowego bez żenady potwierdzają, że wiedzą o planie przejęcia banku za złotówkę". Zwróćmy uwagę – Giertych nic wtedy nie powiedział o nagranej rozmowie z Glapińskim.

Ziobro decyduje, w jakim kierunku i w jakim tempie toczyć się będzie śledztwo w sprawie szefa KNF.

Tymczasem w ubiegłym tygodniu przyznał, że w prokuraturze są trzy nagrania: jednej z rozmów z Chrzanowskim, kolejna taśma, na której jest Glapiński, i ze spotkania w KNF.

Ta sytuacja stawia Adama Glapińskiego w bardzo niekomfortowej, mówiąc delikatnie, sytuacji.

Po pierwsze, to on był patronem kariery Marka Chrzanowskiego, swojego studenta, i to on rekomendował go na stanowisko szefa KNF. „Znam pana profesora i z uczelni, i ze współpracy, zawsze miał najwyższe standardy, profesjonalne, merytoryczne, uczciwości, patriotyzmu i wszelkie inne. Mam o nim jak najlepszą opinię", bronił go już po wybuchu afery.

Czarnecki może grać przeciwko Glapińskiemu taśmami.

Można to zrozumieć, w systemie władzy KNF tworzyła z NBP wspólny front, premier Morawiecki i jego Ministerstwo Finansów nie mieli tu większych wpływów. Ta wrogość między dwiema stronami ulicy Świętokrzyskiej (po jednej jest NBP, po drugiej resort finansów) była szczególnie widoczna, gdy dziennikarze zaczęli drążyć sprawę Grzegorza Kowalczyka, owego prawnika, którego rekomendował Chrzanowski. Okazało się bowiem, że trafił on do rady nadzorczej Giełdy Papierów Wartościowych z poręczenia NBP. Pytany o to Mateusz Morawiecki od razu zaznaczył, że on nie miał z tym nic wspólnego.

Można zakładać, że Adam Glapiński wie wszystko o finansowych przedsięwzięciach Kaczyńskiego.

Kowalczyk to zresztą małe piwo w porównaniu z innymi nominacjami Glapińskiego. Jak ujawniły media, w NBP na stanowisku wicedyrektora Departamentu Edukacji i Wydawnictw pracuje żona Chrzanowskiego, a jej szefową jest była żona Mariusza Kamińskiego, ministra nadzorującego służby specjalne. Syn Kamińskiego, Kacper, z poręczenia NBP pracuje zaś w Banku Światowym w Waszyngtonie, z pensją 500 tys. zł rocznie.

Glapiński zbudował więc mocną strukturę personalną, dzięki której mógł się czuć bardzo pewnie. Pozostaje odpowiedzieć na pytanie, jakie miejsce w tej strukturze zaj-

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

eprasa.pl a838ec7ecc

mował Marek Chrzanowski. Czy był samodzielny, czy też takie sprawy jak *deal* z Czarneckim uzgadniał z Glapińskim?

A ponieważ takie pytania pojawiają się w sposób naturalny, ich konsekwencją jest kolejne: czy dla czystości sprawy Adam Glapiński nie powinien złożyć rezygnacji?

Jest jeszcze jeden wątek, równie istotny, który powinien wpłynąć na decyzję prezesa NBP. Otóż, jak wynika z ruchów Czarneckiego, przynajmniej od 28 marca do dziś prowadzi on grę z KNF i NBP. Czy nagrania nie są narzędziem tej walki?

W efekcie obecna pozycja prezesa NBP zrobiła się zatrważająco słaba. Jest on w jakiś sposób zależny od dwóch ludzi – Leszka Czarneckiego i Zbigniewa Ziobry. Ten pierwszy może go oskarżać i może przeciwko niemu grać taśmami, przekazując je mediom. Ten drugi, jako prokurator generalny, ma te nagrania (czy wszystkie?), poza tym decyduje, w jakim kierunku i w jakim tempie toczyć się może śledztwo prokuratorskie. Sam przecież ogłosił, że obejmie je osobistym nadzorem. Trudno przypuszczać, by nie skorzystał z takiego prezentu. Można też zakładać, że wyciśnie z tej sytuacji maksimum.

Pozycja prezesa NBP robi się zatrważająco słaba.

Warto więc się zastanowić, czy leży w interesie polskiego systemu bankowego, by prezes był tak słaby i tak zależny od różnych czynników.

Widać zresztą, że Adam Glapiński źle sobie radzi ze stresem. Dowodem na to jest wniosek NBP do sądu, by „Gazeta Wyborcza" i „Newsweek" wycofały artykuły o NBP i o banku centralnym nie pisały. Czyli sąd ma wprowadzić cenzurę prewencyjną. Prawnicy NBP zarzucili dziennikarzom nie to, że piszą nieprawdę, ale że piszą… źle. TVP w „Wiadomościach" oskarżyła z kolei „Wyborczą" o próbę „rozchwiania systemu finansowego w Polsce". To ciekawe myślenie, choć nie najlepiej świadczące o formie Adama Glapińskiego.

Robert Walenciak

TEJ AFERY NIE DA SIĘ WYCISZYĆ

Jeżeli w KNF wybucha afera korupcyjna, to można zapytać, jak są pilnowane oszczędności obywateli

Rozmawia Robert Walenciak

Pytany o aferę w Komisji Nadzoru Finansowego mówił pan w TVN 24: „Wydaje się, że wewnątrz instytucji odpowiedzialnej za gaszenie pożarów jest grupa piromanów, która zastanawia się, jak wywołać pożar w banku, aby łatwiej było go przejąć". O jaką grupę chodzi?

– Od razu się zastrzegam: nie mam żadnej wiedzy poza tym, co wszyscy usłyszeliśmy, co wiemy z taśm. A tam usłyszałem, że podobno jest grupa osób w KNF, zastanawiająca się, jak bank, który jest w procesie restrukturyzacji i przeprowadza program naprawczy, celowo doprowadzić do bankructwa, żeby inny bank mógł go przejąć.

Jak wiemy z nagrania, „plan Zdzisława" zakładał, że w ten bank miałyby jeszcze zostać włożone 2 mld zł.

– Publicznych pieniędzy! Gdyby tak było, oznaczałoby to również załatwienie temu, kto przejmie bank, 2 mld zł prezentu od podatników. Jeśli to wszystko byłoby prawdą – to od tego włosy stają dęba.

A tak było?

– Oczywiście nie wiem, czy te wszystkie informacje są prawdziwe. Ale to, co usłyszeliśmy, jest dostatecznie niepokojące, by cała sprawa została gruntownie zbadana. Wiemy, że szef KNF prawdopodobnie złożył propozycję korupcyjną. Zresztą prokuratura też tak uważa, skoro postawiła zarzuty i wnioskowała o jego areszt. Ale to dopiero początek wyjaśniania sprawy, a póki nie ma prawomocnego orzeczenia sądu – wszystkich nas obowiązuje domniemanie niewinności. Również fakt, że Marek Chrzanowski mówił o innych urzędnikach i o ich planach, wcale nie jest niepodważalnym dowodem, że one rzeczywiście istniały albo że ktoś za tym stał. Ale to także trzeba wyjaśnić.

PiS tymczasem udaje, że sprawy nie ma.

– Nie ma co się dziwić, w takiej sytuacji każdy rządzący boi się, żeby nie spadło na niego odium, że jest zamieszany w aferę. Dodatkowa niezręczność polega na tym, że zaledwie kilka dni wcześniej pochodząca z PiS szefowa komisji ds. Amber Gold dowodziła, że premier osobiście odpowiada za wszystko, co się dzieje w KNF. Oczywiście mówiła to, myśląc o Donaldzie Tusku. To zresztą świadczy, że nie rozumie, jak funkcjonują instytucje państwa, zwłaszcza te, którym prawo zapewnia dużą autonomię działania – a tak właśnie jest z KNF.

Jeśli sprawa będzie przeciągana, domysły, że władza ma coś do ukrycia, będą tylko się nasilać.

Rozumiem, że rządzący się boją, by do nich nic nie przylgnęło.

– Znamy przecież polskie realia, wiadomo, że w sprawie kolejnych większych i mniejszych afer powołano ileś komisji śledczych, które tak naprawdę niczego nie wykazały i były tylko sposobem na obrzucanie błotem przeciwników. Obecnie rządzący tę metodę w przeszłości bardzo chętnie stosowali. A teraz są po drugiej stronie barykady. Woleliby więc, żeby sprawy nie było.

eprasa.pl a838ec7ecc

Ale jest!

– Trzeba pamiętać o jeszcze jednym. Partia władzy zawsze przyciąga różne podejrzane postacie. I to ją wcześniej czy później może utopić. Ten schemat zawsze się powtarza. Najuczciwsza partia po paru latach rządzenia jest już…

Oblepiona?

– Tymi, którzy się jej uczepili. I afery z czasem wychodzą na jaw. Dlatego rządzący sami powinni sobie odpowiedzieć na pytanie, czy przypadkiem nie powstała sytuacja, w której w instytucjach publicznych zawiązały się różne grupy „trzymające władzę", zamierzające realizować własne interesy. W najlepszym interesie uczciwych rządzących leży wyjaśnienie całej sprawy do końca. Żeby pokazać, że rząd nie ma z tym nic wspólnego, że ma czyste ręce.

Taką aferę jak w KNF powinno się wypalić gorącym żelazem.

– Dla wspólnego dobra trzeba dokładnie zbadać, czy rzeczywiście mamy do czynienia z jednostkowym przypadkiem, czy takich rzeczy jest więcej. Przecież jeśli będą wybuchać kolejne afery, będzie to coraz silniej uderzać w partię rządzącą. I żadne sądowe zakazy pisania artykułów tu nie pomogą.

Rządzący mówią: prokuratura prowadzi dochodzenie, odczepcie się!

– Prokuratura… Zmiany systemu funkcjonowania polskiego wymiaru sprawiedliwości zostały przeprowadzone w taki sposób, że prokuratura została podporządkowana bezpośrednio politykom, ministrowi sprawiedliwości prokuratorowi generalnemu. Dlatego jej wiarygodność jest mniejsza, a odpowiedzialność polityków za jej działania większa. Gdyby prokuratura była bardziej niezależna, jej działania byłyby dla nas wszystkich bardziej uspokajające i wiarygodne.

Może więc tę sprawę powinna wyjaśnić komisja sejmowa?

– Nie widziałem w Polsce komisji, która by cokolwiek wyjaśniła. Jeszcze najbardziej merytoryczna była pierwsza, czyli w sprawie Rywina. Ale późniejsze… Oczywiście komisje są bardzo popularne wśród polityków, oni głęboko wierzą, że można za ich pomocą się wylansować.

PROF. WITOLD ORŁOWSKI

– rektor Akademii Finansów i Biznesu Vistula

Myślę, że przesadzają z tą wiarą, bo im więcej tych komisji, tym mniej one znaczą.

Ale tym razem chyba powód powołania komisji jest?

– Komisje powołuje się w sytuacjach, kiedy dana sprawa wydaje się na tyle związana z osobami z obozu władzy, że padają pytania, czy obóz władzy jest w stanie sam ją wyjaśnić. Poza tym jeśli w takiej wyssanej z palca sprawie jak Amber Gold powołuje się komisję śledczą, to w sprawie wielokrotnie większej, groźniejszej, w dodatku dziejącej się w instytucjach centralnych państwa, też powinno się ją powołać. To nie zmienia mojego sceptycznego nastawienia do działania w Polsce komisji śledczych. Ale teoretycznie powody są, bo rzecz dotyczy funkcjonowania państwa.

Dlaczego to takie ważne?

– Komisja Nadzoru Finansowego jest centralną instytucją państwa, a jej główne zadanie to ochrona bezpieczeństwa depozytów obywateli. Nie banków, ale oszczędności zwykłych ludzi. Jeżeli więc tam wybucha afera korupcyjna, to można zapytać, jak są pilnowane oszczędności obywateli.

40 mln zł jako łapówka to dużo?

– Jeżeli rzeczywiście żądano łapówki w wysokości 40 mln zł, w grę musiały pewnie wchodzić pieniądze znacznie większe, więc afera jest gigantyczna. Zwracam też uwagę, że to nie przedsiębiorca przychodzi i proponuje łapówkę, tylko on jest wzywany przez urzędnika, który składa mu propozycję. Tak to wygląda po przesłuchaniu taśmy i z relacji mediów.

A de facto wiemy o tym przypadkowo, bo nie zadziałało szumidło.

– Takie urządzenie chroni przed podsłuchem, gdy omawia się sprawy poufne, więc jego zainstalowanie w KNF dziwić nie powinno. Ale gdy urzędnik zaprasza właściciela banku na rozmowę w cztery oczy i włącza szumidło, to rzecz wygląda dość podejrzanie. Zwłaszcza że z rozmowy wynika, że szumidła były włączone nie po to, aby ktoś rozmowy nie podsłuchał, ale żeby nie została ona nagrana.

A nie dziwi pana, że prezes NBP wystawia się na strzał i zabrania dziennikarzom pisania o tym wszystkim?

– Nie uważam tej metody ani za właściwą, ani za skuteczną, chociaż rozumiem argumentację prawników. NBP jest instytucją, która ma zapewniać poczucie bezpieczeństwa systemu finansowego państwa. Już samo formułowanie spekulacji pod jej adresem może uderzać w zaufanie do niej. Jeśli więc prawnicy NBP uważają, że nie ma podstaw prawnych, by wiązać bank centralny z aferą KNF, próbują to zablokować drogą sądową.

Roman Giertych mówi, że jest taśma, na której został nagrany prezes NBP Adam Glapiński i że została ona przekazana do prokuratury.

– Być może taśma jest w prokuraturze, ale nie wiemy, co na niej nagrano. A skoro nie wiemy, nie mamy podstaw do oskarżeń. W wypowiedziach publicznych uznajmy zasadę domniemania niewinności.

Zwołanie w nocy posiedzenia Komitetu Stabilności Finansowej sugerowało, że dzieje się coś strasznego.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl a838ec7ecc

Taśmy z Adamem Glapińskim nie znamy, ale wiemy, że po rozmowie w KNF Chrzanowski i Czarnecki do niego poszli.

– Sama rozmowa nie musi budzić podejrzeń, moim zdaniem to rzecz normalna. Wszystko zależy od tego, o czym rozmawiali. A to pewnie można łatwo wyjaśnić, nawet bez żadnych taśm, choćby przesłuchując uczestników tej rozmowy. Ale rozumiem, że NBP obawia się, że poprzez różne spekulacje i oskarżenia będzie wytwarzane przekonanie, że prezes Glapiński jest w sprawę zamieszany. Nawet jeśli żadnych dowodów na stole nie ma, a przynajmniej nic nam o nich nie wiadomo.

Tylko sugestie…

– Dlatego sprawę trzeba wyjaśnić. Wie pan, doszliśmy w naszym kraju do sytuacji, w której obrzucanie błotem stało się tak popularne, że doskonale rozumiem, dlaczego rządzący tego się boją. Choć wiem, że sami sobie powinni dziękować, bo od początku należeli do strony bardzo aktywnej w takim działaniu. Ale w związku z tym wszyscy mamy dziś problem – bo jak przekonać ludzi, że afera zostanie naprawdę rzetelnie i uczciwie wyjaśniona?

Wiele domysłów snuto z powodu zwołania w niedzielę w nocy Komitetu Stabilności Finansowej, który w Ministerstwie Finansów debatował nad sprawą banku Czarneckiego.

– Komitet to forum wymiany informacji i opinii między instytucjami, które są odpowiedzialne za stabilność systemu finansowego Polski. W takiej sprawie KSF absolutnie powinien się spotkać. Tylko nie rozumiem, dlaczego akurat w nocy.

Można tym ludzi wystraszyć.

– Jeśli celem spotkania miało być ich uspokojenie, to akurat zwoływanie go w środku nocy, w weekend, było działaniem odwrotnym. Bo sugerowało, że dzieje się coś strasznego, skoro nie można zaczekać do rana.

Widzi pan więc szansę, że sprawa zostanie rzetelnie wyjaśniona? Z dowodami rzuconymi na stół?

– Nie wierzę w skuteczność działania komisji śledczej, a do prokuratury mam ograniczone zaufanie. Ale też wiem, że jeśli sprawa będzie przeciągana, domysły, że władza ma coś do ukrycia, będą tylko się nasilać.

Robert Walenciak

SZPIEGOWSKI SOBIERADEK

Rośnie rynek szpiegowskich usług i sprzętu. Czy „bezpieczeństwo" i „kontrola" stają się przykrywką dla nowej obsesji?

Niektórzy używają zdobytych dowodów w sądzie w sprawach rozwodowych lub o opiekę nad dzieckiem – wyjaśnia Mateusz Budziak z Gospypl.

Katarzyna Wierzbicka

„Zdarzają się sytuacje, kiedy brakuje nam tylko dowodów na winę partnera. Niezbędne jest wówczas świadectwo zdrady zdobyte dyskretnie i fachowo. Nasze urządzenia są stworzone do tego celu", zachęca na swojej stronie internetowej jeden ze sklepów sprzedających miniaturowe kamery i dyktafony.

„Podejrzewasz, że twój partner cię zdradza? Nerwowo sprawdza telefon? Przychodzi później z pracy? – pyta producent testów na obecność nasienia. – Nie wiesz, gdzie znika i z kim się zdaje Twoje dziecko? Mimo młodego wieku ma chłopaka/dziewczynę?".

„Aż 25% Polek i 50% Polaków zdradza swoich partnerów. (…) Wiemy, jak delikatnym tematem jest niewierność" – to już agencja oferująca usługi tzw. testerów wierności. „Nasza kadra posiada wysokie umiejętności psychologiczne, aktorskie oraz wdzięk i urok osobisty. Doświadczenie zdobywali w kraju i za granicą w strukturach służb specjalnych", zapewnia.

Jeśli wierzyć internetowi, rośnie rynek specjalistycznych usług szpiegowskich. Jego zakres nie ogranicza się już do śledzenia przez prywatnych detektywów wybranej osoby i robienia jej zdjęć z ukrycia – specjalistycznym sprzętem coraz częściej posługują się indywidualni użytkownicy.

Możliwości kontrolowania bliskich obejmują zarówno testy na obecność różnych substancji, miniaturowy sprzęt nagrywający i oprogramowania do śledzenia aktywności internetowej, jak i wynajęcie wyszkolonych prowokatorów sprawdzających podatność partnera na pokusy. Nieufni klienci mają coraz większy wybór specjalistycznych sklepów z artykułami szpiegowskimi oraz

eprasa.pl a838ec7ecc

usług detektywów i osób prywatnych anonsujących się jako testerzy lub testerki wierności.

W opisach niemal każdego szpiegowskiego artykułu powtarzają się jak refren: bezpieczeństwo, pewność i dyskrecja. Pytanie, jak rosnąca popularność sprawdzania bliźnich świadczy o społeczeństwie.

PODEJRZLIWOŚĆ MOTOREM RYNKU

– Temat pojawił się w Polsce w roku 2008 i od tamtej pory staje się coraz popularniejszy – twierdzi Natalia Templin z biura detektywistycznego Kweres w Warszawie, mającego w ofercie m.in. usługi testerów wierności. – Dostajemy kilkaset zgłoszeń w ciągu roku. Ludzie czasem dzwonią w środku nocy, w emocjach, bo znaleźli coś na telefonie albo Facebooku. Częściej zgłaszają się mężczyźni chcący sprawdzić potencjalną stałą partnerkę z obawy o swoje finanse i czystość jej intencji.

– Wszyscy nasi testerzy są licencjonowanymi detektywami po dodatkowym półrocznym szkoleniu w tym kierunku. Przed rozpoczęciem pracy przygotowujemy wraz z klientem profil psychologiczny figuranta i diagnozę jego potrzeb, później przystępujemy do działania. Od nawiązania kontaktu do zakończenia zadania upływa zwykle od kilku do kilkunastu tygodni – wyjaśnia współzałożycielka biura.

Według Natalii Templin liczba podobnych agencji jest nie do oszacowania, bo poza wyszkolonymi specjalistami od potencjalnej zdrady pełno jest ludzi ogłaszających się w internecie jako testerzy lub testerki.

Jak podaje Natalia Templin, usługa sprawdzenia partnera lub partnerki kosztuje od 5 tys. zł wzwyż. Ci, których nie stać na wynajęcie zawodowego prowokatora, mogą skorzystać z bogatej oferty sprzętów znanych niegdyś wyłącznie z seriali kryminalnych i filmów z Jamesem Bondem: długopisów z wbudowanym dyktafonem, pendrive'ów, okularów z ukrytą kamerą, budzików nagrywających dźwięk i obraz w wysokiej jakości, GPS montowanych w samochodzie, by rejestrować trasę przejazdu, a nawet oprogramowania rejestrującego wystukiwane na klawiaturze hasła i wiadomości. Ceny poszczególnych gadżetów wahają się od 100 do kilkuset złotych.

„Przychodzą do nas ludzie z prośbą o montaż urządzeń we wskazanym przez siebie przedmiocie. Poza kilkoma nieznacznymi ograniczeniami nie ma przeszkód, aby umieścić mikrokamerę w ubraniach, zabawkach, meblach, sprzęcie RTV czy AGD – mówi „Gazecie Wrocławskiej" Paweł Wujcikowski, właściciel sieci sklepów Spy Shop. – Pomysłowość Polaków nie zna granic – ostatnio zamontowaliśmy podsłuch w siodle do jazdy konnej".

– Zgłaszają się do nas klienci chcący zdobyć dowód na zdradę partnera i rodzice pragnący sprawdzić, co się dzieje z ich dzieckiem, kiedy zostaje z nim opiekunka. Zdarzają się również pracodawcy, niepewni, co robią na komputerze ich pracownicy w godzinach pracy. Niektórzy używają zdobytych dowodów w sądzie, zarówno w sprawach rozwodowych, jak i o opiekę nad dzieckiem – wyjaśnia Mateusz Budziak ze sklepu Gospy.

Choć teoretycznie nagrywanie kogokolwiek poza własnym domem bez jego zgody jest zabronione, niektóre dane pokazują, że Polacy nagrywają się coraz częściej. Z danych sieci sklepów Spy Shop wynika, że zainteresowanie sprzętem szpiegowskim w pierwszym kwartale 2016 r. wzrosło aż o 350% w porównaniu z podobnym okresem w roku 2015. „Na forach internetowych można znaleźć nawet wpisy osób, które na wszelki wypadek nagrywają wszystko, np. w pracy cały czas noszą włączony dyktafon", podaje z kolei „Gazeta Wyborcza".

Niezależnie jednak od tego, jaki cel przyświeca kontrolującym swoich bliskich i partnerów, ta nieufność jest żyzną glebą dla rozrastającego się rynku. – Nie potrafimy stwierdzić, czy rosnący popyt na podobne usługi rzeczywiście świadczy o generalnej społecznej zmianie – uważa psycholog społeczny dr Konrad Bocian z Uniwersytetu SWPS w Sopocie. – Możemy mieć do czynienia z działaniami marketingowymi, których celem jest kreowanie i zaspokajanie potrzeb. W tym przypadku potrzebami są bezpieczeństwo i poczucie kontroli.

DZIECI POD NADZOREM

O ile kontrola partnerskiej wierności wciąż jest tematem wstydliwym, o tyle troska o dzieci wydaje się bardziej uzasadniona. Dlatego szpiegowskie sprzęty i testy cieszą się dużym powodzeniem wśród rodziców dzieci w każdym wieku. Dla zatroskanych o bezpieczeństwo potomka wyjeżdżającego na pierwsze kolonie – zegarek z wbudowaną

WYKLĘCI NIE ŚWIĘCI

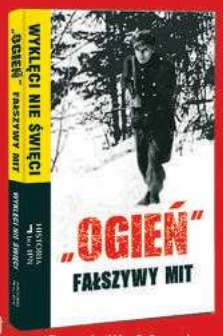

46 zł

Zastrzelili matkę, zamordowali trójkę jej dzieci. A piątkę dzieci zamknęli w chałupie, którą podpalili. Historia okrutnego mordu „żołnierzy wyklętych".

Gwałcili. Mordowali kobiety i dzieci. „Ogień" i jego banda zabijali Polaków, Żydów i Słowaków.

43 zł

W KOMPLECIE
TANIEJ
115 zł
~~134 zł~~

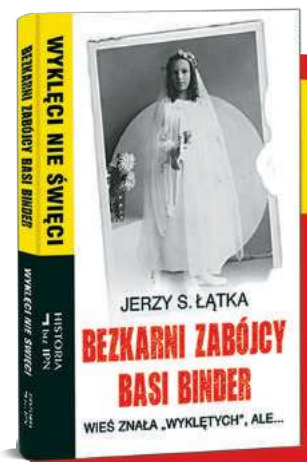

NOWA KSIĄŻKA PRZEGLĄDU!

Mordowali z zimną krwią. Kobiety zakopali w pobliskim lesie. Wieś znała zabójców, ale ci przez lata byli bezkarni. Dziś uchodzą za bohaterów AK. Za „żołnierzy wyklętych".

45 zł

Poszczególne książki i pakiet można kupić, wpłacając odpowiednią kwotę oraz opcjonalnie koszt wysyłki (bezpłatna wysyłka pocztą) na konto wydawcy PRZEGLĄDU 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, lub przez sklep internetowy: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wybierz sposób dostawy: • GRATIS wysyłka polecona Pocztą Polską • dostawa kurierem FedEx 14,90 zł • darmowa wysyłka kurierska przy zamówieniu na minimum 200 zł

Promocyjne ceny obowiązują do 20.12.2018 r. lub do wyczerpania zapasów.
Więcej informacji: tel.: 22 635 84 10 wew. 111, e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a838ec7ecc

kamerą, telefonem lub GPS. Dla rodziców nastolatka – testy na narkotyki i obecność nasienia albo sprzęt monitorujący aktywność w internecie. Dla chcących sprawdzić jakość opieki – obrotowa kamera ukryta w budziku lub czujniku dymu.

– Kilka razy zawiedliśmy się na różnych nianiach, dlatego tym razem kupiliśmy do domu kamerę – przyznaje 28-letnia Matylda, matka dwóch dziewczynek, rocznej i trzyletniej.

Agnieszka, mama siedmioletniego Jasia: – Moje dziecko ma specjalny zegarek z dyktafonem. Może też z niego zadzwonić do mnie w dowolnym momencie. W ten sposób dokładnie wiem, co się dzieje w szkole. Daje mi to większy spokój.

Coraz powszechniejszy staje się monitoring w żłobkach i przedszkolach. „Jesteśmy placówką, która posiada system kamer zainstalowanych w salach. Zapewniamy rodzicom wewnętrzny spokój poprzez sprawdzenie, jak Wasza pociecha czuje się w żłobku lub przedszkolu. Życzymy miłego oglądania", czytamy na stronie jednego z prywatnych klubów malucha.

Wybór szpiegowskich gadżetów, które rejestrują dźwięk i/lub obraz, jest ogromny. Nz. urządzenia z firmy Alfatronik.

Dr Konrad Bocian: – Doniesienia o przemocy seksualnej i zaniedbaniach wobec dzieci dobrze współgrają z usługami i produktami mającymi zapewniać „bezpieczeństwo". Zresztą często staje się ono uzasadnieniem dla rodziców wyposażających kilkuletnie dzieci w najnowszego smartfona. Ciekawe, że tego typu sprzęty wcale przecież nie zwiększają kontroli nad tym, co się dzieje. Jeśli wiadomo, gdzie jest dziecko – a zwykle wiadomo – to za jego bezpieczeństwo odpowiada inna osoba.

PRZYKŁAD Z GÓRY

Trudno nie odnieść wrażenia, że rosnąca popularność wzajemnego podsłuchiwania się i podglądania pokrywa się w jakiejś mierze z ujawnianymi z rosnącą częstotliwością „aferami", których wspólnym mianownikiem jest nagrywanie rozmów wysoko postawionych polityków i urzędników państwowych. Zaczęło się od słynnej rozmowy nad ośmiorniczkami w restauracji Sowa i Przyjaciele w 2013 r. Najnowszą sprawą jest afera KNF, czyli nagranie przez bankiera Leszka Czarneckiego, prezesa Getin Noble Banku, rozmowy z byłym już prezesem Komisji Nadzoru Finansowego Markiem Ch.

Już pierwsza z tych „afer" wywołała natychmiastową odpowiedź rynku sprzętu szpiegowskiego i podsłuchów – poza gadżetami do rejestracji rozmów pojawiły się akcesoria uniemożliwiające takie podstępy, tzw. generatory szumu zagłuszające nagrania i sprzęt do wykrywania podsłuchów. „Ktoś cię może podsłuchiwać. Sprawdzimy to profesjonalnym sprzętem. Z nami afera podsłuchowa, jak w restauracji Sowa i Przyjaciele, Ci nie grozi", reklamuje swój towar spółka Morena, specjalizująca się w unieszkodliwianiu szpiegowskich zabiegów.

„Mam tu takie szumidła. Może to nic nie daje, ale… lepiej włączyć – mówił z kolei Marek Ch. na nagraniu Leszka Czarneckiego. – Byli tu jacyś komandosi, powiedzieli, że jest tyle sygnałów tych elektromagnetycznych w okolicach tego miejsca – bo tam jest telewizja – że mówią, że rekomendują włączenie tego, ale nie gwarantują, jaki jest rezultat".

Można odnieść wrażenie, że „afery taśmowe" nie tylko motywują producentów sprzętu detektywistycznego do swoistego wyścigu na coraz trudniej wykrywalne urządzenia podsłuchowe i coraz skuteczniejsze ich zagłuszacze, ale również pokazują szerszym masom dostępność tego rodzaju rozwiązań.

Choć rosnąca oferta usług nie musi świadczyć o obsesyjnej podejrzliwości, pojawia się pytanie o granice takich praktyk i prywatność nagrywanych osób. Według polskiego prawa dozwolone jest nagrywanie rozmów, w których się uczestniczy, ale podsłuchiwać nie wolno. – Rejestracja rozmowy, w której bierze się udział, jest dozwolona, bo dotyczy informacji, do których i tak ma się dostęp – wyjaśnia prawniczka Kamila Ferenc z Uniwersytetu Warszawskiego. – Inaczej jest w sytuacji podsłuchiwania. Zabrania go par. 3 art. 267 Kodeksu karnego. Wyjątkiem są uprawnienia organów ścigania w ramach działań operacyjnych.

Kamila Ferenc podkreśla jednak, że nawet „legalne" nagrywanie wiąże się z ryzykiem oskarżenia o naruszenie dóbr osobistych, jeśli zapis zostanie użyty. – Aczkolwiek nie wróżyłabym powodzenia w ewentualnej sprawie o naruszenie dóbr w przypadku afery KNF. Czarnecki nagrywał, kiedy byli sami, mógł chcieć się zabezpieczyć. Jeśli się nagrywa w celu ochrony własnych praw albo w celach dowodowych w przypadku przestępstwa, to jest OK. Co innego, gdyby rozmawiali o romansach.

Prawniczka zwraca uwagę, że inaczej ma się sprawa z podsłuchiwaniem partnera czy pracowników. – O dopuszczeniu dowodu w postępowaniu sądowym decyduje sąd. Teoretycznie istnieje doktryna mówiąca o niewykorzystywaniu dowodów z „zatrutego drzewa", czyli z nielegalnego źródła. Z drugiej strony art. 168a mówi, że w większości przypadków dowodu nie można uznać za niedopuszczalny wyłącznie na tej podstawie, że został uzyskany z naruszeniem przepisów lub za pomocą czynu zabronionego. A co do nagrywania w „legalnych ramach", większym problemem bywa udowodnienie, że przedstawione nagranie jest prawdziwe, tj. nie zostało wygenerowane komputerowo.

Wydaje się, że problemem związanym z powszechnością stosowania nagrań i podsłuchów przez indywidualnych użytkowników jest częste mylenie niezbędnej pewności z paranoiczną potrzebą kontroli.

„Miałam taki minidyktafon w lampce, dałam za niego 500 zł – pisze na temat sprzętów szpiegowskich użytkowniczka forum Gazeta.pl. – Kupiłam, żeby skorzystać raz, bo miałam pewne podejrzenia co do jego koleżanki z pracy. Wszystko było OK i na chwilę się uspokoiłam, ale potem musiałam sprawdzać co jakiś czas. No i tak sprawdzałam, że w końcu on się zorientował i była niezła afera. Nie polecam".

Katarzyna Wierzbicka

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2)

eprasa.pl a838ec7ecc

Mądry prezent pod choinkę

PRENUMERATA 2019

W ciągu roku 8 numerów gratis, czyli 2 miesiące za darmo!

PRENUMERATA	EKONOMICZNA:	PRIORYTETOWA:
ROCZNA	289 zł	329 zł
PÓŁROCZNA	149 zł	169 zł
KWARTALNA	79 zł	89 zł

sklep.tygodnikprzeglad.pl tel.: 22 635 84 10 wew. 120 kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

DOWÓD / POKWITOWANIE DLA WPŁACAJĄCEGO

nr rachunku odbiorcy: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

nr rachunku odbiorcy c.d.:

odbiorca: Fundacja Oratio Recta, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa

kwota:

zleceniodawca:

tytułem: Prenumerata

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

nazwa odbiorcy: Fundacja Oratio Recta

nazwa odbiorcy cd.: ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa

nr rachunku odbiorcy: 7 2 1 0 9 0 2 8 5 1 0 0 0 0 0 0 0 1 2 0 2 3 9 8 2 1

W P

waluta

kwota

nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)

nazwa zleceniodawcy

nazwa zleceniodawcy cd.

tytułem: Prenumerata redakcyjna (ekonomiczna lub priorytetowa)

tytułem cd.

eprasa.pl a838ec7ecc

Rozmawia Mirosława Dołęgowska-Wysocka

JAK DOKOŃCZYĆ EMANCYPACJĘ?

Starzy, nowi, lewicowi, progresywni – wszyscy muszą zabrać się do pracy

Czy trzeba dokończyć emancypację kobiet?

– Pewnie nawiązujesz do zakończenia listu prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, wystosowanego do uczestników uroczystej sesji w stulecie uzyskania przez Polki praw wyborczych.

Tak. Słuchałyśmy tego listu obie. Ustami Krzysztofa Janika prezydent stwierdził, że jest to zadanie dla polskiej lewicy. Lata całe poświęciłaś tej sprawie. Nie żałujesz?

– Nie, nie żałuję, chociaż razów na tej drodze nie uniknęłam. I to nieraz zadanych przez najbliższych, lewicowych także.

Ja też poświęciłam „kwestii kobiecej" większość dorosłego życia. Nieraz miałam odczucie, że losy emancypantek, sufrażystek, naszych prababć i babć tak naprawdę już nikogo nie obchodzą, że nikogo to nie wzrusza.

Kobieca łagodność w polityce to mit.

– A mnie wzrusza! Czy wyobrażasz je sobie? Mieszkały w trzech różnych zaborach ówczesnej rozbitej Polski, daleko od siebie, nie mając komórek, mejli, czatów. Jechały setki mil powozami, by spotkać się w jakimś prywatnym saloniku i dyskutować o oświecaniu ludu i o tym, że kobiety powinny być traktowane z szacunkiem, mieć prawa polityczne, cywilne na równi z mężczyznami. Mówiłam o tym dziesiątki razy na różnych „babskich spędach".

Sielanki nie było, o nie. Czy wiesz, jak one potrafiły się kłócić? O to np., czy najpierw walczyć o równe prawa dla kobiet, a potem o niepodległość, czy może odwrotnie. Były secesje i gwałtowne rozstania. Pierze „po salonach" fruwało. A kobieca łagodność w polityce to mit.

– Że się kłóciły, to oczywiste. Tak jak my 100 lat później. Stanęłyśmy przed identycznym dylematem: czy najpierw wielka sprawa dla Polski, czyli „załatwienie" komuny, czy walka o prawa kobiet. I niemal zawsze prawa kobiet przegrywały! Ja wystąpiłam z Solidarności, po tym jak Marian Krzaklewski rozwiązał Sekcję Kobiecą NSZZ Solidarność, bo była dla niego zbyt radykalna. Mocno mówiła o tym w trakcie konferencji Małgorzata Tarasiewicz, założycielka sekcji.

Mówiąc szczerze, 100 lat temu było dość podobnie. Założoną w 1913 r. Ligę Kobiet Pogotowia Wojennego rozbiły „męskie spory" o werbunek do Legionów, o przysięgę legionową, o Polską Organizację Wojskową. Założycielkę Ligi Izę Moszczeńską, współpracowniczkę płk. Sikorskiego, piłsudczycy opluli i nazwali denuncjatorką, gdy po opublikowaniu jej „Listu otwartego do brygadiera Piłsudskiego" Niemcy zamknęli go w Magdeburgu – a zbieżność była przypadkowa. Dalekowzroczna polityka Piłsudskiego, który w listopadzie 1918 r. podpisał dekret o równouprawnieniu politycznym kobiet, skłóciła wcześniej całe środowiska, przyjaciół, rodziny.

– Tak czy inaczej, u zarania II Rzeczypospolitej kobiety z różnych środowisk walczyły o zdobycie praw politycznych, a przypomnę, że wówczas w Europie tylko Finki od 1906 r. miały prawo głosu. Mam przed sobą dokument z tamtej epoki, gazetę „Kobieta w Sejmie", pismo Komitetu Wyborczego Kobiet Postępowych, który mieścił się na ulicy Marszałkowskiej 74 w Warszawie w Biurze Pomocy dla Legionistów.

Rej wodziły w nim socjalistki z dr Justyną Budzińską-Tylicką, która w II RP zakładała z Tadeuszem Boyem-Żeleńskim i Ireną Krzywicką pierwszą w Polsce poradnię świadomego macierzyństwa.

– I o co one wówczas walczyły? Wcale nie tylko o kwestie *stricte* kobiece. Walczyły o zjednoczoną z trzech zaborów Polską Republikę Ludową z własnym wybrzeżem morskim…

To był także postulat rządu Ignacego Daszyńskiego, którego pomnik odsłonięto w stolicy w przeddzień 100. rocznicy niepodległości.

– Idźmy dalej: kobiety postępowe żądały stopniowego upaństwowienia kopalń, salin, środków komunikacji, przedsiębiorstw i wszystkich zakła-

Posiedzenie parlamentarnego klubu Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem w Sejmie, 26 listopada 1930 r. Nz. m.in. Janina Kirtiklisowa, Eugenia Waśniewska, Zofia Moraczewska, Maria Jaworska, Halina Jaroszewiczowa.

eprasa.pl a838ec7ecc

DR BARBARA LABUDA

– polityczka, działaczka feministyczno-ekologiczna

dów użyteczności powszechnej. Popierały ruch kooperatywny, czyli spółdzielczy, w handlu i przemyśle w celu „stopniowej kolektywizacji kapitału", zasadniczą reformę agrarną, powszechną obronę narodową i służbę obywatelską, płace minimalne, emerytury na starość, ochronę i państwową kontrolę pracy zapobiegającą wyzyskowi i normującą skalę zarobków, wolności obywatelskie: wolność sumienia, słowa, druku, zebrań, stowarzyszeń, strajków, nietykalność osobistą, zabezpieczenie praw kulturalnych mniejszości narodowych, swobodę i równouprawnienie wyznań wszystkich narodowości oraz powszechne i bezpłatne nauczanie w szkole świeckiej.

Właśnie dlatego kler tak wówczas zwalczał wszelkich postępowców, a kobiety postępowe jeszcze bardziej. Nawiasem mówiąc, Liga Kobiet także została potępiona przez biskupów w czasie I wojny. Abp Sapieha powiedział kiedyś prywatnie, że „w legionach same bezbożniki i lamparty", a Liga Kobiet to były matki, żony, siostry i… kochanki tych „bezbożników i lampartów".

– Dla mnie jest ważne, że wówczas te kobiety postępowe nie zajmowały się tylko postulatami „czysto kobiecymi", lecz miały wizję Polski republikańskiej, socjalnej, sprawiedliwej i otwartej. Oczywiście postulaty zniesienia wszelkich ograniczeń płci zajmowały poczesne miejsce. To były bardzo nowoczesne postulaty. Z tymi hasłami kobiety startowały do Sejmu Ustawodawczego. Weszło ich w sumie osiem, choć z różnych list partyjnych. O nich wszystkich ciągle myślę ze wzruszeniem.

Dla mnie taką ważną postacią jest Zofia Moraczewska, żona premiera Jędrzeja Moraczewskiego, także socjalistka, która dosłownie wszystko oddała ojczyźnie i kobietom. Ojczyźnie – trójkę dzieci na kolejnych wojnach. Odpakowywałam w latach 80. wiele paczek jej kobiecego archiwum, które złożyła w dziale rękopisów Biblioteki Narodowej w 1957 r. Przez 30 lat żaden „poważny" historyk do nich nie zajrzał. Historia kobiet rzadko kogoś interesuje. Mamy przeważnie męską wersję historii. A przeskakując do czasów dzisiejszych, czy to nie dziwne, że wiele z tych starych, wymienionych przez ciebie postulatów brzmi nadal tak nowocześnie?

– Nie, nie jest to dla mnie dziwne. Ludzkość jako taka rozwija się duchowo bardzo, bardzo wolno. Długo wychodzimy z naszych ograniczeń. A wszystko, co dotyczy kobiet, czyli stosunek do ciała, dzieci, spraw seksualnych, opieki, macierzyństwa, starości itd., jest tego najlepszym przykładem. Stereotypy ról kobiecych przechodzą z pokolenia na pokolenie i zmieniają się powoli. Trzeba samemu wiele przejść, żeby czegoś się nauczyć. Nie chcę jednak, by brzmiało to ponuro, bo postęp jest zauważalny, i to w większości światowych kultur: szacunek dla kobiet, możliwość kształcenia, leczenia. W ostatnich zwłaszcza latach zmienia się stosunek do przemocy i gwałtu, a przecież wielki całe uważano to za normę, że można poniżać, wykorzystywać, gwałcić… Moje doświadczenie podpowiada, że kobiety bardzo lubią pracować nad sobą, doskonalić się, chyba bardziej niż mężczyźni.

Bo oni już są doskonali, cóż więc rozwijać…

– O narcyzach w polityce pomówimy później, OK? Nie chcę nikogo skrzywdzić, ale wydaje mi się, że kobiety mają większy pęd do poszerzania horyzontów i samoświadomości. Są w zdecydowanej większości uczestniczkami wszystkich możliwych warsztatów rozwoju i samorozwoju. Prowadzę niektóre szkolenia. Ten skok jakościowy, jaki dokonał się zwłaszcza w ostatnich latach, zawdzięczamy naszym prekursorkom, tym dzielnym, mądrym, heroicznym kobietom, o których wspominałyśmy na początku.

Na zorganizowanej przez lewicę konferencji, od której rozpoczęłyśmy rozmowę, był panel poświęcony niedokończonej emancypacji w czasach PRL (temat na odrębne spotkanie). Mnie jednak zafrapował panel następny, w którym prelegentki – w tym ty – zastanawiały się, dlaczego masowy ruch wolnościowy, jakim była Solidarność, nie poparł aspiracji emancypacyjnych kobiet.

– Powiem wprost, że nastąpił renesans konserwatyzmu w sprawach kobiecych i rzeczywiście byłam w samym środku wydarzeń, z wszystkimi dobrymi i niedobrymi konsekwencjami. Dla porządku przypomnę, że kiedy weszłam do tzw. Sejmu kontraktowego, nie myślałam nawet, że będę się zajmować tymi kwestiami, interesowały mnie sprawy zagraniczne. Pierwszą moją inicjatywą ustawodawczą było zniesienie cenzury, co poparła wówczas zdecydowana większość posłów. A potem ujawniła się skrajna, poparta przez Kościół, polska prawica, która podrzuciła nam kwestie aborcyjne, a przypomnę, że wyszliśmy z PRL z ustawą pozwalającą na przerwanie ciąży także ze względów społecznych, czyli z powodu trudnej sytuacji życiowej kobiety. Nie tylko nie interesowało mnie to wtedy, ale w ogóle się na tym nie znałam. Zgłoszone przez grupę posłów i senatorów postulaty więzienia dla lekarza dokonującego aborcji i dla kobiety poddającej się

W czasach Solidarności nastąpił renesans konserwatyzmu w sprawach kobiecych.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, NAC

eprasa.pl a838ec7ecc

zabiegowi były nie tylko dla mnie prawdziwym szokiem.

Tego i Boy ze swoim „Piekłem kobiet" by nie przewidział.

– Zaszokował mnie zarówno sam fakt tej inicjatywy ustawodawczej, jak i ton dyskusji wokół niej, która ukazała całą zaściankowość wielu dyskutantów. Argumenty były agresywne, zohydzające ludzi o podobnych do moich liberalnych poglądach – zawsze byłam zwolenniczką prawa kobiety do aborcji. Ludzie tacy jak ja byli potępiani z ambon, choć mnie to nie dotyczyło osobiście, byłam niewierząca i niepraktykująca.

Znam te dyskusje. Opisywałam je w książce „PoBOYowisko". Jak bumerang wracały wszystkie stare kontrargumenty, głoszone z taką samą zajadłością jak niegdyś.

– Ja w sejmowych wystąpieniach często korzystałam z argumentów wysuwanych przez Boya, wręcz cytowałam go! Polska została wówczas poddana praniu mózgów, niestety, częściowo skutecznemu, bo opinia społeczna zaczęła stopniowo odstępować od wolnościowego i liberalnego patrzenia na te kwestie. I mówię tu nie tylko o aborcji, ale o wszystkich kwestiach związanych z prywatnością, seksualnością, intymnością człowieka.

Boję się, by ludzie nie zawiedli się na Biedroniu tak jak na Palikocie.

Myślę o separacji, rozwodzie, wychowywaniu dzieci (wróciło na tapetę, że dzieci można bić!), antykoncepcji, in vitro. Wszystko, co głosiło wówczas Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe z Markiem Jurkiem na czele, budziło mój fundamentalny sprzeciw! Może to truizm, ale będę go zawsze powtarzać: podstawowym prawem kobiety jest prawo decydowania o sobie, o swoim ciele. Bez tego wszystkie inne prawa mogą zostać jej odebrane, właściwie są nic niewarte!

Gdy mówisz o tym wszystkim, widzę jakby kolejne fale prące na ląd. Mam jednak wewnętrzne przekonanie, że ten potop został po czarnym proteście, po filmie „Kler" zatrzymany, że dalej już fale nie pójdą.

– Tak, zgadzam się z tą tezą. Napór konserwy został zatrzymany.

Historia kobiet rzadko kogo interesuje. Mamy przeważnie męską wersję historii.

Cieszę się, bo gdy spotkałyśmy się trzy lata temu, kilka miesięcy przed czarnym protestem, na promocji drugiego wydania „PoBOYowiska", nie widziałyśmy sił, które byłyby w stanie temu się przeciwstawić.

– Tak, czarny protest to był fantastyczny sukces! Tyle wspaniałych i młodych dziewcząt wyszło na ulice Polski. Dla nich przecież to wszystko robiłyśmy i robimy, nie dla siebie. Potem były kolejne inicjatywy, protesty pod Sejmem i na ulicach, i to one spowodowały, że nastąpiło zatrzymanie, a obecnie dokonuje się zmiana postaw społecznych.

Czy nie uważasz, że to się ujawni w najbliższych wyborach? Czy szeroko rozumiana lewica i centrolewica zaczną odbierać teren konserwie?

– To nieuniknione. Były już wcześniej jaskółki w Sejmie – wspomnę tu Annę Grodzką i Roberta Biedronia. Potem nastąpił powrót konserwatyzmu w postaci PiS, nacjonalistycznej, zaściankowej, ksenofobicznej formacji, która na tle seksu ma prawdziwą obsesję. Teraz to już nie będą jaskółki…

…które wiosny nie czynią.

– To będzie trwała zmiana kulturowa i mam nadzieję, że trend ten się utrwali w postaci porządnej reprezentacji, która dostanie się do Sejmu. Ludzie o poglądach liberalno-lewicowych znowu dojdą do głosu.

Myślisz o nowym ruchu tworzonym przez Roberta Biedronia?

– O nim także, choć przyznam, że boję się, by ludzie na nim się nie zawiedli tak jak na Palikocie. Ten widoczny u Biedronia narcyzm napawa mnie niepokojem. Z drugiej strony widzę tak silne parcie na coś nowego, progresywnego, widzę „moje" kobiety ze Strajku Kobiet i to chyba jest nie do powstrzymania. One będą na niego głosowały, bo jest symbolem tej Polski, za którą nasze środowiska tęsknią. Byle tego nie zepsuł! Do tej pory dominowały w Polsce partie wodzowskie, oby nie nastał czas partii narcystycznych. Może Biedroń dojrzeje w walce. A ta nowa formacja przyciągnie sporo nowych, wartościowych osób, wiele kobiet – wspaniałych działaczek, które pracują w różnych częściach Polski, które są w stanie zorganizować w trzy-cztery osoby fantastyczny marsz, pikietę, strajk, happening, wystawy, seminaria, demonstrację – dosłownie wszystko!

Myślisz, że feministki to poprą?

– Bardzo wiele.

A „stara" lewica? Obudzi się?

– Będzie to bolesne przebudzenie, ale niezbędne. Starzy, nowi, lewicowi, progresywni – wszyscy muszą się zabrać do pracy, by „dokończyć emancypację". Choć mówiąc między nami, procesy społeczne nigdy się nie kończą. Gdy skończymy jeden, zaczniemy drugi etap, a jeśli nie my, to kolejne pokolenie polskich feministek.

Mirosława Dołęgowska-Wysocka

3 tomy taniej 120 zł*

W pakiecie książka z AUTOGRAFEM autora!

Łagowski w prezencie na święta

Poszczególne książki i pakiet można kupić, wpłacając odpowiednią kwotę oraz opcjonalnie koszt wysyłki (bezpłatna wysyłka pocztą) na konto wydawcy PRZEGLĄDU 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, lub przez sklep internetowy: **www.sklep.tygodnikprzeglad.pl**

Wybierz sposób dostawy: • GRATIS wysyłka polecona Pocztą Polską • dostawa kurierem FedEx 14,90 zł • darmowa wysyłka kurierska przy zamówieniu na minimum 200 zł

*Promocyjne ceny obowiązują do wyczerpania zapasów. Liczba egzemplarzy „Państwa znikąd" z autografem ograniczona.

eprasa.pl a838ec7ecc

Bez uprzedzeń

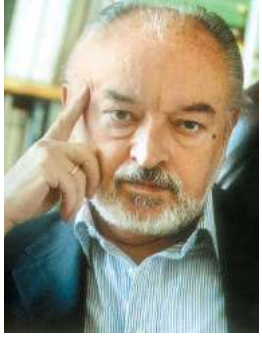

Bronisław Łagowski

REWOLUCJA, KTÓREJ NIE BĘDZIE

Podczas ostatnich wyborów prezydenckich we Francji obok zwykłych argumentów demagogicznych pojawiło się ostrzeżenie, które uważałem za prawdziwe. Głoszono mianowicie, że nawet gdyby Marine Le Pen jakimś cudem wygrała wybory, to rządzić nie będzie, a nawet nie obejmie urzędu. Ma ona bowiem nie tylko zwykłych przeciwników, ale także przeciwników nienawistnych i gotowych na wszystko, aby jej nie dopuścić do Pałacu Elizejskiego. Demokracja demokracją, wybory wyborami, jednak w ostatecznym rachunku liczą się wola i namiętności niekoniecznie większości obywateli, ale dużej ich części. Francja jest krajem rewolucyjnym i w sytuacjach krytycznych działania o znamionach rewolucyjnych mają symboliczną, a niekiedy faktyczną przewagę nad legitymizmem. Macrona wynaleziono w ostatniej chwili jako człowieka tak obrotowego, że nie można nawet dokładnie mu się przyjrzeć. Ten panicz, raz wiotki, raz sprężysty, miał nie tyle pogodzić socjalistów z liberałami, ile zatrzeć między nimi różnicę. Bodajże mu się to udało, ale głębsze podziały przebiegają według innych granic. Obecne gwałtowne wystąpienia uliczne w Paryżu, Marsylii i w wielu innych miastach mogą nam pokazać Francję podzieloną inaczej, niż była dzielona do tej pory. Podobno wśród tych, co chcą Macrona z Pałacu Elizejskiego wyprowadzić, można dostrzec też tych, co mieli nie pozwolić Marine Le Pen tam się wprowadzić. Jeżeli byłaby to prawda, znaczyłoby to, że część Francuzów między tą sprzeczną parą ważnej dla siebie różnicy nie widzi. Ale tak być nie musi i oni tę różnicę sobie uświadomią.

O co chodzi w tej rewolucji bez idei i bez przywódców? Ci, których łapią kamery telewizyjne, mówią, że są biedni, a nawet, że są głodni, co mnie dziwi. Może to tylko dalekie echo XIX-wiecznego, a nawet XVIII-wiecznego „chleba i wolności"? Trzeba to zrelatywizować, w ostatnich czasach wielu Francuzów – podobnie jak wielu Amerykanów – zbiedniało relatywnie lub bezwzględnie z przyczyn powszechnie wiadomych. Sięgnijmy do początku tych przyczyn, o którym może już się nie pamięta. Nie jestem znawcą Francji, ale przypominam sobie dyskusje w kręgach technokratycznych i politycznych w okresie – mniej więcej – rządów Pompidou, co będzie lepsze dla Francji: prowadzić politykę wysokich płac dla ciągle strajkujących Francuzów czy otworzyć szeroko bramę dla imigrantów, co ogólnie obniży płace. Wybrano to drugie rozwiązanie i dzisiejsi wściekli manifestanci są jego ofiarami. Temat imigracji we Francji i innych krajach podlega ścisłej „poprawności politycznej", ale ukrywany kłopot zawsze jakoś „wypuczy", jak wyrażał się Mirek Dzielski, mój kolega uniwersytecki.

Tydzień temu można było przeczytać w PRZEGLĄDZIE w interesującym wywiadzie Wojciecha Osińskiego z prof. Herfriedem Münklerem: „Rośnie rozczarowanie polityką migracyjną rządu. Przybysz z zagranicy nierzadko otrzymuje takie same świadczenia jak ktoś, kto we Francji przepracował 20 lat. Pod szczelnym przykryciem ogólnego optymizmu wzbierała więc długo społeczna frustracja, która pogłębiała bezład i niemożność".

Strażnicy poprawności politycznej nie interesują się przyczynami buntu „żółtych kamizelek", zmyślają przyczyny urojone. Ich przeraża możliwość przejęcia tego buntu przez Zjednoczenie Narodowe, partię Marine Le Pen, i chociaż na razie mało za tym przemawia, wygłaszają zaklęcia, aby tak się nie stało. Zapobiegawczo piętnują ruch „żółtych kamizelek" jako przejaw nacjonalizmu, populizmu oczywiście, a wkrótce też rasizmu.

•

Mówiąc wstrętnym językiem ekonomii, Polska jest eksporterem siły roboczej. Pod tym względem należy do kategorii krajów bałkańskich, północnoafrykańskich i podobnych. To, co mogłyby zrobić w Polsce dwa miliony wyeksportowanych pracowników, zrobione nie będzie. Dla przybyszy zza Buga Polska jest w większości przypadków stacją przesiadkową, a ich usługi są na ogół gorszej jakości niż Polaków, którzy zrobili im miejsce. Tak twierdzi wielu przedsiębiorców, a ja jako usługobiorca nie mogę temu zaprzeczyć. Podobnie jak w polityce również pod innymi względami upodabniamy się do naszego strategicznego sojusznika. Jeżeli mamy uprawiać politykę jagiellońską, to jej skutki trudno sobie wyobrazić inaczej.

•

Francja ma bogatą tradycję rewolucyjną, ale również tradycyjną umiejętność radzenia sobie z rewolucjami. Wyobraźmy sobie rozruchy o takiej skali i agresywności w Niemczech, a jeszcze lepiej w Rosji. Nawalny wyprowadzi na plac Błotny tysiąc manifestantów, a światowe media głoszą, że reżim Putinowski jest zagrożony, Rosja upada. Francja bez zamieszek i strajków wydaje się krajem dogorywającym. Po „rewolucji" władzę przejmuje inna partia albo i ta sama pod inną nazwą i wszystko wraca do normy. I tym razem tak będzie.

•

Zwolennicy zahamowania imigracji do Europy straszą ludzi terrorystami. Z drugorzędnego problemu robią pierwszorzędny. Przemilczają natomiast fakt, że jeśli Europa – Francja, Niemcy, inne państwa – zechce nakarmić wszystkich głodnych, którzy się zgłoszą, będzie miała głodnych Europejczyków i terror „żółtych kamizelek".

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a838ec7ecc

BEZ OPAMIĘTANIA

Okres przedświąteczny, kiedy reklamy i promocje są bardzo agresywne, jest szczególnie trudny dla zakupoholików

Ewa Rogowska

W centrach handlowych mikołaje, świąteczne piosenki, choinki, girlandy i tłumy klientów. Trwa zakupowe szaleństwo. Wśród zwykłych kupujących, którzy szukają prezentów pod choinkę, są też osoby, dla których kupowanie stało się najbardziej ekscytującym zajęciem. Kupują, bo muszą.

FANABERIA?

„W poniedziałek obudziłam się wcześnie, czując w środku pustkę. Rzuciłam okiem w stronę sterty nieodpakowanych reklamówek i zaraz odwróciłam się w drugą stronę. Zdawałam sobie sprawę, że nie powinnam była wydawać w sobotę tylu pieniędzy – nie musiałam kupować aż dwóch par butów ani tej liliowej sukienki. W sumie wydałam… nie, wolałam nawet o tym nie myśleć!”. Rebecca Bloomwood, bohaterka czterech powieści Sophie Kinselli, dziennikarka finansowa w jednej z gazet, udzielająca porad, jak lokować pieniądze, jest zakupoholiczką. Boryka się z nałogiem i gra w ciuciubabkę z bankiem, który nie daje jej spokoju z powodu permanentnego niespłacania zadłużenia na karcie kredytowej. Jej historia jest bardzo zabawna. Ale zapewne nie dla osób, które same wpadły w sidła uzależnienia od nadmiernych zakupów.

Pamiętam, jak jedna z moich znajomych wyznała, że jest zakupoholiczką. Nie zrobiło to na mnie dużego wrażenia. Pomyślałam jedynie, że musi nieźle zarabiać, skoro stać ją na taką fanaberię. Nie sądziłam wówczas, że jest to bardzo poważny problem, podobnie jak każde inne uzależnienie. A może nawet poważniejszy niż np. siecioholizm, czyli uzależnienie od internetu, bo ten pożera czas, ale nie pieniądze.

Badania przeprowadzone w Europie Zachodniej wskazują, że problem nałogowego kupowania dotyczy od 1 do 10% dorosłych. Szacuje się, że w Polsce jest ok. 2 mln zakupoholików, a 90% z nich to kobiety. Tak mały udział mężczyzn może wynikać z faktu, że oni swoje uzależnienie od robienia zakupów wolą nazywać kolekcjonerstwem lub zamiłowaniem do gadżetów. Wiedza o zakupoholizmie nie jest duża. Dlatego Fundacja Rozwoju Profilaktyki, Edukacji i Terapii Problemów Alkoholowych (ETOH) wydała serię broszur poświęconych uzależnieniom behawioralnym, w tym patologicznemu kupowaniu, przeznaczonych dla uczniów i rodziców. W bardzo przystępny sposób, dostosowany do wieku odbiorcy, tłumaczy się w nich, dlaczego nadmierne kupowanie jest tak niebezpieczne, z czego wynika i jak zapobiec temu uzależnieniu.

Około 2 mln Polaków jest dotkniętych zakupoholizmem.

Od sześciu lat Instytut Psychologii Zdrowia w Warszawie prowadzi ogólnopolski telefon zaufania dla osób uzależnionych behawioralnie oraz ich bliskich. – Wśród osób, które zgłaszają się do nas, ludzie dotknięci zakupoholizmem albo ich najbliżsi to jedynie kilka osób miesięcznie – mówi Tomasz Górecki, psycholog i psychoterapeuta, koordynator telefonu zaufania. – Prawie połowa telefonów do nas dotyczy uzależnienia od hazardu, na drugim miejscu jest uzależnienie od internetu i gier komputerowych, na trzecim – seksoholizm. Jeśli chodzi o zakupoholizm, zgłaszające się osoby możemy podzielić na trzy grupy. Pierwsza to uzależnione kobiety, które kupują kompulsywnie w sieciach sklepowych lub internecie. Druga to osoby im najbliższe, które jako pierwsze identyfikują ten problem i jako pierwsze ponoszą konsekwencje uzależnienia. Na przykład mąż zauważa, że na koncie nie ma pieniędzy, a kartą do rachunku

eprasa.pl a838ec7ecc

dysponuje również żona. On najpierw próbuje rozmawiać na ten temat, ale ona się wypiera. Bywa też, że osoby bliskie zauważają w szafie nadmiar ubrań z metkami. Trzecią grupę dzwoniących, która częściowo wkracza w zakres zakupoholizmu, stanowią osoby, które biorą kredyty, bo są przyzwyczajone do dobrostanu: kosztownych wycieczek zagranicznych i imprez, drogich mebli itp.

Nie wiadomo, skąd dzwonią zainteresowani, ponieważ telefony są anonimowe. Jedynie kiedy dzwoniący proszą o wskazanie placówki, w której mogą uzyskać pomoc, muszą powiedzieć, w jakiej miejscowości ma ona być zlokalizowana. Polecane są przychodnie, w których można uzyskać pomoc w ramach Narodowego Funduszu Zdrowia. Aby jednak dostać się na wizytę do takiej przychodni, pacjent musi mieć skierowanie od lekarza rodzinnego lub psychiatry. Dlatego, ze względu na dyskrecję, część pacjentów decyduje się na terapie odpłatne w prywatnych przychodniach lub w gabinetach psychologów. – Psycholodzy z telefonu zaufania nie tylko wskazują placówki, w których można znaleźć pomoc, ale prowadzą też psychoedukację i wspierają dzwoniących – twierdzi Górecki. – Zdarza się, że dzwoniący prosi o pomoc, bo znalazł się w spirali kredytowej. Chociaż nie jesteśmy prawnikami, potrafimy poradzić, gdzie powinien się zgłosić po bezpłatną poradę prawną, uświadamiamy, co to jest upadłość konsumencka i jak ją przeprowadzić. Kiedy pojawia się wizja komornika, ludzie uzależnieni od zakupów nie radzą sobie psychicznie, przeżywają kryzysy. Nie mówią o swoim uzależnieniu nawet osobom bliskim, bo to sprawa wstydliwa.

Tomasz Górecki uważa, że okres przedświąteczny, kiedy reklamy i promocje są bardzo agresywne, jest szczególnie trudny dla zakupoholików. A jeszcze trudniejszy dla osób, które wygrały walkę z nałogiem. Bo podobnie jak w przypadku alkoholików zakupoholik nigdy nie może być pewien, czy ponownie nie wpadnie w nałóg. Dlatego byli zakupoholicy w czasie przedświątecznym powinni omijać centra handlowe.

PRZEWODNIK DLA CIERPIĄCYCH

Specjaliści zajmujący się uzależnieniami uważają, że zbyt mało się mówi i pisze o zakupoholizmie. Wiele osób dotkniętych tym uzależnieniem w ogóle nie ma o tym pojęcia. Sądzą, że po prostu nie potrafią racjonalnie wydawać pieniędzy. Nie zauważają, że istnieje bardzo silny związek między ich samopoczuciem a robieniem zakupów. Zakupy robi się w momencie, kiedy nasila się napięcie wywołane np. niską samooceną. Dzięki aktowi zakupów to napięcie zostaje rozładowane. Ale za chwilę pojawiają się wyrzuty sumienia, że pieniądze zostały wydane na rzeczy niepotrzebne. W wyniku tego obniża się samoocena, pogarsza nastrój. Rośnie napięcie, które trzeba rozładować kolejnymi zakupami – i tak cykl się powtarza. To jak zaklęte koło, z którego trudno się wydostać.

Katarzyna Kucewicz, psycholożka, psychoterapeutka i pedagożka, wydała dwa lata temu książkę, która ma pomóc osobom podejrzewającym siebie o kompulsywne zakupy, „Zakupoholizm. Jak samodzielnie uwolnić się od przymusu kupowania?”. Jest to jedna z niewielu pozycji o tym uzależnieniu na polskim rynku.

– Nie mam danych, ile osób się wyleczyło z zakupoholizmu dzięki mojej książce – mówi. – Zdarza się, że czytelnicy, którzy korzystają z moich rad, wysyłają do mnie mejle. Zauważyłam, że kiedy ukazała się ta książka, zaczęli do mnie dzwonić także mężczyźni. Chociaż książka ma pomóc samodzielnie poradzić sobie z uzależnieniem, już po przeczytaniu kilku stron widać, jak trudne to

Zakupy robi się w momencie, kiedy nasila się napięcie wywołane choćby niską samooceną. Dzięki nim to napięcie zostaje rozładowane.

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl a838ec7ecc

zadanie. Dlatego raczej traktowałabym tę publikację jako przygotowanie do walki z zakupoholizmem. Pacjent najpierw przygląda się sobie, swoim nawykom zakupowym, analizuje, w jakim jest nastroju, kiedy robi zakupy, a w jakim potem, czy kupuje raczej w weekendy, czy w dni powszednie. Zastanawia się też, czym jest głód zakupowy, który powoduje, że jest podenerwowany, wkurzony i czuje, że jedynym wyjściem jest kupienie czegoś. Zakupoholizm może wynikać z deficytu miłości w dzieciństwie, bo w rodzinie pojawiło się młodsze dziecko, bo jeden z rodziców odszedł albo umarł. Jego powodem mogą też być złe doświadczenia w dzieciństwie, bo dziecko było pocieszane zabawkami i w ich otoczeniu czuło się bezpieczne. Jako osoba dorosła otacza się przedmiotami, które również dają poczucie bezpieczeństwa. Ktoś jako dziecko mógł słyszeć wielokrotnie od mamy lub babci stwierdzenie: „Na smuteczki najlepsze są szpileczki" i uwierzył, że kupowanie rozwiązuje problemy.

Test, który został zamieszczony w książce, pozwala szybko stwierdzić, czy czytelnik jest zakupoholikiem. Zawiera on 13 stwierdzeń, np.: zakupy są dla mnie sposobem radzenia sobie ze stresem i trudami dnia codziennego, zdarza się, że odczuwam przymus kupienia czegokolwiek w sklepie, często kupuję niepotrzebne produkty, nawet jeśli wiem, że zostało mi mało pieniędzy. Każdemu ze stwierdzeń trzeba podporządkować jedną z pięciu odpowiedzi, od: bardzo się zgadzam do: zdecydowanie się nie zgadzam. Najwyżej punktowane jest stwierdzenie: bardzo się zgadzam – 5 pkt. Jeśli czytelnik zbierze ponad 40 pkt, można przypuszczać, że jest zakupoholikiem.

– Zwykle zakupoholik wybiera sobie niszę, która jest dla niego ważna – twierdzi Katarzyna Kucewicz. – Jeżeli dla kobiety jest ważny wygląd, kupuje ona stroje i kosmetyki. Jedna z moich pacjentek była na urlopie nad morzem, w niedużej miejscowości, gdzie był tylko stragan z produktami na plażę. Kupowała więc piłki i materace dmuchane. Inna, kiedy nagle uznała, że powinna nauczyć się gotować, poszła do sklepu i kupiła kilkanaście książek kucharskich. Jeszcze inna powiedziała mi: „Pani Kasiu, przyniosę pani kilka książek, bo zorientowałam się, że mam po kilka egzemplarzy tego samego tytułu". W mojej książce zamieszczam historie kilkorga zakupoholików.

Młoda dziewczyna i jej narzeczony odłożyli pieniądze na wesele, które miało się odbyć na egzotycznej wyspie. Jednak dziewczyna wydała wszystkie pieniądze na zakupy. Do ślubu nie doszło. 40-latka kupowała ubrania i kosmetyki, bo chciała się podobać mężowi. Czuła się zbyt brzydka dla takiego przystojniaka jak on. Robiła coraz droższe zakupy, bojąc się, że mąż znajdzie sobie inną. 37-latka chciała dać naucz-

Czy jestem zakupoholikiem?

Katarzyna Kucewicz opracowała ten test na podstawie najpopularniejszego na świecie amerykańskiego kwestionariusza, który stworzyli Gilles Valence, Alain d'Astous i Louis Fortier w celu badania problemów związanych z kompulsywnymi zakupami.

Odpowiedz na poniższe pytania według następującej punktacji:
– bardzo się zgadzam – **5 pkt**
– raczej się zgadzam – **4 pkt**
– trudno powiedzieć – **3 pkt**
– raczej się nie zgadzam – **2 pkt**
– zdecydowanie się nie zgadzam – **1 pkt**

1. Kiedy mam gotówkę, nie mogę wytrzymać, żeby jej nie wydać w całości albo w sporej części.
2. Często robię zakupy w sposób impulsywny.
3. Zakupy są dla mnie sposobem na radzenie sobie ze stresem i trudami dnia codziennego.
4. Czasami mam wrażenie, że jest we mnie coś takiego, co mnie popycha do kupowania.
5. Zdarza się, że odczuwam przymus kupienia czegokolwiek w sklepie.
6. Po jakimś czasie mam poczucie winy z powodu zrobionych zakupów, zwłaszcza gdy nabyte produkty są mi niepotrzebne.
7. Kupiłem/am kilka rzeczy, których nikomu nie pokazuję, ponieważ boję się komentarza, że jestem irracjonalny/a i że mam problem z wydawaniem pieniędzy.
8. Bywa, że odczuwam silny, momentami męczący przymus wewnętrzny i pragnienie, by sobie coś kupić.
9. Gdy jestem w galerii handlowej, odczuwam intensywny przymus kupienia sobie czegoś i czuję się bardzo sfrustrowany/a, gdy nie mogę tego zrobić.
10. Często korzystam z promocji i wyprzedaży, także przez internet, nawet jeśli nie mam zbyt wiele pieniędzy.
11. Często kupuję niepotrzebne produkty, nawet jeśli wiem, że zostało mi mało pieniędzy.
12. Jestem rozrzutny/a.
13. Czasami myślę, że żałuję wielu czynów, które popełniłem/am, i przykro mi z powodu tego, co kiedyś komuś zrobiłem/am albo powiedziałem/am.

Interpretacja wyników

Ok. 20 pkt
Możesz spać spokojnie, bo uzależnienie od zakupów cię nie dotyczy. Widzisz jednak kłopot w pewnych swoich zachowaniach konsumenckich.

Ok. 30 pkt
Co prawda, nie można cię jeszcze określić mianem zakupoholika, ale niestety, jesteś na drodze do wejścia w nałóg kompulsywnego kupowania.

Ponad 40 pkt
Taka suma punktów sugeruje, że twoje kupowanie niestety nosi znamiona nałogowego regulowania emocji. Prawdopodobnie zakupy stały się dla ciebie koniecznością, bo tylko one poprawiają ci humor i pozwalają pozbyć się przykrego napięcia. Musimy nazwać rzecz po imieniu – tak wysokie noty wskazują na zakupoholizm.

eprasa.pl a838ec7ecc

kę mężowi, który nie skonsultował z nią zmiany pracy, i postanowiła roztrwonić zarabiane przez niego pieniądze, robiąc zakupy dla siebie i kupując różne rzeczy do domu. Postępowała tak ze złości i z tęsknoty za mężem, który pracował za granicą. Mąż myślał, że żona odkłada pieniądze na zakup działki pod miastem. Kiedy się okazało, że nic nie odłożyła, rozstał się z nią.

– Zdarza się, że ludzie przychodzą do mnie, bo nic ich nie cieszy i szukają pomocy – mówi Kucewicz. – A po jakimś czasie okazuje się, że podłożem braku radości jest zakupoholizm. Zakupoholicy potrzebują coraz silniejszych bodźców, żeby uzyskać taki sam jak wcześniej poziom zadowolenia. Jeśli brakuje im pieniędzy, to pracują więcej, biorą nadgodziny, są skrajnie wyczerpani, zestresowani. Zaczynają się choroby, które mogą być spowodowane przez stres, takie jak łuszczyca czy atopowe zapalenie skóry. Inni się zadłużają albo próbują kraść. Jeśli więc ktoś zauważy, że jakaś niewidzialna siła każe mu iść do sklepu, powinien potraktować to jako sygnał ostrzegawczy.

ZAKUPY Z LEWĄ PÓŁKULĄ

Z roku na rok oferta wsparcia dla zakupoholików w Polsce się poszerza. Ale nadal nie funkcjonują grupy anonimowych zakupoholików, podobne do grup AA. Na leczenie osoby uzależnione od nadmiernego kupowania zgłaszają się zazwyczaj do psychologa. Terapia polega na spotkaniach, które mają wyjaśnić uzależnionemu, dlaczego dotknął go zakupoholizm. Zwykle są to terapie indywidualne. Nawet w Warszawie w przychodni Akmed – Centrum Konsultacyjnym NZOZ, w której przyjmuje jeden z najbardziej znanych specjalistów od uzależnień behawioralnych dr Bohdan Woronowicz, nie udaje się stworzyć grupy. Indywidualna terapia uzależnień prowadzona jest dwa, cztery albo nawet osiem razy w miesiącu. Niektórzy terapeuci z góry podpisują kontrakt na określoną liczbę spotkań. Często się zdarza, że kiedy terapia uzależnień zostanie zakończona, pacjent trafia na psychoterapię, która dotyczy innych dziedzin jego życia. Psychoterapeuci oferujący usługi w kwestii leczenia zakupoholizmu pracują według różnych nurtów psychoterapii. Warto więc wcześniej zorientować się, czy jest to nurt skuteczny w przypadku tego uzależnienia. Zdaniem specjalistów najlepsze efekty daje psychoterapia poznawczo-behawioralna.

Zakupoholik nigdy nie może być pewien, że ponownie nie wpadnie w nałóg.

Może się zdarzyć, że osoba uzależniona od zakupoholizmu będzie wymagała leczenia psychiatrycznego, a to z racji objawów towarzyszących temu uzależnieniu. Wtedy może być stosowana farmakoterapia. Osoby uzależnione biorą też udział w warsztatach kontrolowania wydatków. Ich uczestnicy uczą się, jak robić zakupy, wykorzystując lewą półkulę mózgu, która odpowiada za myślenie analityczne, a nie prawą, odpowiadającą za emocje.

Ewa Rogowska

eprasa.pl a838ec7ecc

REWOLUCJA WE FRANCJI

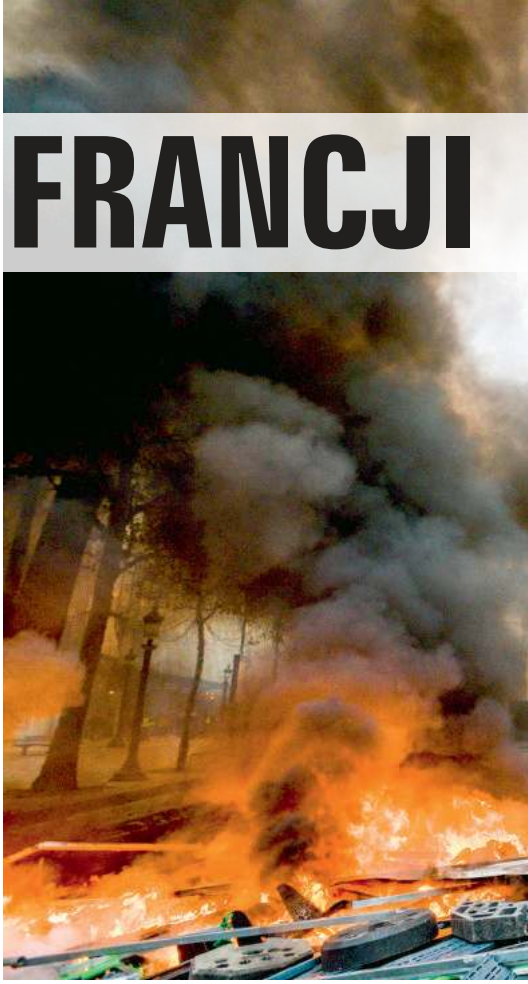

Paryż płonie, ponieważ w imię interesu powszechnego odrzucił egoizm sytych i zadowolonych i wybrał solidarność ze słabszymi

Jarosław Dobrzański

Gdy w maju 2017 r. polskie i światowe media zachwycały się tryskającym energią młodości, urzekającym inteligencją i nieskażonym przez patologiczny system partyjny nowym prezydentem V Republiki Francuskiej, 39-letnim Emmanuelem Macronem, PRZEGLĄD należał do nielicznych tytułów, które nie podzielały tych zachwytów. Napisaliśmy wtedy, że Macron nie jest żadną nadzieją na inną, lepszą Francję (i Europę), lecz produktem marketingowym – polityczną wydmuszką. W samej Francji tylko wybitni intelektualiści nie dali się nabrać na podrobiony towar. Podczas gdy media podkreślały wyjątkowe zdolności intelektualne Macrona, politolog i socjolog Emmanuel Todd nazwał macronizm „zbiorową halucynacją klasy średniej", a filozof i historyk idei Alain de Benoist opisał prezydenturę Macrona jako „produkt tych, którzy nie myślą". Już sam sposób, w jaki narzucono społeczeństwu nowego lidera – w drodze pałacowych kombinacji i nachalnej promocji medialnej – nie tylko nie wróżył mu dobrej przyszłości, ale był drwiną z demokracji i ośmieszał Francję, która swoją historią intelektualną zasłużyła sobie na opinię kraju rozumu politycznego, idei i praw.

UPADEK SYSTEMU PARTYJNEGO

Ostatnie ćwierćwiecze to okres całkowitej dekompozycji francuskiej kultury politycznej, której zewnętrznym przejawem była parada coraz gorszych figur na najwyższym urzędzie republiki. Poczynając od Chiraca, przez Sarkozy'ego i Hollande'a, a na Macronie kończąc, wyłania się obraz równi pochyłej. Ten ostatni ma szansę stać się pierwszym prezydentem zdjętym z urzędu przez lud.

Opisując w sposób najbardziej zrozumiały ten rozpadający się bezosobowy „system", trzeba wskazać dwie jego cechy. Po pierwsze, obumieranie i rozkład tradycyjnej struktury politycznej opartej na partiach z podziałem na lewicę i prawicę. Owszem, kandydatów na urzędy nadal wystawiają jakieś partie, ale nie są to już te same byty polityczne, co kiedyś. Poza tym, by się wyróżnić, trzeba werbalnie odcinać się od partii, podawać za kandydata spoza systemu, układu, establishmentu lub – w ostateczności – ogłosić się kandydatem nowej, odnowionej czy nowoczesnej partii; trzeba udawać kogoś innego, niż się jest. Trzeba też posługiwać się słowami pozbawionymi znaczenia i językiem wypranym z idei.

Nowy, nowoczesny to słowa klucze marketingu politycznego. Neoliberalny „socjalista" Benoît Hamon frakcję odszczepieńców z Partii Socjalistycznej, którzy poszli za nim, nazwał „nową partią socjalistyczną". Macron też założył nową partię, jakby nie był emanacją żadnej koterii. Jego partię powołano do życia *ad hoc*, tak jak w biznesie do specjalnych przedsięwzięć tworzy się spółkę celową. Powstała znikąd, jako odpowiedź na potrzebę chwili. Oczywiście nie znaczy to, że Macron był znikąd lub że nikt za nim nie stał. Stały za nim poważne siły, stali konkretni wpływowi ludzie, choć nie musieli przynależeć do żadnej znanej partii. Na pewno nie byli z powołanej na potrzeby wyborów parlamentarnych partii Macrona, ale najważniejsze było to, że Macron – bez względu na barwy jego legitymacji – był z ich „partii", a dokładniej z francuskiej sekcji międzynarodowej oligarchii interesów globalizmu.

Oligarchia ta przepoczwarzyła się w ukrytą *quasi*-partię i uczestniczy w wyborach, wyznaczając ludzi do objęcia urzędów i mandatów, ale sama w nich nie występuje, nie pokazuje się na konferencjach prasowych, nie ujawnia swoich władz, członków, pieniędzy i sztandarów ani nie poddaje się kontroli ze strony państwowych komisji wyborczych czy obserwatorów międzynarodowych nadzorujących poprawność elekcji. Tym sposobem kapitał finansowy przejął władzę nad procesem politycznym.

AGONIA ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH

Po drugie, zabrakło we współczesnej Francji tej siły, która po II wojnie światowej odgrywała jedną z najważniejszych ról w życiu społeczno-ekonomicznym i politycznym kraju – związków zawodowych. Struktury związkowe zaczęto rozbijać we Francji zaraz po wojnie, ale proces nabrał rozpędu i przyniósł wyniki dopiero w latach dominacji neoliberalizmu. Związki zwalczano wszelkimi metodami, od prywatyzacji i reprywatyzacji, poprzez likwidację miejsc pracy w przemyśle, po stopniową eliminację prawa pracy, nie wyłączając metody przetestowanej jeszcze w początkach kapitalizmu w carskiej Rosji, zwanej tam (od nazwiska jej twórcy) zubatowszczyną, a w Europie socjalizmem policyjnym.

eprasa.pl a838ec7ecc

Skala zniszczeń podczas tegorocznych zamieszek jest większa, niż była w czasie protestów w 1968 r.

Za sprawą trwającej ponad ćwierć wieku wojny państwa ze związkami autentyczne organizacje pracownicze istnieją we Francji tylko w formie szczątkowej, ze zdziesiątkowanym członkostwem, biedną infrastrukturą organizacyjną i uprawnieniami ograniczonymi przez neoliberalny reżim prawny. Przestały być – tak samo jak partie polityczne – współdecydującymi podmiotami życia zbiorowego. Na ulicach Paryża widać było sztandary największej – już nie komunistycznej – centrali związkowej CGT, ale to nie ona wywołała tę rewoltę, ona tylko przyłączyła się do niej.

HEGEMONIA BEZIMIENNEJ OLIGARCHII

Na gruzach obumarłych tradycyjnych partii i związków zawodowych stojących na straży interesów i praw słabszych uczestników życia gospodarczego pozostały na placu boju w zasadzie dwa ugrupowania. Jedno, dziś dominujące, ale właśnie mocno zaatakowane, to ponadpartyjna i bezimienna „partia" oligarchii. W ostatnich wyborach prezydenckich miała nieporównanie większe szanse na wygraną, bo reprezentowało ją aż trzech kandydatów, którzy nominalnie startowali z różnych partii, ale była to tylko fasada, mająca wprowadzać wyborców w błąd. Nic więc dziwnego, że wybory te wygrała partia oligarchii, którą chwilowo jest partia Macrona. Pozostałe dwie, które mogły liczyć na sukces – socjalistyczna i konserwatywna – są także partiami oligarchii. Nacjonalistyczne Zjednoczenie Narodowe (dawny Front Narodowy) nie jest taką partią, ale bez względu na zakres poparcia nie ma realnych szans na zwycięstwo i nie jest właściwą odpowiedzią na bolączki Francji.

Podobnie rzecz się miała w wyborach do Zgromadzenia Narodowego. Zmieniając uprzednio ordynację wyborczą na większościową, ukryta partia oligarchii zapewniła sobie sukces i zablokowała marsz do polityki głównemu przeciwnikowi, prawicowemu Zjednoczeniu Narodowemu pani Le Pen. Przy okazji system większościowy jest też skuteczną zaporą dla tradycyjnej lewicy spod znaku potężnej kiedyś Francuskiej Partii Komunistycznej, ale ta, będąc dziś w rozsypce, i bez tej blokady jest rozbrojona. O socjalistach lepiej nie mówić. Ostatni socjalistyczny prezydent Hollande na swojego następcę namaścił właśnie Macrona, który dla niepoznaki zrzucił skompromitowany szyld partyjny, by udawać człowieka spoza układów.

Z tych powodów sprzeciw społeczeństwa francuskiego wobec zapowiadanych przez rząd zmian w polityce gospodarczej – zmian, dodajmy, pozornie mało istotnych i niezbyt radykalnych – przybrał charakter otwartego buntu. Partie już nie wyrażają interesów społeczeństwa, które musiało nagle znaleźć inną formę przekazu. Nie chodziło przy tym o te kilka eurocentów podwyżki ceny litra paliwa, ale o to, że wraz z innymi zmianami podwyżka ta wpisywała się w ciąg działań rządu drastycznie łamiących umowę społeczną. Kilka eurocentów symbolicznie przelało czarę goryczy wypełnioną po brzegi słusznymi skargami zwykłych Francuzów, których od dawna nikt nie słuchał.

Ślepy na skutki swoich działań rząd nakładał na najsłabszych coraz to nowe obciążenia, sądząc zapewne, że nikt nie zorientuje się w jego niesprawiedliwej polityce podatkowej albo że w całym kraju zapanowała już powszechna zgoda na władzę neoliberalnej ideologii w życiu gospodarczym. Jeśli władza arbitralnie redukuje zdobycze socjalne wywalczone przed laty przez klasę pracowniczą, jeśli majstruje przy prawie pracy, pozbawiając ochrony słabszą stronę kontraktu, jeśli sama praca staje się przywilejem i towarem rzadkim, a dobra praca luksusem, jeśli władza odbiera prawa do zasiłków; jeśli uderza w ludzi ubogich, likwidując dopłaty do czynszów, a jednocześnie 10-procentowej mniejszości najbogatszych daje w prezencie sowite ulgi podatkowe, dzięki którym ich fortuny urosną jeszcze szybciej, a oni sami jeszcze

Przeciętny Francuz z prowincji zmuszony jest dojeżdżać prywatnym samochodem z jednej macpracy do drugiej.

FOT. STARFACE PHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl a838ec7ecc

bardziej odizolują się od problemów codziennego życia większości Francuzów, to nie można się dziwić, że kraj ogarnia bunt, ostatnia forma samoobrony obywateli w przypadku złamania przez rządzących umowy społecznej.

UROJENIA NOWEJ LEWICY

W takiej sytuacji jedna iskra wystarczy do podpalenia kraju. Oderwane od realiów projekty rządowe – inspirowana przez wielki biznes nadgorliwa walka z zanieczyszczaniem powietrza kosztem pogłębiającej się nędzy klasy niższej i niższej średniej – zmusiły ludzi do zrzucenia z siebie reżimu codziennych trosk i wyjścia na ulicę. W paryskich kawiarniach – pewnie nie inaczej niż w warszawskich i krakowskich – w modzie są dyskusje korpoelity i hipsterów o nowoczesnym urbanizmie bez samochodów.

Nowy, nowoczesny to słowa klucze marketingu politycznego.

Ale na francuskiej prowincji, gdzie nadal żyje spora część społeczeństwa i gdzie nie ma żadnego transportu publicznego, zmuszanie ludzi do zmiany stylu życia oznaczało nie tylko nachalną pedagogiczną przemoc, ale też umniejszanie już i tak bardzo mizernych środków do życia. Przeciętny prowincjusz, by jako tako związać koniec z końcem, zmuszony jest dojeżdżać prywatnym samochodem z jednej macpracy do drugiej. Zazwyczaj nie jest to nowy samochód i z pewnością nie elektryczny. Także na prowincji wyrosły już dzielnice nędzy. Przemieszczanie się, które dla tych ludzi – w odróżnieniu od uprzywilejowanych paryskich hipsterów – nie jest przyjemnością czy relaksem po „twórczej pracy" w modzie, mediach lub „dizajnie", ale surową koniecznością ekonomiczną, niesie ze sobą również pewne ryzyko związane z bezpieczeństwem osobistym. Mówiąc językiem otwartym, nie jest zbyt rozsądnie – niezależnie od tego, co kto myśli o rasizmie i relacjach rasowych w wieloetnicznych państwach – przejeżdżać kilka razy dziennie obok jakiegoś lokalnego Molenbeeku na hulajnodze, rowerze czy deskorolce, pomijając kwestie wygody, utraconego czasu i praktyczności takich pomysłów. To naprawdę nie to samo co paryskie bulwary nad Sekwaną.

Dyktat z Paryża, który zmuszał zabiedzony i zagoniony robotą lub przerażony brakiem perspektyw na pracę prekariat do przyjęcia modnego lifestyle'u, musiał być odbierany na dołach drabiny społecznej jak drwina z ciężkiego losu zwykłych ludzi i całkowite odrealnienie elit. Pożeniona z neoliberalizmem nowoczesna pseudolewica, siląc się na modne nowe utopie doskonałego życia w wielkim mieście, zapomniała o konieczności ochrony zupełnie elementarnych potrzeb klasy pracowniczej, tej z dalekich przedmieść i odległej prowincji. Zdradziła ją, bo tak jak wszystkie nowoczesne partie, kierujące się marketingiem i obsługujące tylko pożądanego „klienta docelowego", czyli zamożnych konsumentów, którzy chętnie i dużo wydają na luksusowe potrzeby, upatrzyła sobie nowoczesny, młody i wykształcony elektorat, złożony z nowej klasy średniej. Tylko że tego elektoratu nie wystarczyłoby nawet dla jednej partii, a chciałyby go mieć wszystkie dotąd liczące się, poza skrajną prawicą i religijnym fundamentalizmem. Nic więc dziwnego, że część porzuconego elektoratu lewicy wpadła w objęcia ruchów antydemokratycznych.

KRYZYS PAŃSTWA

Ten bunt jest czymś więcej niż chuligańskimi zamieszkami ulicznymi, z których kraje zachodnie obarczone niekontrolowaną imigracją dały się poznać w przeszłości. Poparcie dla ruchu „żółtych kamizelek" jest szerokie. Zajścia uliczne – choć wybuchły spontanicznie – były przygotowane i rozegrały się w Paryżu, dokąd protestujący postanowili przyjechać, by osobiście doręczyć rządowi wyrazy swojego oburzenia. To właśnie prowincja francuska, Francja B, jest najbardziej poszkodowana polityką globalizmu, polityką cięć kosztów, oszczędności, delegowania i eksportu pracy przy równoczesnym mnożeniu zadłużenia i nieproporcjonalnie lekkim obciążaniu podatkami najbogatszych warstw.

Zabrakło we Francji siły związków zawodowych.

Jednak pomimo tego, że skala zagrożenia porządku publicznego jest większa niż w czasie zamieszek z maja 1968 r., jak i tego, że większa jest również liczba ofiar i poszkodowanych w porównaniu z zajściami sprzed 50 lat, paryżanie z klasy średniej nie wycofali swojego poparcia dla protestujących. Może dlatego, że nigdy wcześniej w historii V Republiki pozycja klasy średniej nie chwiała się tak bardzo, nigdy jej szeregi nie zostały tak mocno przerzedzone i nigdy zagrożenie deklasacją i biedą nie było tak realne jak dziś. Dziś nowa Francja znowu pokazuje światu sens idei, która zrodziła się w dawnej Francji, w czasach konfliktów społecznych targających nią w XIX w. – sens idei solidarności. Paryż płonie, ponieważ w imię interesu powszechnego odrzucił egoizm sytych i zadowolonych i wybrał solidarność ze słabszymi. Lud – jak kiedyś frondyści, sankiuloci, komunardzi – wyszedł na scenę i przemówił sam, bez pośredników i przywódców.

Jest to nie tylko kryzys społeczny i polityczny, świadczący o wyczerpaniu się dotychczasowej formuły regulowania konfliktów i kreowania konsensu przez system partyjny, ale także kryzys państwa, które nie wywiązało się z roli uczciwego arbitra zróżnicowanych, mniej lub bardziej usprawiedliwionych i kolidujących ze sobą interesów społecznych. Trudno sobie wyobrazić sytuację, by bez radykalnych zmian obecny kryzys mógł zostać zażegnany i by Francuzi szybko wrócili do codziennego życia, jakby nic się nie stało. Rewolucja we Francji stała się faktem i nie zaczęła się trzy tygodnie temu od protestu „żółtych kamizelek". To tylko jeden z jej skutków. Porządek społeczny we Francji został wywrócony, gdy narzucono jej obce wzorce kulturowe regulujące sferę stosunków gospodarczych. Bez odpowiedzi pozostają pytania, czym była rozgrywająca się na naszych oczach ostatnia jej faza i co po niej zostanie. Czy to jednorazowy akt zniszczenia i przejściowe wyładowanie emocji przed powrotem neoliberalnej normalizacji, czy czeka nas seria paroksyzmów i wybuchów przemocy zwiastujących zgon dawnego ustroju? Czy może z chaosu wyłonią się nowa jakość, nowy porządek i nowa konstytucja?

Jarosław Dobrzański

eprasa.pl a838ec7ecc

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

PÓŁ LITRA CZYSTEJ CZARNEJ NA ŁEB

Książkę „Strach. Trump w Białym Domu" legendy amerykańskiego dziennikarstwa Boba Woodwarda, jednego z tych dwóch od Watergate, czyli końca Nixona, można czytać i analizować na wiele sposobów. Pewnie inaczej będą ją czytać wojskowi, inaczej historycy, co innego będzie ważne dla pracowników służb specjalnych, ekonomistów, politologów. Cokolwiek by powiedzieć, i sama prezydentura, i jej główny bohater są zjawiskowi i odmienni od niemal wszystkiego, co można było w tym budynku zobaczyć (kto mógł, ten mógł...). Nie chcę analizować tej opowieści Woodwarda, któremu udało się skłonić do wyznań najbliższych współpracowników Trumpa (niemal wszyscy to już oczywiście byli współpracownicy), ludzi, którzy przebywali obok niego na okrągło, mieli do niego nieograniczony dostęp w Gabinecie Owalnym, organizowali jego prezydenturę, bo trudno to nazwać pracą, choć skończyło się rządzeniem najpotężniejszym imperium globu.

O tzw. antyintelektualizmie Trumpa powiedziano już wiele, ale to jakby nic nie powiedzieć. Donald Trump jest postacią jak z kreskówki, nie czyta i nie rozumie, nie rozumie, bo nie czyta, nie pamięta, wierzy temu, kto ostatni do niego mówił, ale i tak po chwili podzieli zdanie przeciwne, bo wygłosili je córka lub zięć. Jak z komiksowego horroru jest jednak osobą, która niezależnie od braku jakiejkolwiek ugruntowanej wiedzy o świecie podejmuje decyzje z natychmiastowym skutkiem (albo raczej bardzo usiłuje podjąć), nie bacząc na konsekwencje. Kieruje się tzw. intuicją, czyli kompletnie chaotycznym, całkowicie przypadkowym ciągiem luźnych wrażeń splecionych w emanacje jego wielkiego ego, poza którym istnieje może jeszcze tylko najprostsza wizja polityczności świata, z dwiema jedynie rubrykami: winien i ma. USA traktuje jak swoje kolejne wystrzeliwujące w niebo gmaszysko hotelowo-deweloperskie.

Ale nie w tym rzecz. Trump był mi potrzebny do skreślenia kilku słów nawet nie o szczycie klimatycznym w Katowicach, lecz szerzej – o reakcji politycznej na kompleks problemów cywilizacyjno-przetrwaniowych związanych z konsekwencjami globalnego ocieplenia. Może więc już nawet nie dziwi, że Trump w to całe globalne ocieplenie nie wierzy. Cóż, zrozumieć nie potrafi, może zatem wierzyć lub nie, 50% na 50%, padło na nie wierzy. Ta jego niewiara to absolutnie autonomiczna decyzja. Mamy też innych, policzalnych na palcach jednej ręki, „teoretycznych" przywódców państw, którzy choć cały czas się uczą, uczą bez przerwy, w aucie, kiedy jadą, i w samolocie, kiedy lecą, w swoim nierozumieniu niczym od Trumpa – który przynajmniej żadnego uczenia nie symuluje – się nie różnią. Nie wierzą. Albo łżą. Do nich należy niestety polski prezydent, który żenującą niekompetencją pochwalił się podczas szczytu klimatycznego w Katowicach (oddaję mu sprawiedliwość – cała formacja polityczna, pod którą jest podłączony Duda, werbalnie deklaruje ten sam rodzaj skrajnej ignorancji). Trudno coś poradzić, kiedy patrzymy na to tak, jak gdyby na światowy zjazd abstynentów wpadł rodak z pół litrem wódki i pokrzykiwał: „To po maluchu! I na drugą nóżkę! Jeszcze nigdy kieliszeczek nikomu nie zaszkodził, a to taka nasza najtradycyjniejsza tradycja. A co tam, z prezydentem się nie napijesz?!". Brakowało tylko, żeby Polska zrobiła maskotką szczytu butelkę wódki o nazwie Czysta Czarna, pierwsza wódka z węgla.

Trudno nawet ironizować, operować szyderstwem, kiedy człowiek zdaje sobie sprawę, przed jakim realnym zagrożeniem stoi nasza planeta, i kiedy obserwujemy przedszkolną naiwność osób, które podejmują strategiczne decyzje polityczne. Albo nie podejmują żadnych, albo kuriozalne. A zegar tyka, katastrofa jest na wyciągnięcie ręki.

Mam dwa konstruktywne pomysły. Pierwszy taki, żeby przekonać nieprzekonywalnych bez potrzeby używania argumentów ze świata nauki, bo to okazuje się niewykonalne, a jak widać po Trumpie, nie przeszkadza rządzić mocarstwem z bronią jądrową. Trzeba sięgnąć po argument z historii filozofii chrześcijańskiej. Czyli blisko wiary. Jeden z najsłynniejszych matematyków i fizyków w historii, XVII-wieczny naukowiec, kładący podwaliny m.in. pod rachunek prawdopodobieństwa, zapisał się też w historii jako myśliciel religijny, mistyk chrześcijański. Zostawił po sobie tzw. zakład, zwany jego nazwiskiem. W skrócie: mając dwa warianty – istnieje Bóg i życie wieczne w nagrodę za dobre życie oraz nie istnieje Bóg ani żadne życie wieczne – Pascal przekonywał, że bardziej opłaca się człowiekowi założyć prawdziwość pierwszego wariantu, bo nawet jeśli nie okaże się on trafiony, straty będą mniejsze, niż kiedy prawdą będzie wariant z Bogiem i życiem wiecznym.

Proponuję więc zaadaptowanie zakładu Pascala do problemu zmian klimatycznych: lepiej uwierzyć, że te zmiany są i są równocześnie śmiertelnym zagrożeniem dla całej planety, i że jeszcze mamy chwilę, żeby wspólnym, globalnym wysiłkiem je ograniczyć (koniec z gospodarką węglową), bo tak możemy przeżyć.

A drugi, praktyczny pomysł jest taki, żeby zamiast lekcji religii natychmiast wprowadzić lekcje o klimacie, tak żeby kolejne pokolenia po prostu rozumiały, co wokół nas się dzieje, dlaczego i co możemy z tym zrobić. Najprawdopodobniej.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a838ec7ecc

Prezydent, który rozumiał Polskę

Sześć wizyt George'a H.W. Busha

Longin Pastusiak

Zmarły niedawno prezydent Stanów Zjednoczonych George H.W. Bush aż sześciokrotnie przebywał w Polsce jako wiceprezydent, prezydent i były prezydent. Prezydentura Busha (1989-1993) przypadła na okres głębokich zmian politycznych w Polsce, co doprowadziło również do przełomu w stosunkach polsko-amerykańskich.

Po raz pierwszy Bush gościł w Polsce jako wiceprezydent od 26 do 29 września 1987 r. Po rozmowach w Sejmie George Bush i Kazimierz Barcikowski podpisali polsko-amerykańską umowę o współpracy naukowej i technicznej m.in. w dziedzinie medycyny, rolnictwa, ochrony środowiska, energii i transportu.

W CZTERY OCZY Z WOJCIECHEM JARUZELSKIM

George H.W. Bush już jako prezydent USA z zadowoleniem przyjął wynik konferencji Okrągłego Stołu w Polsce. Dał temu wyraz w liście skierowanym do Wojciecha Jaruzelskiego. Od 9 do 11 lipca 1989 r. prezydent Bush przebywał w Polsce z oficjalną wizytą. 10 lipca o godz. 9.30 przybył do Belwederu na spotkanie z przewodniczącym Rady Państwa Wojciechem Jaruzelskim. Po serdecznym powitaniu, które rejestrowały dziesiątki kamer telewizyjnych i aparaty licznie przybyłych fotoreporterów, obaj politycy przeszli do Sali Pompejańskiej na rozmowy w cztery oczy. Bushowi towarzyszył Brent Scowcroft, doradca ds. bezpieczeństwa narodowego, Jaruzelskiemu zaś Kazimierz Duchowski – dyrektor departamentu amerykańskiego w MSZ. Spotkanie trwało niemal dwie i pół godziny.

Z rozmów z członkami amerykańskiej delegacji oraz dziennikarzami amerykańskimi wynikało, że Bush uznał za nierealne oczekiwania Solidarności na przyznanie Polsce 10 mld dol. kredytów. Wyraził się także krytycznie o dążeniach rewindykacyjnych związków zawodowych. Opowiedział się za równoległym realizowaniem reform politycznych i gospodarczych. Podkreślił, że składając wizytę w Polsce, nie zamierza ingerować w sprawy wewnętrzne ani utrudniać jej stosunków z sąsiadami.

Równocześnie, jak wynika z notatki sporządzonej z tego spotkania, Bush stwierdził, że jest dla niego „frustrujące, że gospodarka polska nadal znajduje się pod presją żądań związków zawodowych. Aby gospodarka mogła stać się konkurencyjna, związki zawodowe muszą zgodzić się na redukcję świadczeń i zarobków. Solidarność i OPZZ winny stanowić konstruktywną siłę w procesie reform, zgodziły się przecież wejść do parlamentu i muszą współuczestniczyć w reformowaniu. W Ameryce jest powiedzenie, że nikt nie powinien kalać własnego gniazda. Bush będzie o tym mówił jutro z Wałęsą. Nie wie, czy związki zawodowe przyjmą jego opinię, ale będzie się starał przekonać je o potrzebie wspólnego wysiłku"[1].

Tak długą rozmowę Busha z Jaruzelskim odczytano jako poparcie dla generała i jego kandydatury na stanowisko prezydenta. Potwierdził to sam Bush w książce opublikowanej w 1998 r., pisząc: „Powiedziałem mu [W. Jaruzelskiemu], że jego odmowa ubiegania się [o wybór na prezydenta] będzie prowadziła w sposób nieunikniony do destabilizacji, i nalegałem, żeby rozważył swoją decyzję ponownie. Powstała sytuacja paradoksalna: prezydent USA usiłuje przekonać wyższego przywódcę komunistycznego, aby ubiegał się o urząd prezydenta swojego kraju. Ale sądziłem, że doświadczenie Jaruzelskiego stwarzało najlepsze warunki dla łagodnej transformacji systemu w Polsce"[2].

W przemówieniu wygłoszonym w Sejmie prezydent mówił o historycznych związkach Stanów Zjednoczonych z Polską i przedstawił propozycje rozwoju współpracy gospodarczej między naszymi krajami. Wyraził również „uznanie dla generała Jaruzelskiego za jego przywództwo i podziękowanie za okazaną wyjątkową gościnność".

Żegnając Busha na lotnisku, Jaruzelski określił wizytę jako „niezwykle ważny i doniosły rozdział w historii stosunków polsko-amerykańskich". „Jest Pan – powiedział – doświadczonym, dalekowzrocznym, budzącym sympatię politykiem. Chcę podziękować Panu, Panie Prezydencie, za zrozumienie złożoności naszych obecnych problemów". George Bush stwierdził, że „była to szczególna wizyta w kraju wyjątkowym i wśród ludzi, którzy budzą w nim natchnienie".

W lipcu 1989 r. Wojciech Jaruzelski został prezydentem PRL. W związku z tym sekretarz prasowy Białego Domu Marlin Fitzwater przekazał w imieniu prezydenta Busha następujące oświadczenie: „Gratulujemy generałowi Jaruzelskiemu wyboru na urząd prezydenta Polski. Wybór przywódcy jest wewnętrzną sprawą narodu polskiego. Naszą jedyną troską jest to, aby proces reform polityczno-gospodarczych postępował naprzód. Prezydent podkreślał to wielokrotnie podczas swej podróży. Prezydenta szczególnie uderzyło ogromne pragnienie narodu polskiego, by wspólnie działać dla zbudowania pomyślnej przyszłości. Jednym z celów podróży prezydenta było wyrażenie nadziei, że wszystkie strony będą działać wspólnie dla dobra narodu polskiego"[3].

W czasie konferencji prasowej 23 sierpnia Bush podkreślił, że w Polsce dokonują się „dynamiczne zmiany o dalekosiężnych skutkach". Dodał, że na tej drodze transformacji Polskę czekają różne przeszkody, których jednak nie wymienił. 28 sierpnia Bush ocenił, że Polska będzie potrzebowała znaczącej pomocy finansowej, która może nadejść tylko wówczas, gdy wprowadzone zostaną reformy.

Na początku sierpnia 1990 r. PAP podała wiadomość, że prezydent Jaruzelski złoży wizytę w USA na zaproszenie prezydenta Busha. Tymczasem 28 września w prasie ukazał się list Jaruzelskiego do Busha, w któ-

eprasa.pl a838ec7ecc

Spotkanie prezydenta Busha i przewodniczącego Rady Państwa Wojciecha Jaruzelskiego w Belwederze, 10 lipca 1989 r.

rym rezygnował on z wizyty w USA. Formalnym powodem tej decyzji był wniosek Wojciecha Jaruzelskiego do Sejmu o skrócenie jego kadencji prezydenckiej. Było to skutkiem nasilających się ataków na jego osobę.

W zakończeniu listu Wojciech Jaruzelski życzył prezydentowi Bushowi dalszych sukcesów w umacnianiu bezpieczeństwa i pokoju, w budowie nowego ładu międzynarodowego oraz wyraził przekonanie, że USA będą orędownikiem dalszego rozwoju przyjaznych stosunków polsko-amerykańskich. 28 września ambasador USA w Warszawie Thomas Simons w imieniu George'a Busha podziękował prezydentowi Jaruzelskiemu za list. Przekazał także wyrazy pełnego zrozumienia dla odwołania oficjalnej wizyty w Stanach Zjednoczonych. Powiedział, że prezydent USA z wielką przyjemnością wspomina obie wizyty w Polsce i uważa, że w przyszłości będzie miał okazję spotkać się z nim i odbyć interesującą rozmowę. O wysokiej kulturze osobistej i politycznej George'a Busha świadczy komunikat Białego Domu, w którym prezydent USA stwierdza, że decyzja Wojciecha Jaruzelskiego harmonizuje z jego wkładem w proces demokratycznych przemian w Polsce, od czasu historycznego porozumienia przy Okrągłym Stole. „Prezydent Jaruzelski zasługuje na wielki szacunek za rolę, jaką odegrał wraz z rządem premiera Mazowieckiego w działaniach na rzecz umocnienia gospodarki i umocnienia demokracji". Bush żałował, że prezydent Jaruzelski nie będzie mógł skorzystać z zaproszenia do złożenia wizyty oficjalnej, ale chciałby przyjąć go w przyszłości jako prywatnego gościa.

10 lipca 1989 r. George Bush niemal dwie i pół godziny rozmawiał w Belwederze z przewodniczącym Rady Państwa Wojciechem Jaruzelskim.

„STO LAT" NA PLACU ZAMKOWYM

6 lipca 1992 r. przed południem George H.W. Bush przybył do Warszawy z krótką, bo trwającą zaledwie około pięciu godzin wizytą. Na lotnisku powitali go przedstawiciele prezydenta i rządu. Następnie Bush i towarzyszące mu osoby udali się na Zamek Królewski, gdzie odbyła się oficjalna uroczystość powitania gościa przez prezydenta Lecha Wałęsę.

Obaj prezydenci przez 55 minut rozmawiali w cztery oczy. Tematem były sprawy bezpieczeństwa, a także współpracy gospodarczej. Po spotkaniu Lech Wałęsa powiedział, że „najważniejszą kwestią dla Polski jest wykorzystanie tego, co już dostaliśmy – nie zaś proszenie o nowe wsparcie". Według rzecznika prasowego Białego Domu Marlina Fitzwatera rozmowy Bush-Wałęsa były „harmonijne", z jednym wyjątkiem – koncesji handlowych Polski wobec EWG[4].

Punktem kulminacyjnym wizyty George'a Busha było przemówienie do mieszkańców Warszawy na placu Zamkowym. Zgromadziło się na nim ok. 30 tys. osób. Ludzie przechodzili przez bramkę do wykrywania metali. Impreza rozpoczęła się od przemówienia Lecha Wałęsy. Powiedział on m.in.: „Gościmy w Warszawie wielkiego polityka naszych czasów, prezydenta George'a Busha. Od wielu lat interesował się naszą walką, wspierał ją. Po zwycięstwie wspomaga polskie reformy".

Następnie do warszawiaków zwrócił się prezydent USA. Podium, z którego przemawiał, było udekorowane polskimi i amerykańskimi flagami. Bush podziękował za gorące przyjęcie i oświadczył, że czuje się w Polsce jak w domu. Określił nasz kraj mianem „miejsca narodzin rewolucji 1989 r. Jest to nowa epoka nie tylko dla Polski – mówił dalej – ale dla całej Europy. Jest rzeczą właściwą, że tę nową epokę witamy w waszym kraju. To tutaj, w Polsce, rozpoczęła się II wojna światowa. To właśnie na Polskę najwcześniej rzuciła swój cień zimna wojna. I właśnie tutaj, w Polsce, naród sprawił, że zimna wojna wreszcie się skończyła". Zgromadzeni warszawiacy odśpiewali gościowi „Sto lat", a jego przemówienie było wielokrotnie przerywane oklaskami.

ZAPROSZENIE DO TEKSASU

Po raz czwarty George Bush przebywał w Polsce już jako były prezydent, od 20 do 21 lipca 1995 r. Odebrał m.in. tytuł honorowego obywatela Krakowa. Bush nie zgodził się na konferencję prasową, a swoje wystąpienie na uroczystości ograniczył do minimum. Najpierw krótko podziękował za wyróżnienie i poprosił tłumacza, aby odczytał dalszy tekst wystąpienia. „Jest gorąco, a tak będzie szybciej", powiedział były prezydent. Po uroczystej sesji prezydent

eprasa.pl a838ec7ecc

Powitanie prezydenta Busha przez Wojciecha Jaruzelskiego na lotnisku w Warszawie, 9 lipca 1989 r.

Krakowa zorganizował na cześć gości kolację w Wieliczce.

W czerwcu 1997 r. Bush po raz piąty odwiedził Polskę. 29 czerwca państwo Bushowie spotkali się z prezydentem Kwaśniewskim i jego żoną w Pałacu Prezydenckim. Polski prezydent podjął gościa lunchem. Później do pałacu przyjechał prezydent Jaruzelski, który odbył półgodzinną rozmowę z George'em Bushem. Do tego spotkania doszło na życzenie byłego prezydenta USA.

Po powrocie do USA George Bush przesłał Wojciechowi Jaruzelskiemu list datowany na 4 lipca, dzień święta narodowego Stanów Zjednoczonych. Pisał m.in.: „Drogi generale Jaruzelski, drogi przyjacielu, było mi bardzo miło spotkać się z Panem w Warszawie. Najpierw byłem zaniepokojony Pańską operacją oka, ale kiedy powiedział mi Pan, że wszystko się dobrze rozwija, poczułem się w związku z tym dużo lepiej". Dalej Bush, zawiadamiając Jaruzelskiego o planowanym otwarciu biblioteki prezydenckiej, pisze: „Jeśli miałby Pan jakieś osobiste dokumenty, odnoszące się do wydarzeń w czasie mojej prezydentury albo do moich wizyt w Polsce, to byłbym Panu bardzo wdzięczny za przesłanie mi ich jako dokumentów historycznych, które umieściłbym w bibliotece". Wreszcie Bush stwierdza: „Gdy tylko biblioteka i szkoła zaczną działać, skontaktuję się z Panem w sprawie ewentualnej Pańskiej wizyty w Teksasie. Chciałbym, żeby spędził tu Pan kilka dni na spotkaniach Pana i moich ze studentami i na zwiedzaniu przynajmniej części Teksasu".

W KOŻUCHU NA TRYBUNIE HONOROWEJ

11 listopada 1999 r. George Bush po raz szósty odwiedził Polskę, tym razem na zaproszenie wicepremiera Leszka Balcerowicza. Był gościem honorowym obchodów Święta Niepodległości. Prezydent Kwaśniewski podziękował mu za „osobisty wkład w budowę demokratycznego świata, za wsparcie dla Polski i Polaków". „Pamiętamy i dziękujemy", powiedział. „Te uroczystości mnie, który jestem weteranem II wojny światowej, szczególnie głęboko zapadły w serce", podkreślił Bush. Nawiązując do poprzednich pobytów w Polsce, serdecznie wspominał Wojciecha Jaruzelskiego. „Wiem – mówił – że w Polsce jest postacią wciąż kontrowersyjną, ale jest to człowiek, który postawił interes kraju ponad wszystko". Dobrze też wspominał Lecha Wałęsę, „elektryka, który zapalił lampę wolności"[5].

Bush przyleciał do Polski bez płaszcza, który pozostawił w berlińskim hotelu Adlon. Nie mógł stanąć w listopadowy dzień na trybunie honorowej bez ciepłego okrycia. W tej sytuacji jeden z menedżerów hotelu Bristol, gdzie Bush się zatrzymał, Uwe Aschke, pożyczył mu swój kożuch. Prezydent żartował, że kożuch uratował mu życie, i obiecał, że zwróci go, jak tylko jego płaszcz dotrze do Warszawy.

W telewizyjnym wywiadzie z Jolantą Pieńkowską Bush powiedział, że uważa się za człowieka znającego polską politykę i drogę Polski do wolności. Natomiast podczas konferencji zorganizowanej przez Polsko-Amerykański Fundusz Przedsiębiorczości, której tematem była współpraca polsko-amerykańska, stwierdził: „Nie jestem ekspertem od wszystkiego, ale postęp, jaki osiągnęliście, przekracza daleko oczekiwania z 1989 r. Nie widziałem jeszcze tak szybkiego wychodzenia z kryzysu gospodarczego i tak szybkiego wejścia do NATO"[6].

Zwracając się do Busha, Balcerowicz powiedział, że jest przekonany, iż pozostanie on na zawsze w zbiorowej pamięci Polaków jako wielki i niezawodny przyjaciel Polski.

Po wystąpieniu Busha uczestnicy konferencji zadawali mu pytania. Zapytałem byłego prezydenta, czy będzie wspierał i prowadził kampanię swojego syna George'a W. juniora. Bush odpowiedział: „Syn ma lepszych doradców, a oboje z Barbarą chcemy, aby wygrał. Powinien jednak radzić sobie sam i być wolny od błędów ojca. Musi stworzyć własny obraz, a my będziemy go wspierać". George Bush wyraził przekonanie, że syn uzyska nominację Partii Republikańskiej i zostanie następcą Billa Clintona. Tak też się stało.

Bush przekonywał Wojciecha Jaruzelskiego, aby ubiegał się o urząd prezydenta.

Prof. dr hab. Longin Pastusiak jest amerykanistą, dyrektorem Instytutu Stosunków Międzynarodowych w Akademii Finansów i Biznesu Vistula, b. posłem na Sejm (1993-2001) i b. marszałkiem Senatu (2001-2005)

[1] W cztery oczy z Bushem. Notatka ze spotkania generała Jaruzelskiego z prezydentem USA, „Przegląd" 15.07.2002.

[2] George Bush, Brent Scowcroft, „The World Transformed", Knopf, New York 1998.

[3] „Presidential Documents", 24.07.1989, vol. 25, nr 29, s. 1125.

[4] „Rzeczpospolita", 6.07.1992.

[5] „Trybuna", 12.11.1999.

[6] „Ambasador", grudzień 1999-styczeń 2000, s. 4.

eprasa.pl a838ec7ecc

15-latka punktuje polityków

Dzieci przystępują do walki o klimat i domagają się od dorosłych odpowiedzialności

Lech Miodek

Kiedy politycy nie bardzo się przejmują troską o klimat, do akcji wkraczają nastolatki. Jedną z twarzy szczytu klimatycznego COP24 w Katowicach stała się Greta Thunberg. 15-letnia Szwedka przyjechała na zaproszenie sekretarza generalnego ONZ Antónia Guterresa. Greta w szwedzkim parlamencie rozpowszechniała teksty wyjaśniające jej postawę: „Robię to, ponieważ was, dorosłych, gówno obchodzi moja przyszłość". W tym czasie Szwecja przeżywała lato najgorętsze od prawie trzech wieków, a pożary lasów gasili polscy strażacy.

Na Twitterze obserwuje Gretę ponad 19 tys. użytkowników. Niewiele mniej followersów, bo 17,8 tys., ma na Instagramie. Zainteresowanie zmianami klimatycznymi ujawniła w wieku dziewięciu lat. „Zawsze mówili mi o tym, że powinniśmy wyłączać światło, oszczędzać wodę i nie wyrzucać jedzenia", opowiadała na łamach tygodnika „The New Yorker".

Z diety usunęła mięso i generalnie przestała latać samolotem, a w jej ślady poszła matka, śpiewaczka operowa Malena Ernman. Rodzina Thunbergów zainstalowała baterie słoneczne i zaczęła uprawiać warzywa na działce za miastem, ograniczyła też podróże samochodem, mimo że to auto o napędzie elektrycznym.

Co piątek Greta opuszcza zajęcia w szkole i protestuje na schodach parlamentu w Sztokholmie, aby politycy poważnie zajęli się klimatem. Znalazła także naśladowców poza granicami Szwecji. 30 listopada niemal 15 tys. australijskich uczniów nie poszło do szkoły, aby zaprotestować przeciw polityce rządu w sprawie klimatu. Wyszli na ulice Sydney, Melbourne, Perth oraz innych dużych miast i podobnie jak szwedzka nastolatka domagali się od władz skuteczniejszego przeciwdziałania zmianom klimatycznym. Nie spodobało się to premierowi Scottowi Morrisonowi, który stwierdził: „W szkołach chcemy więcej oświaty, a nie aktywistów". Uczniowie odpowiedzieli mu na demonstracjach: „Przestaniemy być aktywistami, jeśli wy przestaniecie być g…".

Greta Thunberg: Ponieważ nasi przywódcy zachowują się jak dzieci, my musimy przejąć za nich odpowiedzialność w sprawach, w których oni sobie nie poradzili.

W 2015 r. 21 młodych ludzi wystąpiło przeciwko rządowi Stanów Zjednoczonych z oskarżeniem o przyczynianie się do pogarszania klimatu i tym samym naruszanie ich praw. Wszystko wskazuje, że do podobnych wystąpień dojdzie w wielu krajach już w najbliższym czasie.

W Katowicach Greta miała swoją konferencję prasową. Powiedziała m.in.: „Ponieważ nasi przywódcy zachowują się jak dzieci, my musimy przejąć za nich odpowiedzialność w sprawach, z którymi oni sobie nie poradzili. (…) Niektórzy politycy pytają mnie, co robić. To straszne". Każde jej spotkanie kończyło się długimi owacjami na stojąco.

Na szczycie poinformowano, że w ciągu trzech lat, między 2014 a 2016 r., emisja CO_2 nie zwiększała się, chociaż gospodarka światowa się rozwijała. Tendencja ta jednak nie utrzymała się i w 2017 r. nastąpił wzrost o 1,6%. Według prognoz upublicznionych 5 grudnia 2018 r. przez Global Carbon Project w tym roku należy się spodziewać wzrostu o 2,7%, do 37,1 gigatony, co będzie smutnym rekordem w historii ludzkości. Chiny, które od połowy ostatniej dekady są głównym trucicielem planety, odpowiadają za 28% emisji CO_2. W 2018 r. emisja tego gazu w Chinach wzrośnie o 4,7%. W Stanach Zjednoczonych, które są drugim trucicielem – o 2,5%. W Unii Europejskiej zmniejszy się o 0,7%, za to w Indiach wzrośnie o 6,3%. Christiana Figueres, która w strukturze ONZ odpowiadała za kwestie zmian klimatycznych, uważa, że „globalna emisja CO_2 powinna spadać od 2020 r., jeśli świat zamierza osiągnąć cele określone w porozumieniu paryskim". Zakładało ono, że do końca wieku nie wolno dopuścić do wzrostu temperatury o więcej niż 1,5-2 st. C. Tymczasem tragiczne skutki ocieplenia już są odczuwalne. „Katastrofy spowodowane przez klimat w 2017 r. kosztowały gospodarkę światową 320 mld dol. i życie ok. 10 tys. osób", twierdzi Christiana Figueres. ■

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl a838ec7ecc

Wojciech Osiński

TEN CZŁOWIEK NIE MOŻE MILCZEĆ

90-letni Noam Chomsky jest zdeklarowanym pacyfistą, regularnie bierze udział w międzynarodowych manifestacjach pokojowych

7 grudnia z dwóch powodów jest mocno wdrukowany w świadomość Amerykanów. W 1941 r. w hawajskim Pearl Harbor Japończycy przyprawili Stany o ich największą traumę wojenną. Ten dzień położył kres przekonaniu, że – owszem – wojna trwa i amerykańscy żołnierze biorą w niej udział, ale w sumie toczy się ona gdzieś w odległych rejonach. Jednak 7 grudnia ma także pozytywne konotacje. Tego dnia w 1928 r. urodził się jeden z najwybitniejszych amerykańskich intelektualistów, do dziś nadający ton debatom publicystycznym. Noam Chomsky, nieodżałowany lingwista i filozof, wizjoner, działacz społeczny, mówca oraz publicysta, skończył w ubiegłym tygodniu 90 lat. Emerytowany profesor wprawdzie już nie wykłada na bostońskim Massachusetts Institute of Technology (MIT), z którym był związany niemal przez całe życie, ale dalej z publicystycznym rozmachem komentuje bieżące wydarzenia. I mimo podeszłego wieku pozostaje nieodmiennie ikoną lewicowej młodzieży. Kilka miesięcy temu ukazała się jego książka „Requiem dla amerykańskiego snu", w której autor znów z nieskrywaną namiętnością nawołuje do działań społecznych wymierzonych w „aroganckie elity".

„Zbyt wiele kwestii pozostaje nierozwiązanych, nie mogę milczeć", powtarza w mediach społecznościowych. Podobnie jak Donald Trump filozof odkrył możliwości, jakie daje szeroki zasięg Twittera, na którym prawie codziennie jest aktywny. Lecz to z pewnością jedyna analogia między Chomskim a obecnym prezydentem USA. Poza tym istnieją wyłącznie różnice. „Trump jest kompletną katastrofą", oburzał się Chomsky w wywiadzie dla portalu Truthout. Prezydenta USA nazwał już wielokroć „kulą burzącą demokrację". Dlatego nie zaskakuje, że 7 grudnia, kiedy właściwie obowiązuje coroczna chwila żałobnej zadumy, wielu Amerykanów na przekór wpisuje w kalendarzu „Noam-Chomsky-Day", obchodząc po cichu święto postępowców. „Ameryka ma dwie strony, Trumpa i Chomskiego", powiedział niedawno pewien niemiecki publicysta, parafrazując krytyka literackiego Marcela Reicha-Ranickiego, który powiedział to samo o Adolfie Hitlerze i Tomaszu Mannie w przypadku Niemiec.

OSTRE PIÓRO

Chomsky z lubością wymachuje ostrym piórem, lecz jak twierdzą choćby jego studenci, w życiu prywatnym jest niezwykle serdecznym i usłużnym człowiekiem. Niektórzy uważają, że nawet zbyt wstydliwym, wbrew legendzie o jego dogmatyzmie. Zasługi feministek oraz pokolenia dzieci kwiatów w 1968 r., które wyraziło sprzeciw wobec działań wojennych w Wietnamie, Chomsky uznaje za kamienie milowe w historii Stanów Zjednoczonych. Filozof nadal jest świetnym polemistą i dyskutantem, o czym można było się przekonać podczas ostatniego retorycznego pojedynku ze znanym izraelskim prawnikiem Alanem Dershowitzem na Uniwersytecie Harvarda. Chomsky nie od dziś uważa, że okupacja Zachodniego Brzegu była bezprawiem, dlatego mimo żydowskich korzeni od ośmiu lat jest w Izraelu *persona non grata*.

Po wspomnianej ostrej debacie na Harvardzie młodszy o dziesięć lat Dershowitz był już wyraźnie zmęczony. Natomiast Chomsky sprawiał wrażenie, że mógłby jeszcze z godzinę podyskutować. Mimo upływu czasu dzisiejsze występy 90-letniego amerykańskiego lingwisty nie różnią się zbytnio od dyskusji panelowych, w których uczestniczył w latach 70. (jak choćby tej legendarnej z Michelem Foucaultem – zainteresowanych odsyłam do serwisu YouTube).

Noam Chomsky z Davidem Barsamianem, któremu od 30 lat udziela wywiadów. Koszulka filozofa mówi wszystko: Pole bitwy jest między twoimi uszami. Walcz! 4 grudnia 2015 r.

Chomsky urodził się w 1928 r. w Filadelfii jako syn żydowskich emigrantów z Ukrainy i Białorusi, którzy przypłynęli tu na przełomie wieków. Wiele dzieci tego pokolenia odcisnęło piętno na przedwojennej kulturze USA. Chomsky już jako dziecko odczuł niesprawiedliwość i zagrożenie. Na własne oczy widział, jaki wpływ na życie amerykańskich robotników wywarł światowy kryzys finansowy. Zetknął się także z antysemityzmem, którym zainfekowali opinię publiczną niemieccy imigranci. „Wszyscy słyszeliśmy tyrady Hitlera w radiu. Niewiele rozumiałem, ale oczywiście zauważyłem, że znaczna część moich rodaków się nim zachwycała. Niestety, dzisiaj te dziecięce wspomnienia

eprasa.pl a838ec7ecc

wracają z impetem", mówił Chomsky niedawno niemieckiej telewizji ARD. Ważna dla jego intelektualnego rozwoju była bez wątpienia lektura dzieł George'a Orwella, zwłaszcza książki „W hołdzie Katalonii" o doświadczeniach autora w hiszpańskiej wojnie domowej.

Chomsky już wcześniej propagował ludzkie oblicze socjalizmu, odrzucając jego stalinowski wariant. Ta nuta brzmi właściwie we wszystkich jego późniejszych dziełach. Kiedy w 1968 r. amerykańska młodzież wychodziła na ulice, 40-letni ambitny naukowiec od początku do końca był wśród niej. I nie dość, że ośmielał się krytykować władzę (za co kilkakrotnie został zatrzymany i wylądował w jednej celi z pisarzem Normanem Mailerem), to postanowił też przestać na jakiś czas płacić podatki, twierdząc, że nie będzie współfinansował konfliktu w Wietnamie. Jego kariera wisiała chwilowo na włosku.

KOMENTATOR RZECZYWISTOŚCI

Pierwsze publiczne laury Noam Chomsky zdobył jako językoznawca. Do dziś uchodzi za koryfeusza w tej dziedzinie. Każdy lingwista bądź filolog na świecie na pewno zetknął się podczas studiów przynajmniej z jednym z jego przełomowych dzieł z zakresu kognitywistyki. A niejeden być może przeobraził się w gorącego zwolennika jego książek filozoficznych, które na domowych półkach stoją obok prac innych myślicieli XX w., np. Jacques'a Lacana czy Jacques'a Derridy.

Ameryka ma dwie strony – Trumpa i Chomskiego.

Jednak w przeciwieństwie do nich Chomsky prawdziwą sławę zyskał przede wszystkim jako komentator rzeczywistości. W świadomości opinii publicznej zaistniał głównie jako publicysta polityczny i dostarczyciel ostrych słów pod adresem każdego kolejnego amerykańskiego rządu. Co jakiś czas celnie wskazuje różnice społeczne, niesprawiedliwości oraz biedę w krajach rozwijających się.

Jest także znakomitym mówcą i mile widzianym gościem u tzw. wpływowych ludzi, którzy grzeją się w blasku jego autorytetu. Zaproszeń nie przyjmuje pochopnie, bo doskonale wie, że każde jego słowo ma szczególną wagę. Chętnie też występuje w roli analityka zagadnień społecznych, wytykając rodakom ich wypaczenia i wady, choćby częstą ignorancję. „Jeśli ktoś chce zrozumieć, jak funkcjonuje społeczeństwo, musi ustalić, kto podejmuje za niego decyzje. W USA najważniejsze decyzje podejmowane są bynajmniej nie przez polityków, lecz przez wąską warstwę sieci koncernów, rad nadzorczych i firm inwestycyjnych. I to do nich należą media, dzięki którym otrzymują możliwość wpływu na politykę i opinię publiczną", wskazuje. Niektórzy jego wyznawcy traktują go już niczym sumienie narodu. On zaś nadal twardo trzyma się zasady, że na jego wykładach lingwistycznych nie ma miejsca na politykę, chociaż poza budynkami uniwersyteckimi jego działalność publicystyczna była na tyle skuteczna, że zaliczano go do dziesięciu największych wrogów Richarda Nixona. Pół wieku później Chomsky znalazł się na liście najbardziej godnych zaufania Amerykanów, zestawionej przez redaktorów pisma „Reader's Digest".

W najnowszej książce Chomsky nawołuje do działań społecznych wymierzonych w „aroganckie elity".

PRZODOWNIK ALTERGLOBALISTÓW

Dziś w mającej kilkadziesiąt pozycji bibliografii Chomskiego teksty lingwistyczne stanowią skromną część, aczkolwiek bez nich zapewne nie mógłby wymachiwać publicystycznym piórem i być laureatem licznych nagród. Jego pierwszy kluczowy tekst, którym zrewolucjonizował językoznawstwo, zatytułowany „Syntactic Structures", ukazał się ponad 60 lat temu. Pozycja 29-letniego wówczas Chomskiego była dla podstarzałych behawiorystów niczym gorzkie lekarstwo, a zarazem orzeźwiająca kawa. Tyle że dziś jego „gramatyka uniwersalna", czyli teza o istnieniu fundamentalnego systemu gramatycznego, będącego zdaniem Chomskiego wrodzoną cechą gatunku ludzkiego, jest odrzucana przez niemal wszystkich kolegów po fachu. O ile więc francuscy lingwiści już dawno pożegnali się ze strukturalizmem lat 60., o tyle niestrudzony Chomsky pozostaje jego wyznawcą. Wielu też twierdzi, że właśnie pod koniec lat 60., kiedy koledzy po fachu zaczynali kwestionować jego tezy naukowe, on zaś nie przejmował się tym, bo protestował pod Pentagonem, skończyła się jego kariera lingwisty, a rozpoczął trwający po dziś dzień etap Chomskiego publicysty.

Na świecie Chomsky zaistniał przede wszystkim jako autor smakowitych esejów politycznych, w których analizuje konflikty i zawiłości w różnych regionach świata. Jego książka „Odpowiedzialność intelektualistów" jest manifestem, w którym autor bezwzględnie rozprawia się z elitami swojego państwa w XX w., czytaj: pasmem inwazji USA w państwach kryzysowych, okresem unilateralizmu za rządów George'a W. Busha, zapalną kwestią Palestyny oraz epoką naznaczoną terroryzmem, którą uruchomiły wydarzenia z 11 września 2001 r. Chomsky rozprawia się jednak również z często zauważalną u Amerykanów obojętnością na – najogólniej mówiąc – sprawy bieżące. „Powinniśmy wszyscy codziennie się angażować w sprawę naszej demokracji, nie tylko jeśli chodzi o politykę, która najczęściej decyduje za nas, ale przede wszystkim w gospodarce. Istnieje bardzo wiele sposobów, dzięki którym możemy budować naszą demokrację. Jeśli będziemy ją jednak zaniedbywać, to nie my stracimy na tym najwięcej, ale nasze dzieci".

Chomsky co prawda przeistoczył się z lingwisty w publicystę na manifestacjach z 1968 r., ale polityką zainteresował się znacznie wcześniej – w sierpniu 1945 r., kiedy USA zrzuciły bombę atomową na Hiroszimę i Nagasaki. Wstrząsnęła nim sama decyzja Harry'ego Trumana, ale jeszcze bardziej prawie zupełna bierność jego rodaków wobec tych wydarzeń. Od tego czasu reaguje alergicznie na wszelkie przejawy obojętności.

eprasa.pl a838ec7ecc

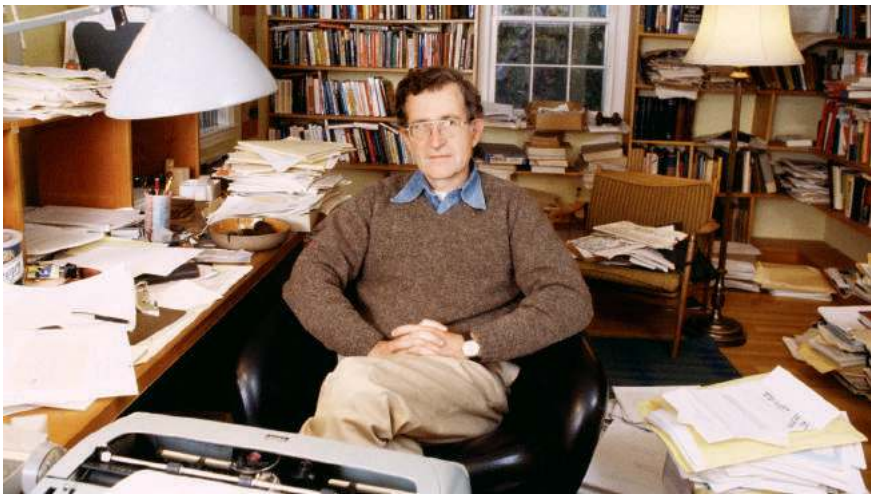

Noam Chomsky w swoim domu w Cambridge, Massachussets, 10 października 1977 r.

„Obojętność jest najniebezpieczniejszą wadą mojego narodu", sądzi. W tym żywym duchu sprzeciwu wobec ignorancji Amerykanów trwa do dziś, np. gdy przed szczytem klimatycznym w Katowicach piętnował ponownie odrzucanie przez Trumpa oczywistego (gdyż naukowo potwierdzonego) faktu, jakim jest globalne ocieplenie. „To, co robi Trump, jest nieodpowiedzialnym brnięciem nie w ślepą uliczkę, ale prosto w autodestrukcję", tłumaczy. Obniżoną moralność zarzuca jednak nie tylko władzom USA, ale niekiedy całej zachodniej cywilizacji. „On chce nami potrząsnąć, wskazać, że nie zostało nam wiele czasu, aby przejrzeć na oczy", mówi o Chomskim amerykański pisarz i dziennikarz Mike Seabrook.

90-letni intelektualista jest także zdeklarowanym pacyfistą, bierze regularnie udział w międzynarodowych manifestacjach pokojowych. Niedawno tłumaczył, że powtarzane marsze pokojowe mogą mieć takie samo znaczenie i wywołać podobne efekty jak niegdyś protesty pod Pentagonem. Czasem Chomsky prowadzi też osobistą krucjatę przeciw globalizacji, nawet jeśli (nie bez kokieterii) zaznacza, że nie chce już uchodzić za „przodownika alterglobalistów". Jednocześnie nie przestaje udzielać im porad: „Oczekuję od nich, żeby reagowali na swoje pozytywne impulsy i walczyli w imieniu prawdy. Chciałbym ich wprowadzić na drogę intelektualnej samoobrony". Sam Chomsky raczej nie musi się bronić intelektualnie, tym chętniej za to atakuje. Nie zostawia także suchej nitki na amerykańskiej dyplomacji – bez względu na jej barwy polityczne. Miotał gromy na prawie wszystkie misje wojskowe USA, od Iraku i Syrii poczynając, na Afganistanie kończąc. Jest też bardzo krytyczny wobec manipulacji w mediach i ogromnego wpływu mediów na politykę.

Mimo żydowskich korzeni Chomsky od ośmiu lat jest w Izraelu persona non grata.

KRÓTKA ŁAWKA

Gwoli uczciwości trzeba jednak przyznać, że Chomsky stał się ikoną lewicy i alterglobalistów m.in. dlatego, że ławka kandydatów była bardzo krótka. W marginalizowanym wówczas przez elity USA lewicowym pokoleniu dzieci kwiatów oprócz Chomskiego nie było głosu na tyle donośnego, aby mógł się przebić. Niektórzy twierdzą, że tak pozostało do dziś. Nad tym faktem krótko przed śmiercią w 2004 r. ubolewała także Susan Sontag. „Zarówno w okresie wojny w Wietnamie, jak i tej w Iraku brakowało i brakuje młodych i tęgich politycznych głów", twierdziła amerykańska pisarka. Poza autorką „Choroby jako metafory" i również nieżyjącym już historykiem Howardem Zinnem rolę ikony odgrywa jeszcze tylko Chomsky. Dlatego ciągle uchodzi za przewodnika młodej lewicy, choć chętnie powierzyłby tę funkcję komuś innemu. Być może ma rację – mimo że jego zdjęcia zdobią wiele ścian w akademikach, trzeba przyznać, że bez amerykańskiego kontekstu jego eseje polityczne trąciłyby już myszką. Czasami Chomsky wyważa otwarte drzwi, miejscami nawet zbyt patetycznie. Ale może dlatego jego teksty mają charakter uniwersalny. Co ciekawe, sięgali po nie zarówno Bill Clinton i Barack Obama, jak i Hugo Chávez czy Osama bin Laden.

Dzisiaj emerytowany profesor lingwistyki nie mieszka już w Bostonie, przeprowadził się do Arizony. Niedaleko amerykańsko-meksykańskiej granicy, gdzie w tych dniach docierają tysiące uchodźców z Ameryki Południowej. „Twierdzenie, że ci biedni ludzie nam zagrażają i dlatego należałoby zbudować mur, jest tak skandaliczne, że trudno mi to w ogóle skomentować. Propaganda strachu jednak widocznie zadziałała, ponieważ wielu Amerykanów myśli już podobnie jak nasz prezydent", uważa filozof. Chomsky ze zmartwieniem obserwuje też politykę migracyjną przywódców Europy i niemal w każdym wywiadzie cytuje słowa papieża Franciszka: „Tu chodzi nie o kryzys migracyjny, lecz o kryzys moralny".

Wojciech Osiński

Gdyby jakiemuś terroryście wpadło do głowy przyjechać do Katowic, ze szczytu klimatycznego ONZ nie byłoby co zbierać. Szczegóły **w nowym numerze tygodnika „NIE"**.

FOT. GLENN KETTERLE/ARCHIWUM PRYWATNE, AP/EAST NEWS

eprasa.pl a838ec7ecc

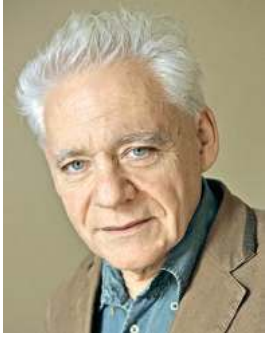

Oko w oko

Tomasz Jastrun

RZĄD TAŃCZY

Zaprosiła mnie do siebie Elżbieta Ficowska – znaliśmy się przedtem tylko z widzenia – żona już nieżyjącego poety Jerzego Ficowskiego, słynnego znawcy Cyganów. Żołnierz AK, po wojnie poszukiwany przez UB, ukrywał się, wędrując z cygańskim taborem. To on odkrył cygańską poetkę Papuszę. Elżbieta z kolei opowiada mi niezwykłą historię swojego życia. Urodziła się w getcie warszawskim, jako półroczne niemowlę z inicjatywy Ireny Sendlerowej została przewieziona na aryjską stronę w drewnianej skrzynce, ukrytej na wozie pełnym cegieł. Jej metryką jest srebrna łyżeczka z wygrawerowanym imieniem i datą urodzenia. Matka zginęła w obozie, ojciec na warszawskim Umschlagplatzu – zastrzelony na peronie, w chwili gdy odmówił wejścia do wagonu. Elżbieta została adoptowana i wychowana przez położną współpracującą z Żegotą i z Sendlerową. Nic a nic o tym nie wiedziała, prawdę poznała przypadkiem dopiero jako 17-letnia uczennica. Opowiada mi, jaki to był szok, gdy dowiedziała się, że jest kimś innym, niż myślała. A przecież więzy krwi powinny być drugorzędne wobec więzi, jaką daje wychowanie od niemowlęctwa. Ale nie jest to takie proste, a te komplikacje są trudne do uchwycenia i do analizy. Jest w tym coś pierwotnego, biologicznego, nie jesteśmy tylko zrobieni z kultury, ona to ubranie, a w środku są trzewia.

Elżbieta jest o siedem lat ode mnie starsza, w naszym wieku taka różnica lat nie ma znaczenia, do tego jesteśmy z tej samej środowiskowej piaskownicy. Mówimy o wspólnych znajomych, o jedzeniu, o tym, co to znaczy mimo żydowskich korzeni nie czuć się Żydem, tylko Polakiem, o chorobach, o Polsce w szponach PiS i co to będzie. I jak zaczyna być nam zimno w nowym świecie, którego już nie obchodzi nasz świat. A ten nasz szybko się kurczy.

•

W pobliżu jest Boston Port, maleńka knajpka ze słynną zupą rybną. Nie jestem głodny, ale zachodzę tam na zupę, mam w pamięci z dawnych lat jej smak. Na ścianie opinie o tej knajpce różnych ludzi uznanych za znanych. Jest też moja, to mógł być rok 1998, napis na kartce już wypłowiał, więc jest wydrukowany. Dziwne uczucie, jakbym ja też już wypłowiał.

•

To mamy nowego rzecznika praw dziecka. Jest nim Mikołaj Pawlak. Pracował jako adwokat przy sądach kościelnych, zajmował się tematyką rozwodów. Sprawował nadzór nad sądami rodzinnymi i zakładami poprawczymi dla nieletnich. Obrońca płodów. Tak go oceniła Katarzyna Lubnauer z Nowoczesnej: „Mam wrażenie, że pan Pawlak jest obrońcą tylko dzieci jeszcze nienarodzonych, a gdy już się urodzą, to mogą natychmiast iść do więzienia". Taka jest polityka kadrowa PiS.

Odchodzący rzecznik praw dziecka Marek Michalak alarmuje minister edukacji Annę Zalewską, że nauczyciele nie dają rady zrealizować podstawy programowej podczas lekcji, zadają więc uczniom więcej pracy domowej. Dzieci nie mają już czasu na zabawę, na własne zainteresowania ani spędzanie czasu z rodziną. Są przemęczone. Moja koleżanka, psycholog szkolna, twierdzi, że to początek fali chorób psychicznych dzieci, która już się wznosi. A ja obserwuję, jak męczą się moi przeciążeni szkołą chłopcy, jak my się męczymy, pomagając im przy lekcjach. Już nikt nawet nie udaje, że nauka może być przyjemnością. Dzieci są przygniecione lawiną faktów do zapamiętania, wszystko wedle zasady: zakuć, zdać i zapomnieć. Kreatywność nie jest ważna. Ta szkoła nie tak bardzo różni się od mojej z lat 50. Jest tylko większy luz, a nauczyciele traktują dzieci bardziej podmiotowo. Dobre i to. No i wokół szkół aż gęsto od różnych zajęć dodatkowych, czasami bardzo wartościowych, one jednak sporo kosztują, a dzieci nie bardzo mają na to czas.

Wstrząsające są sceny zbiorowej ekstazy na urodzinach Radia Maryja.

•

Wstrząsające sceny zbiorowej ekstazy na urodzinach Radia Maryja; na tym spektaklu ojciec dyrektor znowu porównał Brukselę do Moskwy. Długie szeregi roztańczonych dostojników Kościoła przybranych w złote szaty, ale tańczą też do pieśni „Abba, Ojcze", trzymając się za wzniesione ręce: premier Mateusz Morawiecki, szef MSW Joachim Brudziński, szef MON Mariusz Błaszczak, a nawet minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, podryguje rzeźnik Puszczy Białowieskiej Jan Szyszko, kołysze się w transie Antoni Macierewicz, a też komunistyczny prokurator Piotrowicz z różańcem w dłoniach zwisającym mu niemal do podłogi, ale najbardziej roztańczona jest Beata Kempa. Jakże brakowało w tym tańcu Dudy i prezesa, prezes jednak natańczył się rok temu.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a838ec7ecc

EKOLOGIA, LAICYZM, PRAWDA

NAIWNE RADY DLA POLSKIEJ LEWICY

Ludwik Stomma

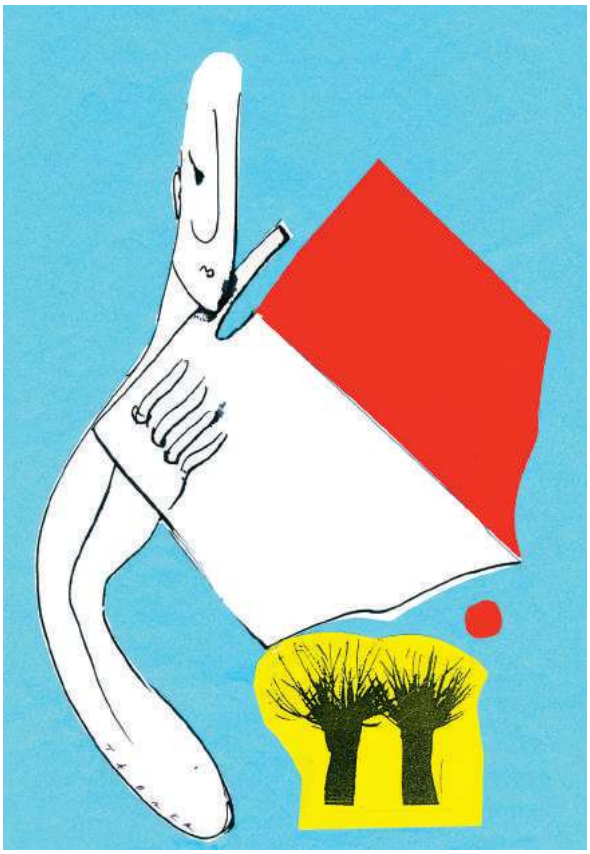

W Polsce lewicę słychać obecnie najczęściej, gdy chodzi o szeroko pojętą „tęczę", czyli walkę o równouprawnienie mniejszości seksualnych, aborcję, in vitro, prawa kobiet i dzieci. Są to kwestie oczywiste, jak prawa „kochających inaczej", wolność aborcji, dostęp do in vitro itd. Są bardziej dyskusyjne, jak posuwające się nader daleko postulaty ruchów feministycznych. Są i bardzo skomplikowane, że ograniczę się do jednego tylko zagadnienia.

Doniesienia o agresji najmłodszych nawet uczniów wobec nauczycieli stają się powoli francuskim (a i szerzej – europejskim) chlebem powszednim. Zaczyna się od odmowy wykonania poleceń, wulgarnych odzywek, popchnięć, ale wkrótce coraz częściej dochodzi do pogróżek, pojedynczych uderzeń i pobić. Okazuje się, że nauczyciele są całkowicie bezradni wobec przemocy. Naprzeciw stoi bowiem potężne i kierujące się poprawnością lobby obrońców „praw dziecka", przeciwstawiające się jakimkolwiek formom karania młodocianych, ba, optujące nawet za zniesieniem ocen w szkole, ponieważ mają one stresować uczniów. Wychowywane bezstresowo dzieci nie są takie głupie i doskonale wiedzą, jak się zemścić na dorosłych ograniczających ewentualnie ich samowolę. Surowszy lub niepopularny wśród uczniów pedagog musi więc się liczyć np. z oskarżeniem o molestowanie seksualne. Temat jest tak modny, że rodzice z łatwością dają wiarę swoim pociechom, nie rozumiejąc skądinąd, że następnym razem to oni mogą zostać wskazani przez latorośle. Każdy dziecięcy donos musi pociągnąć za sobą dochodzenie prokuratorskie, jest w tej kwestii niemała presja. Niesłusznie oskarżony nauczyciel czy rodzic zostanie uniewinniony przez sądy, ale w swoim środowisku, w myśl zasady „nie ma dymu bez ognia", pozostanie człowiekiem ze skazą. Oczywiście fałszywy mały delator nie poniesie żadnych konsekwencji. Jak rozstrzygnąć te sprzeczności – to rzecz do dogłębnej i bardzo potrzebnej otwartej dyskusji.

FILANTROPIA EKOLOGICZNA

W niczym nie umniejszając roli tych problemów, przyznać jednak trzeba, że nie mogą stanowić same w sobie osi programowo-ideowej. Tymczasem to idei właśnie, nie tylko zresztą lewicy, rozpaczliwie brakuje. I nie zapełnią tej próżni żadne ekstremizmy religijne, izolacjonizmy czy nacjonalizmy. Można krzyczeć: „Polska dla Polaków", można nawet zaprowadzić szowinistyczną dyktaturę, nie zmieni to faktu, że będzie ona poddana potężniejszym dzisiaj niż organizmy państwowe wielkim lobby ekonomicznym, które decydują o geopolitycznej grze. Liberalizm ekonomiczny w zamierzeniach jego teoretyków miał być czymś zupełnie innym i „prawa rynku" miały w nim zapewnić względną przynajmniej równowagę. Widzimy jednak doskonale, i nawet nie warto opisywać tej sytuacji, przywoływać globalizacji czy neokolonializmu, że prawa rynku zostały zastąpione najbrutalniejszym prawem silniejszego, powodującym, że bogaci będą coraz bogatsi, ubodzy coraz ubożsi, a pieniądz stanie się jedyną realną religią. Walka z nią prezentowana jest jako dziecinada i naiwność budząca współczucie.

Czy można coś przeciwstawić potędze pieniądza? Jest coś takiego – instynkt samozachowawczy. Liberalizm ekonomiczny w jego dzisiejszej postaci nie tylko bowiem karmi krezusów kosztem ogromnej większości populacji. On również coraz szybciej i jawniej wiedzie ludzkość ku totalnej zagładzie. I znów nie warto tu pisać o ociepleniu czy raczej dezorganizacji klimatu, o unicestwianiu przyrody, zanieczyszczeniach wspominanych w pełnych hipokryzji apelach i uchwałach możnych tego świata, mających tylko propagandowy, nieistotny wpływ na rzeczywistość. Czy musimy być skazani na to, by za całkiem niedługi czas wspominać dzisiejsze dni ze wszystkimi ich bolączkami jako raj dobrowolnie utracony i przez nas samych zniszczony?

Mam ogromną sympatię dla ludzi protestujących przeciw wyniszczaniu Puszczy Białowieskiej, broniących zanikających gatunków zwierząt i roślin. Podziwiam ich, gdy przywiązują się do drzew lub w skwarze i sło-

RYS. MAŁGORZATA TABAKA

eprasa.pl a838ec7ecc

cie pikietują na leśnych polanach, żeby nie dopuścić do zrealizowania planów oszalałego ministra. Jest to jednak tylko szlachetny i romantyczny margines. Podobnie jak zorganizowane partie „zielonych", które nie odważają się uderzać w podstawy liberalnego systemu, a co gorsza, przywiązują się do własnych legend, potępiając np. w czambuł elektrownie atomowe, które na obecnym etapie są w wielu przypadkach jednym z czystszych sposobów pozyskiwania energii. Rozumiem, że straszenie widmem Czarnobyla może być skuteczne, ale właściwą dyskusję sprowadza na manowce. Tymczasem do zatrzymania lub choćby spowolnienia procesów samozagłady potrzebna jest całościowa i spójna polityka ekologiczna. To z powodu jej braku ustąpił niedawno francuski minister środowiska Nicolas Hulot. Nie zaprzeczał on, że Francja przoduje w efektownych akcjach typu wycofywanie opakowań plastikowych, redukowanie liczby samochodów z silnikiem Diesla itp., ale rozumiał, że choć obiektywnie słuszna i potrzebna, w gruncie rzeczy jest to gra pozorów mająca napełnić serduszka samozadowoleniem i poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Taka swoista filantropia ekologiczna. Kiedy jednak dochodzi do decyzji strategicznych czy tzw. woli politycznej, wrażliwość ekologiczna oddala się gdzieś w niebyt. Trzeba więc zacząć od pracy u podstaw. Tutaj właśnie widzę ideę dla lewicy. Najpierw uświadomić ludziom powagę sytuacji i uprzytomnić, o jaką stawkę toczy się gra. Później z poważnym programem przystąpić do walki o jego realizację. I tutaj upatruję dla lewicy konkretne, antyliberalne, polityczne zadanie.

Liberalizm ekonomiczny w jego dzisiejszej postaci wiedzie ludzkość ku totalnej zagładzie.

PRZYWILEJE WŁADZY

To prawda, nie jest ono łatwe, z tego chociażby powodu, że nieuchronnie pociąga za sobą stawianie postulatów niepopularnych, takich jak zamknięcie niektórych kopalń, zaniechanie opłacalnych nieraz tylko na krótką metę inwestycji, generalne przeoranie budżetu państwa z uprzywilejowaniem ekologii, zdrowia, oświaty kosztem np. obrony (przed kim?) narodowej, bankowości, rozrośniętej administracji itd. Koszty tych operacji, bo takie oczywiście będą, obciążać muszą przede wszystkim najbogatszych. Nie chodzi przy tym o żadną urawniłowkę, a tylko o przywrócenie najoczywistszych proporcji. Fakt, że bardzo wiele zarabiają sportowcy niektórych dyscyplin, nie powinien razić, przynajmniej do pewnych granic. Kariera nie trwa długo, dotyczy tylko najlepszych, na szalę rzucane jest zdrowie, a wreszcie obywatele domagają się igrzysk. Podobnie z ludźmi sztuki. Przytaczam te dwa przykłady, bo są do znudzenia wymieniane. Darujmy je sobie. Prawdziwy i gorszący obłęd rozpoczyna się, dopiero gdy zajrzymy do banków czy spółek biznesowych, z ich radami i udziałowcami. Żeby jeszcze płacono za kompetencje. Czy ma jednak takowe zostający z dnia na dzień prezesem Orlenu i zarabiający miliony wójt Pcimia, czy miał niejaki Misiewicz?

A mowa tu tylko o najgłośniejszych przypadkach. W rzeczywistości chodzi o tysiące krewnych i znajomych królików, a jak wiadomo, króliki rozmnażają się z przerażającą szybkością. Nie ma w tym demagogii, gdyż rzesza owych układowo-politycznych darmozjadów nie tylko obciąża budżet, ale dodatkowo kompromituje państwo i szkodliwie polityzuje życie społeczne. Po co nam oni? Za co im słono płacimy?

Plagą Rzeczypospolitej są też rosnące przywileje władzy (np. eksminister, który zatrzymuje sobie służbowy samochód z szoferem oczywiście, pies i wydra dostający państwową obstawę, zupełnie zbędne podróże zagraniczne), wydawanie pieniędzy na bezsensowne akcje mające rozsławić to czy owo, tak jakby dobra jakość nie broniła się sama. Już z tego tylko starczyłoby pieniędzy na niepełnosprawnych, zasiłki dla najuboższych czy obniżenie cen lekarstw.

KOŚCIÓŁ – PAŃSTWO W PAŃSTWIE

Skądinąd w tych ostatnich przypadkach państwo mogłoby ewentualnie liczyć na pomoc Kościoła. Przynajmniej tak by wynikało z miłosiernej kościelnej doktryny. Między bajki to jednak włóżmy. Kościół polski nie lubi jakoś papieża Franciszka. Ks. Stanisław Małkowski uznał go wręcz za pomyłkę Ducha Świętego. Episkopat pism tego ojca świętego i wypowiedzi konsekwentnie nie propaguje. Nic dziwnego – oszalałemu Argentyńczykowi zamarzył się Kościół otwarty, ale także – i to jest właśnie nie do wybaczenia – ubogi. Tymczasem Kościół w Polsce, gdy już mocno naciągając historię zbudował mit swojej walki z „komunistami" (a kiedyż to Kościołowi było lepiej niż za Gierka i Jaruzelskiego?), dawno zamienił pokorę ubóstwa na kult i uwielbienie pieniądza i ciągle mu mało. I nie trzeba odwoływać się nawet do przykładu o. Rydzyka, acz jest to dziwny przypadek: kapitalista dostający od państwa bezzwrotne zapomogi. Jakaś dziwna komisja, od której decyzji nie było odwołania, ofiarowała księżom lub sprzedała po śmiesznych cenach ogromne ilości ziemi, budynki itd.

Kościół w Polsce dawno zamienił pokorę ubóstwa na kult i uwielbienie pieniądza.

Owo bezprawie nie było przy tym niczym dziwnym, gdyż cały polski Kościół jest samodzielnym, tajemniczym państwem w państwie, niepłacącym podatków ani niezdającym komukolwiek sprawy ze swoich poczynań. Nie wystarcza mu nawet służalczy konkordat. Miesza się w sprawy polityczne, edukacyjne, ekonomiczne, usiłując ograniczać wolność obywatelską i najwyraźniej zmierzając do ostatecznego przekształcenia Rzeczypospolitej w państwo wyznaniowe. Już dzisiaj zresztą nie ma takiej uroczystości państwowej (*sic!*), gdzie w pierwszych rzędach nie byłoby czarno, fioletowo i czerwono. Na to lewica pozwalać nie może!

eprasa.pl a838ec7ecc

ODKŁAMANIE HISTORII

Niezbywalnym żądaniem lewicy winno być też odkłamanie historii. Mój ojciec mawiał, że uwierzy, że żyje w wolnym kraju, kiedy z placu Bankowego w Warszawie zniknie pomnik Dzierżyńskiego. I stało się – po Feliksie nie ma na szczęście ani śladu. Ja dzisiaj uwierzę w wolną i demokratyczną Rzeczpospolitą, kiedy na cztery spusty zamknięty zostanie IPN, a rządzący nim fałszerze i pseudohistorycy zostaną odesłani na zasłużone bezrobocie. IPN, choć jego skasowania wymaga elementarna uczciwość, jest tu symbolem. Należałoby napisać pod kontrolą bezstronnego i fachowego gremium nowe podręczniki nie tylko historii, bo np. literatura też się kłania. Samorządy lokalne (wara od tego IPN) mogą sobie wybierać (najlepiej w referendach przeprowadzanych wśród mieszkańców) dowolnych patronów swoich ulic i stawiać jakie im się podoba pomniki. Sprawy zaszły tak daleko, że trudno byłoby dzisiaj zmniejszyć posągowe pogłowie Janów Pawłów czy Lechów Kaczyńskich. Może jednak już wystarczy? W każdym razie chcący się podlizać kolejnym władzom winni co najmniej uzyskać zaświadczenie odpowiednich ekspertów, że nie zapaskudzają pejzażu, a ich święte figury spełniają minimum wymogów artystycznych. Po raz kolejny odwołuję się do obiektywizmu. Jest on tutaj jednak kwestią fundamentalną.

Samo pojęcie polityka historyczna jest absurdem. Historia nie jest bowiem plasteliną ugniataną na użytek bieżących potrzeb propagandowych, ale ustalaniem faktów, które miały ongiś miejsce, i związków między nimi. I tak np. Piłsudski był zwycięzcą spod Warszawy i współtwórcą niepodległości Polski, ale jednocześnie tym, który krwawo obalił demokratycznie wybrany rząd polski, lżył Sejm i stosował przemoc w stosunku do przeciwników politycznych. Józef Kuraś „Ogień" walczył z władzą ludową, był jednak również eksubekiem, według własnego widzimisię mordował osobistych wrogów, także Żydów i Słowaków. Młodzież w szkołach winna dowiadywać się jednego i drugiego, po czym w wolnej dyskusji dochodzić do własnych poglądów. Cóż z tego, że owe poglądy będą różne, a nawet sprzeczne. Jeżeli opierają się na faktach, mają prawo bytu. Na tym polega wolność intelektualna, a nie na glajchszaltowaniu umysłów. Lewica musi też pamiętać, że prawica wielokrotnie miewała rację (jak choćby w konflikcie margrabiego Wielopolskiego i „czerwonych"), a zresztą w wymiarze dziejowym nie tak dawno jeszcze pojęcia prawica i lewica zgoła nie istniały i po zupełnie innych liniach przebiegały podziały społeczne. Tak więc jak w większości kwestii personalnych, tak i w edukacji musi odrzucić lewica pokusę wcielania pisowskiej zasady „teraz, k… my". Zastąpić ją winno poszanowanie kompetencji i bezstronności.

Lewica tylko wtedy będzie mieć u nas szanse na powstanie z popiołów, kiedy udowodni, że drugorzędne są dla niej taktyczne spory. Liczy się natomiast starannie opracowany program, któremu na imię: EKOLOGIA-LAICYZM-PRAWDA. I niech to nawet zabrzmi patetycznie, a choćby i w pierwszej chwili naiwnie, innej drogi nie widzę.

Ludwik Stomma

eprasa.pl a838ec7ecc

Karpie, tak jak inne ryby, powinny być uśmiercane prądem zaraz po połowie.

Nadal żywe ryby pakowane są bez wody do plastikowych toreb, gdzie rozpoczyna się najgorszy etap ich przedśmiertnej udręki

KARPIOBÓJSTWO

Andrzej Elżanowski

Mimo corocznych protestów i sprzeciwu przeważającej większości Polaków (86% według sondażu CBOS z tego roku) znęcanie się nad karpiami trwa. Niektóre większe sieci handlowe trochę ten proceder złagodziły przez zapewnianie nieszczęsnym rybom natlenionej wody i przeszkolenie sprzedawców w ich ogłuszaniu, a Auchan i niektóre markety Selgros zaprzestają sprzedaży żywych ryb. Ale w większości miejsc nadal wydaje się na życzenie zatwardziałych prostaków żywe ryby, które pakowane są bez wody do plastikowych toreb, co rozpoczyna najgorszy etap ich przedśmiertnej udręki. Według ekspertów Europejskiego Urzędu ds. Bezpieczeństwa Żywności (EFSA) trzymanie karpi bez wody powyżej 10 minut powoduje ich duszenie się i wywołuje 50-krotne zwiększenie spoczynkowego poziomu kortyzolu, czyli hormonu stresu. Wprawdzie metabolizm karpi może czasowo się przełączać na warunki beztlenowe, przez co – na swoje nieszczęście – karpie przynoszone do domu są jeszcze żywe, ale wbrew propagandzie pseudonaukowców na usługach przemysłu karpiowego to wcale nie zmniejsza ich stresu.

Udręka karpia nie kończy się po przyniesieniu do domu, bo przecież prostak nie po to kupił żywego karpia, żeby go zaraz zabić. Ładuje więc rybę do wiaderka, w którym nie może ona nawet się wyprostować, albo do wanny z chlorowaną wodą wodociągową, która drażni skórę i wkrótce staje się niedotleniona, więc zaczyna się kolejne podduszanie. Zabijanie w podniosłą wigilię urodzin Zbawiciela może zaś być zbawieniem tylko dla tych ryb, które trafią do sprawnych rzeźników, podczas gdy większość karpi jest nieudolnie zatłukiwana. Karpia bowiem niełatwo zabić, a nawet porządnie ogłuszyć, żeby się nie obudził pod nożem na blacie kuchennym. W odróżnieniu od ptaków i ssaków ryby mają jamę czaszkową dużo większą od mózgu, więc nawet celne uderzenie w sklepienie czaszki nie zawsze uszkodzi mózg.

Wie o tym dobrze dr inż. Henryk Białowąs, zootechnik zatrudniony w Zakładzie Ichtiobiologii i Gospodarki Rybackiej PAN w Gołyszu, bo jest trzecim z pięciu współautorów wiarygodnej publikacji (B. Lambooij i in., „Aquacultural Engineering" 2007), która kończy się konkluzją, że mechaniczne ogłuszanie „nie daje pewności skutecznego ogłuszenia, ponieważ nie wszystkie karpie straciły przytomność i stały się niewrażliwe [na bodźce] po jego zastosowaniu". A przecież ogłuszanie ryb w tym eksperymencie było dużo bardziej fachowe i precyzyjne niż wigilijne zmagania z karpiem, który nie chce przestać się ruszać. Mimo to dr Białowąs poszedł na współpracę z komercyjnym Towarzystwem Promocji Ryb, by stworzyć pseudonaukową zasłonę dymną dla sprzedaży żywych karpi. W drugorzędnym periodyku rybackim opublikował wyniki pomiarów, które dowodzą tylko tego, że stres jeszcze wzrasta po wyjęciu z wody i włożeniu do toreb i tak już silnie zestresowanych poprzednim traktowaniem karpi. Ale według autora poziom kortyzolu miał wzrastać trochę bardziej w torbach przylegających do ciała karpia niż w tych z ażurową plastikową izolacją między ciałem ryby a torebką. Jak przyznał sam autor, „różnice między wartościami badanych wskaźników... nie są duże", a co ważniejsze, są nieistotne statystycznie i nie zostały potwierdzone po upływie ośmiu lat. Zresztą nawet gdyby zostały potwierdzone, i tak wysoce wątpliwe jest znaczenie tak małych różnic dla dobrostanu zwierząt. Ostatecznie zaś kompromituje całą tę „naukę" powtarzanie nieprawdy, że skórne oddychanie karpi może zastąpić oddychanie przez skrzela, podczas gdy od 40 lat wiadomo (m.in. z pracy przytaczanej, ale najwyraźniej nieprzeczytanej przez dr. Białowąsa), że skóra karpi pochłania cały tlen na własny metabolizm.

Niestety, ta pseudonauka wystarcza kolejnym głównym lekarzom weterynarii do wydawania wytycznych, które „w przypadku braku możliwości uboju karpi przed sprzedażą" zalecają ich sprzedawanie w ożebrowanych lub perforowanych pojemnikach włożonych do niezawiązanej torby foliowej i tym samym legitymizują łamanie art. 6 ust. 2 Ustawy o ochronie zwierząt. „Brak możliwości" jest tu jawną niedorzecznością, bo karpie, tak jak inne ryby, mogą i powinny być uśmiercane prądem zaraz po połowie, a jeżeli sprzedawca oferuje jeszcze żywe ryby, musi ponosić ciężary organizacji tego procesu. Można i trzeba od niego wymagać przygotowania przynajmniej do względnie humanitarnego uśmiercenia ryb. Miejmy nadzieję, że po zdemaskowaniu „naukowych" podstaw wytycznych uda się przywołać głównego lekarza weterynarii do prawnego porządku.

Prof. dr hab. Andrzej Elżanowski jest zoologiem i bioetykiem, związanym z Uniwersytetem Warszawskim i Polskim Towarzystwem Etycznym

FOT. MARIUSZ KAPAŁA/GAZETA LUBUSKA/POLSKA PRESS

eprasa.pl a838ec7ecc

Dom warszawskich gazeciarzy

Od ponad 80 lat ogniska zakładane przez Kazimierza Lisieckiego pomagają rodzinom. I udowadniają, że wydawanie pieniędzy na cele społeczne ma sens

Katarzyna Wierzbicka

W samym sercu warszawskiej Pragi-Północ, przy Środkowej 9, stoi drewniany, brązowy dom z okiennicami i białym ornamentem wieńczącym duże okna. Zbudowany pod koniec XVIII w., przez jakiś czas był siedzibą sądu grodzkiego, a w 1933 r. przejęło go Towarzystwo Przyjaciół Dzieci Ulicy prowadzone przez wybitnego pedagoga – Kazimierza Lisieckiego „Dziadka". Dzisiaj ośrodek działa jako jedno z ognisk warszawskiego Centrum Wspierania Rodzin, noszącego imię swojego założyciela. Choć nazwa instytucji się zmieniała, funkcja budynku pozostała ta sama: jest nią wsparcie dla ok. 30 dzieci z okolicy.

Wisławę Balas, kierowniczkę praskiego ośrodka, dzieci nazywają panią Wisłą.

CIEPŁO „DZIADKOWEGO" OGNISKA

– Mieszkałem po drugiej stronie ulicy – wspomina Tadeusz Zakrzewski, były dziennikarz Telewizji Polskiej i jeden z wychowanków „Dziadka" Lisieckiego. – Pamiętam, że podczas powstania, gdy Środkowa była pod ostrzałem snajperów, miałem z kolegą umowę: kiedy on otwierał drzwi do ogniska, ja błyskawicznie przebiegałem na drugą stronę. Na miejscu dostawałem obiad. Nie było nawet jednego dnia okupacji, kiedy ogniskowa kuchnia nie wydawałaby obiadów swoim podopiecznym.

A pierwszymi podopiecznymi ośrodka byli warszawscy gazeciarze – chłopcy w wieku od kilku do kilkunastu lat, zarabiający na życie, często nawet swoich rodzin, roznoszeniem gazet. Poza ciepłym posiłkiem Lisiecki zapewniał im wiele zajęć: od gry w ping-ponga do letnich obozów pod namiotami. Jednak, jak podkreślają wychowankowie, w ognisku panowały niewzruszone zasady: do obowiązków podopiecznych należało m.in. dbanie o porządek i pomaganie młodszym kolegom w nauce. Z opowieści wychowanków o „Dziadku" Lisieckim wyłania się figura charyzmatycznego, uwielbianego przez podopiecznych społecznika.

„Nie uznawał cwaniactwa, nieszczerości – pisze o Lisieckim Bogusław Homicki, podopieczny ośrodka w latach 50. – Cwaniaka, szulera karcianego ograł w karty, a wygrane pieniądze oddał mu i zobowiązał, aby kupił za nie ciastka dla ogranych kolegów. Chłopak mógł uciec z pieniędzmi, ale wrócił (…) i od tamtej pory był najwierniejszym ogniskowcem. Złodziejowi powierzył do pilnowania pieniądze na zakupy, a on ich pilnował, bo pieniądze były dla nas".

– „Dziadek" powtarzał, że nie ma nic za darmo i że najważniejsze są cenzurki. Nie zdawaliśmy sobie z tego wówczas sprawy, ale wykształcenie to była rzeczywiście szansa dla nas – dodaje Tadeusz Zakrzewski. – Dużą wagę przykładał do odpowiedzialności za słabszych, za własne czyny i słowa. Największą karą za nieprzestrzeganie tych zasad był tzw. urlop, czyli zawieszenie prawa przychodzenia do ośrodka. Był taki moment, kiedy „Dziadek", jako dyrektor ogniska, mógł dostać osobne mieszkanie, ale nigdy nie wyprowadził się z ośrodka. Jego syn był naszym kolegą, a żona „Babcią".

> Dzieci i rodzice traktują to miejsce jak swoje.

Postać twórcy sieci ognisk nie jest tu bez znaczenia – stosowane przez niego metody i założenia do dzisiaj stanowią podstawę działalności tych placówek. Najważniejsze są nacisk na poczucie odpowiedzialności za siebie i innych oraz wiara we wspólnotowość – nie tylko w ramach grupy ogniskowych wychowanków, ale także ich rodzin: remonty w ogniskach często były przeprowadzane przez rodziców uczęszczających do nich dzieci, a wychowawcy również byli dawnymi podopiecznymi.

Założenia przyświecające Lisieckiemu w tworzeniu ognisk ponad 80 lat temu obowiązują także w insty-

eprasa.pl a838ec7ecc

„Dziadek" powtarzał, że nie ma nic za darmo i że najważniejsze są cenzurki.

tucji noszącej jego imię. I stanowiącej dowód, że przydzielanie publicznych pieniędzy instytucjom wsparcia społecznego ma głęboki sens.

CHODZI O SPOTKANIE

Dziś budynek przy ulicy Środkowej jest najstarszym z wciąż działających ośrodków wspierania potrzebujących rodzin. W Warszawie istnieje jeszcze dziewięć ośrodków prowadzonych przez Centrum Wspierania Rodzin: na Muranowie, Starówce, Gocławiu, Grochowie, Bielanach, Okęciu, Mokotowie, Ursynowie i Marymoncie.

Przychodzący tu po szkole podopieczni mogą liczyć na ciepły posiłek, pomoc w nauce i zajęcia pod okiem opiekunów: od socjoterapeutycznych po rozwijające zainteresowania. Podobnie jak w ogniskach zakładanych przez Kazimierza Lisieckiego dzieci mają tu również swoje obowiązki: należy do nich odrabianie lekcji i dbanie o wspólną przestrzeń.

Ognisko na Środkowej opiekuje się dziećmi od 1933 r.

– Jeśli ktoś wcześniej skończy odrabianie lekcji albo akurat nie ma nic zadane, to powtarza materiał albo czyta lekturę – mówi kierowniczka praskiego ośrodka Wisława Balas, nazywana przez dzieci panią Wisłą. – Jest dla nas bardzo ważne, że dzieci i rodzice traktują to miejsce jak swoje: mówiąc o ośrodku, używają pierwszej osoby. Rodzice rozmawiają z nami, opowiadają o swoich sprawach i trudnościach. Nie jest tak, że tylko przychodzą, zostawiają dzieci i sobie idą. Co tydzień mamy zebrania tzw. społeczności, na których mówimy, co nam przeszkadza w grupie, staramy się rozwiązywać konflikty.

Nie było nawet jednego dnia okupacji, kiedy ogniskowa kuchnia nie wydawałaby obiadów swoim podopiecznym.

– Wszystkie badania pokazują, że praca z całą rodziną jest o wiele skuteczniejsza niż z samym dzieckiem, w dodatku często wyłącznie doraźnie – mówi dyrektor Centrum Wspierania Rodzin Jarosław Adamczuk. – Dysponujemy narzędziami, które w sytuacji kryzysowej w rodzinie pozwalają nam na współpracę na wielu płaszczyznach: zarówno ze szkołą, z sądem, jak i na poziomie wsparcia psychologicznego. Okazuje się to bardzo skuteczne.

Poza dziesięcioma ogniskami wychowawczymi centrum prowadzi m.in. rodzinne kluby malucha, do których mogą przyjść najmłodsze dzieci razem z rodzicami, warsztaty socjoterapeutyczne, wyjazdy, rodzinne place zabaw i tzw. FabLaby – specjalistyczne pracownie, udostępniające przychodzącym do nich osobom odpowiedni sprzęt i przestrzeń do realizowania własnych pomysłów z różnych dziedzin.

– Na razie mamy dwa takie miejsca, choć jest plan, żeby było ich coraz więcej – wyjaśnia Jarosław Adamczuk. – Na Starym Mieście, na

eprasa.pl a838ec7ecc

Starej działa FabLab stolarski „Wbijaj!”, gdzie można przyjść i zrobić coś z drewna, korzystając z porady doświadczonej kadry i dostępnych na miejscu narzędzi. Drugim FabLabem jest Telewizja Młodzieżowa, gdzie można nagrać własny film, również korzystając z pełnego sprzętu. Organizujemy też konkurs na najlepszy film nakręcony przez nastoletnich twórców. Kolejną pracownią, jaką chcemy stworzyć, jest FabLab kulinarny.

O ile prowadzone przez centrum ogniska wychowawcze organizują zajęcia jedynie dla swoich podopiecznych, o tyle inne projekty instytucji przeznaczone są dla większości warszawiaków.

– Tu nie chodzi o dzieci bardziej czy mniej trudne, nie chodzi też o to, żeby koniecznie zrobić wielkie dzieło i wygrać konkurs – tłumaczy Adamczuk. – Chodzi o przestrzeń, w której spotykaliby się różni ludzie, żeby nawiązali kontakt. Mamy przychodzące z dziećmi do naszych klubów malucha czy na place zabaw są często z zupełnie różnych światów – być może nigdy by się nie spotkały w innych okolicznościach. A nam chodzi o to, żeby te światy łączyć.

FabLab „Wbijaj!” przy ulicy Starej.

Do ogniska na Środkowej przychodzi ok. 30 dzieci.

Ze słów Jarosława Adamczuka wyłania się obraz przestrzeni wspólnej – takiej, która zamiast segregować dzieci na mniej i bardziej „trudne”, dawałaby jednym i drugim możliwość kontaktu. W tej „wspólności” chodzi jednak o miejsce spotkania nie tylko poszczególnych dzieci i środowisk, ale także różnych instytucji i rodzin.

– Zależy nam na tym, żeby stworzyć przestrzeń łączącą dom kultury, centrum wsparcia psychologicznego i świetlicę, gdzie można po prostu konstruktywnie spędzić czas z innymi. Niestety, takich miejsc jest w Polsce wciąż mało. Kiedyś podopieczni ognisk mogli korzystać w razie potrzeby z hoteliku. To rozwiązanie umożliwiałoby nam współpracę z rodziną w sytuacji kryzysowej, zanim nastąpi interwencja kuratora lub sądu. Niestety, od zmiany przepisów w 2011 r. nie mamy możliwości tego rodzaju interwencji. A szkoda, bo oznacza to, że pierwszym jej krokiem jest często ten ostateczny, czyli umieszczenie dziecka w placówce opiekuńczej – ubolewa dyrektor centrum.

Obecnie w dwóch z dziesięciu placówek instytucji – przy Środkowej i Starej – przeprowadzany jest gruntowny remont. Jarosław Adamczuk ma nadzieję, że dzięki temu z zajęć będzie mogło korzystać więcej dzieci.

Założenia przyświecające Lisieckiemu w tworzeniu ognisk ponad 80 lat temu obowiązują także dziś.

– Panuje w Polsce przekonanie, że pieniądze wydawane na działalność i opiekę społeczną są wyrzucane w błoto – mówi Adamczuk. – Tymczasem wypracowanie skutecznej strategii wsparcia dla potrzebujących tego rodzin jest możliwe. Potrzeba tylko więcej miejsc, które łączyłyby wiele funkcji.

Katarzyna Wierzbicka

FOT. ARCHIWUM CENTRUM WSPIERANIA RODZIN (3), KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (3)

eprasa.pl a838ec7ecc

Szkoda, że się nie zamienili

Edward Mikołajczyk

Powstanie Radia Maryja wygrywa u nas z rocznicami wszystkich innych powstań. I chwała Bogu! Wreszcie świętujemy coś radośnie i bez chuliganerii. Wreszcie cieszymy się z czegoś stworzonego z trudem i trochę cudem, co trwa i coraz sprawniej działa. Obchody jak nie w Polsce, bo bez trumien, defilady, składania wieńców i rytualnego narzekania na sąsiadów, historię i poprzedników. Alleluja i do przodu!

Tak było w sobotę, 1 grudnia, na 27. urodzinach Radia Maryja w hali Arena Toruń. W roli mistrza ceremonii wystąpił sam twórca radia, o. Tadeusz Rydzyk. Twarz z rozpoznawalnością na poziomie Roberta Lewandowskiego albo i lepiej, więc nie trzeba dodawać, bo wszyscy wiedzą, że na tym obliczu zawsze jest łagodny uśmiech, nawet kiedy trzeba kogoś skaleczyć słowem.

W oczekiwaniu na osobistości z Warszawy o. Tadeusz zajmował konferansjerskim słowem kilka tysięcy ludzi oczekujących na początek nabożeństwa. Serdecznie witał, kogo tylko dostrzegł i rozpoznał na wielkiej widowni, przypominał cudze zasługi i dziękował. Z niepodrabialnym wdziękiem strofował co chwila o. Grzegorza, który stał po prawej stronie Mistrza, bo wiadomo, że jest jego prawą ręką i pamięcią. Wszyscy oczywiście wiedzieli, że ta niby-połajanka zaraz się skończy siarczystym komplementem. Ojcze – zwrócił się w pewnym momencie Tadeusz do Grzegorza – żeby tak ojca było ze stu! Adresat się zarumienił, zebrani zareagowali głośnym ożywieniem.

Rząd potrzebuje menedżera, który z niczego stworzył fenomenalnie sprawny, medialny czebol. Premier dałby radę u redemptorystów.

W niby-bezładnym stand-upie dyrektor toruńskiego radia wymienił wszystkie nowe tytuły inwestycyjne i trzy razy powtórzył prośbę o przekazywanie 1% z PIT na wskazane cele. „Katolicy trzymają z katolikami, Polacy trzymają z Polakami i to będzie normalne, prawda?! Wszyscy po Panu Bogu najbardziej kochamy co? Polskę kochamy najbardziej. Ale jaką? Polskę katolicką", dialogował Tadeusz Rydzyk z publicznością, nie powołując się na Ewangelię.

Zawodowo i bezpretensjonalnie mistrz ceremonii uciszył halę, kiedy chciał powiedzieć coś najważniejszego. „W wojsku musi być cisza, bo inaczej to jest dziadostwo", zauważył. I w tej ciszy powiedział, że najważniejsze jest teraz wychowanie młodzieży. Poskarżył się na Polski Instytut Sztuki Filmowej, uzgadniając z o. Grzegorzem prawidłowe brzmienie skrótu tej instytucji, że na film jego studentów „Nędzarz i madame" nie dali pieniędzy, a na „Kler" dali. To znaczy studenci dostali, cytuję: „dwa pół dnia na dzień", ale nie wiem, ile to jest. Z tonu dało się usłyszeć, że tyle, co nic.

Poprosił, by podnieśli rękę ci, którzy byli w kinie, obejrzeli „Kler" i dołożyli mu jeszcze kasy. Poszedł szmer po hali i widać było wzajemne popatrywanie, kto pierwszy się przyzna. Na obrazkach z transmisji w TV Trwam nie było widać ani jednej ręki w górze. Mimo to o. Tadeusz nie darował sobie retorycznego pytania. Zobaczcie, powiedział, wskazując na licznie zgromadzonych księży, czy któryś z nas wygląda jak bohaterowie tego filmu?! Dodał, że sam też go nie widział, tylko coś czytał w internecie.

Powiedział jeszcze, że przydałaby się komisja śledcza, bo Ruch okrada biedny „Nasz Dziennik". Nas w PRZEGLĄDZIE też, więc popieramy klarowny plan o. Rydzyka w tym punkcie i we wszystkich innych, które mają ewangeliczną podstawę.

Partyjni i rządowi delegaci przyjechali do Torunia z innymi twarzami niż te, które na co dzień obnoszą po telewizjach: zacięte lub wykrzywione szyderczym uśmiechem. Nagle tutaj wszyscy jak ze świętych obrazków, wszyscy we władzy absolutu.

Premier polskiego rządu powierzył Matce Boskiej „naród cały" – również tych, którzy jeszcze „póki co" (dziatwo szkolna, nie używaj tego rusycyzmu, jeżeli chcesz mieć dobry stopień z polskiego) nie kochają Polski tak jak on. Dopóki z kartki cytował XIX-wieczną pieśń kościelną, było w porządku. Kiedy mówił z głowy, pojechał poplątaną „morawiejką" z własnego repertuaru objazdowego.

Gospodarz i najważniejszy gość 27. urodzin Radia Maryja powinni w finale zamienić się rolami choćby na rok, do następnego jubla. Rząd potrzebuje menedżera, który z niczego stworzył fenomenalnie sprawny, medialny czebol, a ponadto wie i umie powiedzieć, o co mu chodzi. Premier dałby radę u redemptorystów. ■

FOT. JACEK PISKI/REPORTER

eprasa.pl a838ec7ecc

Bez przesady z dobrym wychowaniem

Sączy nam się, że prawdziwa kobieta musi ugotować obiad, przewinąć dziecko, posprzątać, zrobić zakupy, a przy tym nie przestawać być piękna, seksowna i modnie ubrana

Rozmawia Dawid Dróżdż

GABRIELA MUSKAŁA

– aktorka teatralna i filmowa, scenarzystka i odtwórczyni głównej roli w filmie „Fuga"

W ostatnich latach w polskim kinie pojawiło się wiele filmów na temat poszukiwania tożsamości i wyzwolenia się z konwenansów. Szczególnie dotyczy to bohaterek kobiecych.

– To prawda. Ostatnio miałam okazję zobaczyć „Ninę" Olgi Chajdas, ale widziałam także zeszłoroczną „Wieżę. Jasny dzień" Jagody Szelc. Po premierze tego filmu powiedziałam reżyserce, że to jest „Fuga", tylko opowiedziana w nieco inny sposób. U mnie bohaterkami są dwie kobiety w jednym ciele, a w „Wieży..." jedna w dwóch ciałach. Oba filmy opowiadają jednak o tym samym – o wyzwoleniu, dzikości, wolności i pierwotnej duszy kobiety.

Te dwa filmy łączy także podobna stylistyka. Kiedy w twoim projekcie pojawiła się Agnieszka Smoczyńska?

– Mniej więcej po dwóch latach od narodzin pomysłu. Poznałam Agnieszkę podczas kręcenia jej krótkiego metrażu „Aria Diva", w którym grałam jedną z głównych ról. Po premierze filmu Agnieszki zaczęłyśmy rozmawiać o planach na przyszłość. Opowiedziałam jej o moim pomyśle, a ona powiedziała, że bardzo chciałaby nakręcić tę historię. Mimo że była debiutantką, znalazłam w niej coś, czego potrzebowałam: głębię, odwagę, wrażliwość i poczucie humoru.

Czułam też, że ten temat z podobnych powodów jest nam bliski. Obie miałyśmy wtedy małe dzieci – „bycie matką" to temat, który nas fascynował. Byłyśmy szczęśliwe i głęboko zanurzone w typowo polskim macierzyństwie – obiadach, bajkach, praniu i zakupach. I obie miałyśmy ogromną wewnętrzną potrzebę opowiedzenia historii o przełamywaniu tych stereotypów. Nie zapomnę, jak rozmawiałyśmy o scenie, w której Alicja obojętnie pyta swojego zapomnianego syna: „Jak masz na imię?", a tymczasem co chwilę dzwoniłyśmy do swoich domów, aby zapytać, czy wszystko u naszych dzieci jest w porządku.

Nie obawiałaś się, że brak dystansu do tej historii i bohaterki będzie ci przeszkadzał w odegraniu głównej roli?

– Ani przez moment. Po napisaniu scenariusza wiedziałam, że będę miała przynajmniej dwa lata na to, żeby złapać dystans i przestawić się z funkcji scenarzystki na aktorkę. Przez ten czas realizowałam inne projekty, pisałam, grałam, miałam zajęcia ze studentami w łódzkiej Filmówce. Zaczynając próby z Agnieszką, dostałam do ręki swój tekst, do którego miałam już emocjonalny dystans, i mogłam – jako aktorka – poczuć i odkryć go na nowo.

Skąd wiedziałaś, że ta rola jest dla ciebie?

– Podpowiadała mi to nie tylko moja intuicja, ale też świadomość aktorska. Zdarza się, że rezygnuję z ról w filmach, kiedy czuję, że z różnych powodów do mnie nie pasują bądź są zbyt podobne do poprzednich ról czy po prostu mnie nie ciekawią. Mimo że Alicja jest osobowościowo pozornie odległa ode mnie i pewnie żaden reżyser w pierwszym odruchu nie obsadziłby mnie w tej roli... wiedziałam, że ją w sobie mam. I że dotarcie do niej będzie dla mnie fascynującą podróżą, nie tylko zawodowo.

Inspiracją do powstania scenariusza był przypadek z „Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie". Kobieta straciła pamięć i opuściła rodzinę. Dopiero po emisji programu bliscy ją odnaleźli. Dlaczego jej losy wydały ci się atrakcyjnym materiałem na film?

– Jednym z powodów było moje wieloletnie zainteresowanie tematem pamięci. Podejmowałam go już w sztukach, które piszę z moją siostrą Moniką Muskałą pod pseudonimem Amanita Muskaria. Naszym debiutem dramaturgicznym był monodram „Podróż do Buenos Aires", zainspirowany monologami naszej babci chorej na alzheimera. Później napisałyśmy „Daily Soup" i „Cichą noc", w których w różny sposób

Nie zapominajmy o tym, kim naprawdę jesteśmy i co czujemy. Dzięki temu mamy szansę pozostać sobą.

eprasa.pl a838ec7ecc

opowiadamy o wypieraniu z pamięci traumatycznych wydarzeń w rodzinie. Pamięć dużo mówi o naszej tożsamości, o tym, kim jesteśmy, w jaki sposób budujemy i nazywamy świat. Dzięki temu jest tak inspirująca. Ale w przypadku fugi dysocjacyjnej, którą poznałam wraz z Marią w programie „Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie", temat utraty pamięci pojawił się od strony, której do tej pory nie znałam.

Fuga dysocjacyjna różni się od alzheimera, w którym człowiek bardzo chce zachować pamięć, ale choroba dziurawi mu mózg i usuwa wspomnienia. Wielki dramat ludzi chorych na alzheimera czy demencję rozgrywa się w przebłyskach ich świadomości. Fuga nie jest chorobą, tylko zaburzeniem i bierze się z tego, że jesteśmy w rzeczywistości, w której nie chcemy być, ale jesteśmy za słabi, by ją zmienić. Wtedy mózg przychodzi nam z pomocą i pozwala zapomnieć wszystko, nawet siebie.

przeżyli ten dramat. Rozmawiałam za to z psychiatrami, którzy zajmowali się podobnymi przypadkami. Zainteresował mnie fakt, że najczęściej na fugę cierpiały kobiety, które uwikłały się w toksyczne relacje społeczno-prywatne. Nie miały siły z nich wyjść, przez co narastała w nich frustracja, prowadząca do myśli samobójczych. Żeby nie zabijać się na oczach bliskich, działały według podobnego schematu: zostawiały swoje dokumenty i klucze i wyjeżdżały gdzieś daleko. W oddali od domu nadal jednak nie potrafiły odebrać sobie życia, ponieważ były na to zbyt słabe. W pewnym momencie budziły się w obcym miejscu, np. na ławce w parku, i nie wiedziały, kim są. Działa wtedy fascynująca cecha mózgu, która zabierając pamięć, umożliwia przybranie nowej osobowości. Żeby było jasne, fuga dysocjacyjna nie jest zarezerwowana tylko dla kobiet – równie często dotyka mężczyzn.

zależności. Jesteśmy w stanie zrozumieć sytuacje, w których mężczyzna zakocha się w innej kobiecie i opuści rodzinę. Gdyby jednak, zwłaszcza w Polsce, przydarzyłoby się to kobiecie, zostałaby przez społeczeństwo skreślona. Stałaby się potworem, który porzucił swoje dziecko.

Pisząc scenariusz, zastanawiałam się, jak ludzie przyjmą ten film w katolickiej Polsce, gdzie matka jest strażniczką domowego ogniska. Okazało się, że zarówno w Cannes, jak i u nas ludzie kibicowali Alicji, szli za nią i byli wzruszeni jej losem. Nikt nie potraktował jej jak dziwoląga czy wroga, mimo że nie zabiega o niczyją sympatię. Kobiety mówiły, że to film o nich i o tęsknotach, których nie mają odwagi urzeczywistnić. Mężczyźni, że ta historia wbija w fotel i daje do myślenia...

Dlaczego bałaś się odbioru „Fugi" w Polsce?

– Bardziej od katolicyzmu obawiałam się naszej tradycji, chociażby

„Fuga"

Zafascynowało mnie także to, że ludziom cierpiącym na fugę dysocjacyjną bardzo często diametralnie zmienia się osobowość. Dlatego w kontrze do delikatnej Kingi, która traci pamięć, postanowiłam zbudować postać silnej Alicji, która jest niezależna i wykracza poza wszelkie normy i konwenanse. Kobiety, która nie jest obudowana tym wszystkim, z czego skonstruowany jest archetyp tzw. matki Polki i w ogóle kobiety.

Czy podczas pracy nad scenariuszem spotykałaś się z kobietami cierpiącymi na fugę dysocjacyjną?

– Tylko z jedną, Marią, która była dla mnie pierwszą inspiracją. Wolałabym jednak o tym nie opowiadać, bo wiem, jak jej rodzina i ona sama

Fuga jest więc podświadomym przeciwstawianiem się stanowi zniewolenia, w którym tkwimy przez długi czas?

– Można tak powiedzieć. Rodzimy się przecież wolni. Spójrzmy na dzieci, które zachowują się bardzo spontanicznie, potrafią okazywać emocje, nie wstydzą się złości, agresji, smutku, a kiedy chcą sikać, po prostu to robią. Dorośli wiedzą, jak „należy" się zachowywać, przez co często, mimo że myślimy i czujemy inaczej, automatycznie robimy to, co nam „wypada" zrobić, bo tak zostaliśmy wychowani. Wspomniałam o matce Polce, ponieważ używam jej jako figury, która ukazuje pewne

tej patriarchalnej, przez którą panuje przekonanie, że mężczyzna powinien chodzić do pracy, a kobieta ma się opiekować domem. Przecież obrazki i hasła, które widzimy w każdym piśmie kobiecym lub reklamach telewizyjnych, biorą się z tych stereotypów. Podskórnie sączy nam się do głów przeświadczenie, że prawdziwa kobieta musi ugotować obiad, przewinąć dziecko, posprzątać mieszkanie, być dobrą matką, robić zakupy, a przy tym nie przestawać być piękna, seksowna i modnie ubrana. Oczywiście może też przy tym wszystkim pójść do pracy, jeśli nie chce stracić niezależności.

Większość ludzi nie potrafi wyzbyć się wszystkich narzuconych im ról,

FOT. ANNA BOBROWSKA/KFP/REPORTER, MATERIAŁY PRASOWE, JAKUB KIJOWSKI/MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl a838ec7ecc

bojąc się odrzucenia przez społeczeństwo.

– Myślę, że w większości nie jesteśmy nawet świadomi schematów, w które jesteśmy uwikłani. Nie myślimy na co dzień o tym, czego naprawdę byśmy chcieli. Myślimy o tym, co „powinniśmy" lub co „wypada" nam chcieć. Tak zostaliśmy wychowani, tzw. dobre wychowanie mówi: „bądź grzeczny", „bądź miły" czy „bądź uśmiechnięta" – ale co to właściwie znaczy? Jak się dobrze zastanowić nad konsekwencjami takich słów, to dreszcz przechodzi po plecach.

A w stosunku do chłopców: „nie płacz".

– I „bądź silny". Widziałam kiedyś czteroletniego chłopczyka nad morzem, który niewinnie bawił się swoim siusiakiem. Dziadek podszedł do niego i trzepnął go w głowę. Chłopiec był zdezorientowany – przecież nie miał niczego złego na myśli, po prostu odkrywał swoje ciało. To dziadek miał niesmaczne skojarzenia i dlatego zachowanie chłopca było dla niego wulgarne i nietaktowne. Innym razem widziałam kobietę, która szła w upale po plaży z około dwuletnią córeczką, ubraną jak księżniczka. Matka zabraniała jej ściągnąć lakierki, bo mogłaby pobrudzić sobie nóżki. Nie zważała na to, że dziecko jest nieszczęśliwe, bo właśnie tłumi się jego pierwotne instynkty i ogranicza potrzebę kontaktu z piaskiem, wodą, naturą.

Musimy zaakceptować kulturę, w której żyjemy, spróbujmy pokochać też zasady.

Kiedy zaczynamy dorastać, nabieramy wielu przyzwyczajeń, a później zapominamy, że zostały przez nas nabyte. Bohaterka „Fugi" traci pamięć o sobie, swoim dobrym wychowaniu i staje się trochę jak dziecko. Umysłowo jest jednak dojrzałą kobietą, silną i wolną wewnętrznie. Dlatego ludzie wokół niej nie mogą tego znieść i traktują ją jak inną, obcą.

Bo w przeciwieństwie do nich jest wolna.

– I nie musi się uśmiechać, kiedy nie ma na to ochoty. Zauważ, że często uśmiechamy się, bo tak wypada. Jest w tym jakiś automatyzm. Kiedy ktoś się nie uśmiecha, mamy poczucie, że jest dla nas niemiły.

A więc kultura ogranicza nas, narzucając nam normy i niepisane zasady.

– Musimy zaakceptować kulturę, w której żyjemy, spróbujmy pokochać też zasady. Prawda jest taka, że jeśli nie byłoby przepisów drogowych, wszyscy zderzaliby się na skrzyżowaniu. Tak też byłoby w świecie bez żadnych norm i zasad. W ludziach tkwią różne demony, dlatego trzeba słabszym dawać pewne prawa, a silniejszych przyhamowywać, kiedy jest taka konieczność. Nie zapominajmy jednak o sobie, o naszej wolności i o tym, kim naprawdę jesteśmy, co naprawdę czujemy. Dzięki temu mamy szansę pozostać sobą.

Dawid Dróżdż

Wywiad został przeprowadzony podczas 9. Festiwalu Krytyków Sztuki Filmowej KAMERA AKCJA.

eprasa.pl a838ec7ecc

Agnieszka Wolny-Hamkało

Tak, ale

CHYBA PODEJDĘ

Wpadła mi ostatnio w ręce książka z wierszami, które wprowadziły mnie w szczególny nastrój – jak to się mówi, udzieliły mi się. Nie miały w sobie nic ostentacyjnego, nie były ani wybujale erudycyjne, ani krzykliwie awangardowe. Była w nich elegancka powściągliwość, która zbudowała napięcie na tyle silne, że próbowałam je rozładować, wracając i wracając do tych samych wierszy. Chciałam zrozumieć, dlaczego tak na mnie działają, zidentyfikować „sposób", znaleźć i nazwać prawa, które wprowadził autor. Rozminować teren. To książka Bartka Zdunka „Lato w parku".

Już po lekturze kilku wierszy okazuje się, że ta elegancka powściągliwość to coś w rodzaju pozornego spokoju dwóch osób, które za chwilę pierwszy raz pójdą ze sobą do łóżka. I że właśnie nie da się wierszy Zdunka „rozminować", bo on w pewnym stopniu robi to sam, na własnych warunkach. Wielkomiejski chłodny ton filozofa, może nawet cynika, w każdym razie kogoś, kto wie, jak to jest – miejscowo łamie się, rozbija i przepuszcza ciepło. Tu i tam między zapisami precyzyjnego obserwatora pojawia się zdanie tak intymne i autentyczne, że czytelnikowi wydaje się, jakby niechcący zobaczył fragment cudzego ciała. Wstyd, ekscytacja, ochota, na końcu może wdzięczność? W każdym razie jeśli zdarza nam się przerzucać książki niektórych autorów z uprzejmą obojętnością – rozpoznając znajome rejestry – książkę Bartka Zdunka czyta się na innych zasadach: zaufania, partnerstwa. Tu nikt nie „chciał" być poetą, te teksty to zapisy kogoś prawdziwego, jego samotności, konkretnej i trójwymiarowej jak puste krzesło na scenie, jego lęku, niezręczności charakterystycznej dla tych, którzy czasem stają obok i patrzą na siebie z góry. Jego potrzeb, jednocześnie patetycznych i śmiesznych, jak wszystkie nasze potrzeby.

Piękno to słowo prywatne, może nawet wstydliwe.

Jest tu też kilka wierszy szerzej otwartych na interpretacje, przesuniętych w stronę abstrakcji. To teksty, w których autor zredukował znaczenia, proste skojarzenia i komunikaty do tego stopnia, że powstał zapis „w drodze". Jakby zdawał relację z poszukiwania wiersza. Takie zaciemnianie pola na granicy ryzyka, że komunikacja zawiedzie, a my zostaniemy bez dostępu, uwikłani w język, bezradni. Zabieg doskonale mieści się w logice tego tomu: wpuszczam cię do mojego świata, tu jestem taki jak ty, a tu zupełnie inny. Niektóre wiersze wyglądają tak, jakby autor zatrzymał je w pierwszej fazie i postanowił zachować ten pierwowzór jako coś ciekawszego niż uniwersalny wierszyk, pozamykany formalnie. Inne z kolei są jakby przepracowane, wypuszczone w którejś z form testowych. To ciekawe zabiegi, które w istocie każą nam identyfikować miejsca, w których zaczyna się i kończy tzw. poezja.

„Pierwszego wrócili koledzy znad wód. / I minęło lato w parku", pisze w puencie pierwszego wiersza Bartek Zdunek. Pierwszy wiersz w książce jest szczególny. Wiadomo przecież, że czytelnik – nawet jeśli przejrzy książkę chimerycznie – pierwszy wiersz przeczyta na pewno. Pierwszy wiersz nie może być ostentacyjny, nie może być za ciężki. Nie musi być reprezentatywny dla reszty, ale jego specjalny status zobowiązuje. To tekst otwarcia – może nadać znaczenie całej książce, tak jak tytuł. I ta puenta – bezpretensjonalna, niemal nieefektowna – rzeczywiście wiele nam mówi o całym tomie. Już w tych dwóch zdaniach mamy samotność, utratę, „niezałapanie się": koledzy wrócili z wakacji, osoba, która mówi w wierszu, nie była z nimi, czekała w jakimś innym miejscu, nieskorelowanym z uciechami lata, w jakich uczestniczyli (nad „wodami"). A kiedy wrócili – było już za późno na świętowanie życia, lato w parku minęło. Dystansujące, niosące subtelny dowcip „wody" i „lato w parku" nie niwelują melancholii tych zdań i pustki, jaką zdradzają.

Tę ziejącą, wywołującą zimny dreszcz pustkę bohater będzie się starał wypełnić w innych wierszach tomu. Na przykład w „śmieciowym jedzeniu": „małe dziecko, chłopczyk, pewnie wziął się z kraju dalekiego południa. / ma coś dla mnie. / jeśli tym wypcham szerokie szpary, / które niosę w tak zwanym – nie umiem napisać inaczej, / przepraszam – życiu (…)". Albo w wierszu „fabryka", w którym mówi, że „mało produkujemy" czy „niewiele robimy". Albo jeszcze inaczej w miłosnym „Copulatory vocalizations", w którym bohater jedzie do nieznajomej, która jest „popołudniem razem", jedzie, żeby przytrzymać się jakiegoś „konkretu". Ale nawet wtedy, podczas tego jechania po ciepło, po to popołudnie, wywala „paprochy" ze swetra i notuje: „totalna resztówka materii". I czasem ta rozpacz jest tylko niuansem, pozornie niewinnym słowem „chyba" w zdaniu „Tam ty stoisz i chyba podejdę", a czasem jest literalna, naga i bliska: „Liczę na ciebie. Powiedz, że to nic złego". A obok tego potoczność, sprawy, świeckie życie. Opowieści o ironii, punktowe pisanie o pisaniu. I kilka wzruszających wierszy, w których pojawiają się rodzice – znów w kontekście tego spóźnienia się na coś, bycia nie na miejscu, „niezałapania się". I tam jest czułość, ostrość widzenia – ta najbardziej rozbrajająca mieszanka.

Piękno to słowo prywatne, może nawet wstydliwe. Zajmuje miejsce wśród słów, których używamy tylko wtedy, kiedy czujemy się bezpiecznie. Więc można śmiało przyjąć, że słowo piękne to po prostu wyraz zachwytu i tyle. W takim razie wiersze Bartka Zdunka są piękne właśnie w taki sposób: jak wybuchający w powietrzu statek Apollo. I to metafora otwarta na każdą dwuznaczność, jaka nam przyjdzie do głowy.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a838ec7ecc

KURTYNA W GÓRĘ

GDZIE JEDZIE DAWID?

Nie wiadomo, gdzie jedzie Dawid. Bo choć spektakl TR Warszawa należy do „marcowego grania", nie wiadomo, jak ta historia się skończy. Różni się wyraźnie od innych treścią i formą. Jest raczej próbą odcięcia się, zawołaniem: „Dosyć już Marca!". Nie z tego powodu, że reżyser chce coś zamazywać czy zakłamywać, on raczej uważa, że nie powinno się żyć z głową do tyłu i ciągle popatrywać w przeszłość. Nie podzielam tego punktu widzenia, ale doceniam odwagę podjęcia tematu relacji polsko-żydowskich w innej perspektywie.

Aktorzy TR Warszawa udają zwiedzanie wystawy z okazji rocznicy Marca 1968 w Muzeum POLIN, a spektakl jest grany w audytorium nad salą wystawową. Kiedy aktorzy trafiają na eksponaty z mieszkania marcowych emigrantów, zaczyna się właściwa gra. Sebastian Pawlak przebiera się w damskie fatałaszki, a Rafał Maćkowiak filuje, żeby tego nie zauważyli muzealni strażnicy. Pawlak będzie grać mamę Dawida, w którego wciela się Jan Dravnel, wciąż się dopytujący, jak ma grać Żyda. Uspokaja ich ojciec Rafał Maćkowiak. I tak to się toczy aż do końca, ujawniając rozmaite pęknięcia, niedopasowania i bzdury, jakie o Żydach dobrzy ludzie chętnie powtarzają.

Najwyraźniej Piaskowski nie wie, jak wybrnąć z zadania, które sobie postawił, i przedstawienie zaczyna grzęznąć w komunałach. Na jego obronę można dodać, że w ten sposób pokazuje pole nieporozumień, które czekają na rozsądne uprawianie. Ten spektakl to zapowiedź czegoś ważniejszego, co być może pozwoli zrobić krok dalej poza rozpamiętywanie bolących chwil z przeszłości.

Tomasz Miłkowski

„Dawid jedzie do Izraela", reżyseria Jędrzej Piaskowski, dramaturgia Hubert Sulima, TR Warszawa, spektakle grane w Muzeum POLIN, premiera 8 września 2018

MIĘDZY OKŁADKAMI

Aleksandra Marinina
Niebezpieczna sekwencja

tłum. Aleksandra Stronka
Czwarta Strona, Poznań 2018

Zachwycacie się jazdą figurową? Marinina złamie wam serce. Nieprędko podczas oglądania zawodów odzyskacie zaufanie do oceny sędziów. W łyżwiarskim światku z „Niebezpiecznej sekwencji" jeśli chce się cokolwiek zyskać, trzeba to wydrzeć – i nikogo ten stan rzeczy nie dziwi. Znajdziecie tu wszelkie patologie, od ręki myjącej rękę i łapownictwa po praktyki żywo przypominające handel ludźmi. Pamiętna rywalizacja między Tonyą Harding a Nancy Kerrigan to przy tym błahostka. U Marininy mamy rzecz jasna morderstwo. Na pierwszy rzut oka sprawa wygląda tak: było dwóch skonfliktowanych trenerów i w nerwach jeden ukatrupił drugiego. Śledczy wytypowali winnego, więc po co szukać dziury w takim ładnym całym? Ale trafia się malkontent, któremu coś nie pasuje, młody detektyw z Pietrowki, znajomy Nastii Kamieńskiej. Pojawiają się nowe tropy i nowe trupy. Nic już do siebie nie pasuje.

Ostatnie książki z serii o Kamieńskiej rozczarowywały, bo wkradła się w nie cukierkowość, tę jednak czyta się ze znacznie większą satysfakcją.

Aleksandra Pańko

BYLIŚMY

HISTORIA POLSKI Z HISTORIĄ MUZYKI

Nowa muzyka polska jest coraz bardziej przystępna i zrozumiała. Taki wniosek wypływa z koncertu Sinfonii Varsovii w Studiu im. Lutosławskiego. Kompozycja Grzegorza Duchnowskiego na 100-lecie niepodległego państwa nosi tytuł „Polonia Resurrecta" i zawiera krótkie cytaty z „Bogurodzicy", „Mazurka Dąbrowskiego" i „Roty", a także rytmy marszowe i odgłosy walk. Jest jubileuszowym podarunkiem dla Rzeczypospolitej, przyjemnym, ale nie tandetnym. „I Symfonia" Jana Duszyńskiego mogłaby się stać muzyką filmową, miejscami skromna, subtelna, wyraźnie sonorystyczna, operująca kilkoma dźwiękami w różnych odmianach. Koncert zamknął utwór „Kapsuła czasu" Macieja Zielińskiego, będący podróżą przez style i epoki. Od prostych rytmów wybijanych na bębnach, przez chorał śpiewany w klasztorach, po dodekafonię. Wszystko oddzielone dźwiękiem kołatki. Z tym można iść do każdej szkoły.

Bronisław Tumiłowicz

„Oddźwięki. Nowa muzyka polska", Sinfonia Varsovia, dyrygent Szymon Bywalec, Studio Koncertowe Polskiego Radia im. Witolda Lutosławskiego, 1 grudnia 2018

ZASŁUCHAJ SIĘ

Krzysztof Herdzin
Concerto & Concertino

DUX

Krzysztof Herdzin jest jednym z najbardziej wszechstronnych muzyków w Polsce. Komponuje, dyryguje, gra, opracowuje, aranżuje, akompaniuje i produkuje koncerty oraz nagrania. Na płycie prezentuje dwa swoje utwory, z których pierwszy jest ciekawym odkryciem w łączeniu instrumentów: altówki i saksofonu altowego. To rzeczywiście dziwne, że nikt przed Herdzinem nie wypróbował takiego duetu. Wystarczy posłuchać początku koncertu na altówkę, saksofon i orkiestrę, aby się przekonać, że gdy oba instrumenty grają razem (pierwszy w rękach Katarzyny Budnik, drugi Pawła Gusnara), powstaje coś niezwykłego. Choćby dlatego warto włączyć płytę. A sama muzyka – lekka, subtelna, rytmiczna i przyjemna.

Bronisław Tumiłowicz

eprasa.pl a838ec7ecc

NA EKRANACH

AUTSAJDER

reż. Adam Sikora, prod. Polska, w kinach od 13 grudnia

O stanie wojennym bez przesady. Adam Sikora rozlicza się z własną przeszłością, kiedy w latach 80. trafił do obozu dla internowanych. Bohaterem jest Franek, student malarstwa (gra go fotogeniczny syn Sikory, Łukasz), który pojawia się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. Chłopak na własnej skórze przekonuje się, jakimi narzędziami operuje bezwzględny system, by wyprostować obywatela, ale to nie jest kolejna historia o tym, „jak straszne to były czasy". Nie ma tu ideologizowania, nie ma wskazywania winnych, czym „Autsajder" wyróżnia się na tle jednowymiarowych filmów dotyczących tamtego okresu. Twórca nie idzie na łatwiznę, tylko mówi odważnym głosem, z dystansem do poruszanego tematu. Jego obraz wchodzi do kin w rocznicę stanu wojennego i dobrze, bo stanowi odtrutkę na populistyczne przemowy polityków. Jeśli uczyć młode pokolenie o tamtym czasie, to z takich filmów – oddających grozę, ale niepopadających w skrajność.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

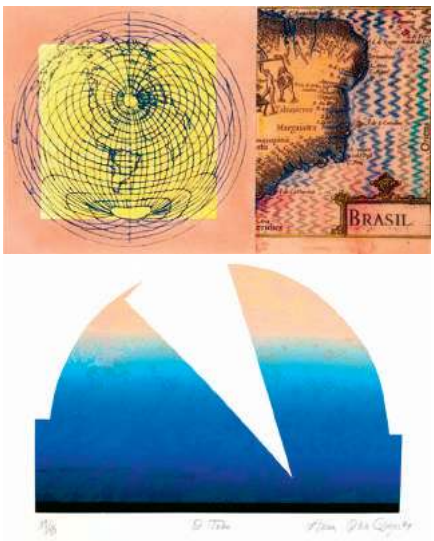

ANNA BELLA GEIGER MAPY POD NIEBEM RIO DE JANEIRO

Prezentacja twórczości pionierki sztuki brazylijskiej Anny Belli Geiger (ur. 1933). Wystawa odzwierciedla różnorodność zainteresowań artystki: od antropologii do astronomii, od kultur tubylczych i alchemii do poezji konkretnej i muzyki brazylijskiej, od nowoczesnych utopii i dystopii do teorii gier. Punkt wyjścia i główny trzon ekspozycji stanowią rysunki, grafiki i projekcje z lat 70. Anna Bella Geiger to nie tylko klasyczka sztuki brazylijskiej, ale i wpływowa wykładowczyni. Choć wystawa koncentruje się na wybranym fragmencie jej twórczości, ukazuje jej różne oblicza: jako Brazylijki, córki polskich emigrantów, wnikliwej analityczki tożsamości, artystki awangardowej czy w końcu nauczycielki.

WARSZAWA, ZACHĘTA, DO 24 LUTEGO

JAK TO WIDZISZ?

Zwieńczenie projektu pozwalającego publiczności aktywnie włączyć się w działalność muzeum. Każdy uczestnik otwartego plebiscytu mógł wybrać pięć ze stu obrazów z kolekcji Muzeum Pałac Herbsta. Na wystawę składa się 40 najchętniej wskazywanych dzieł, w tym Chełmońskiego, Wyczółkowskiego czy Boznańskiej. Kuratorzy podkreślają nie świat przedstawiony w tych pracach, ale jego symboliczne znaczenia, wielość możliwości interpretacyjnych wynikających z indywidualnego spojrzenia odbiorców. Sposób zaprezentowania dzieł to tylko jedno z wielu rozwiązań. Tytułowe pytanie jest więc wciąż otwarte.

ŁÓDŹ, PAŁAC HERBSTA, DO 31 MARCA

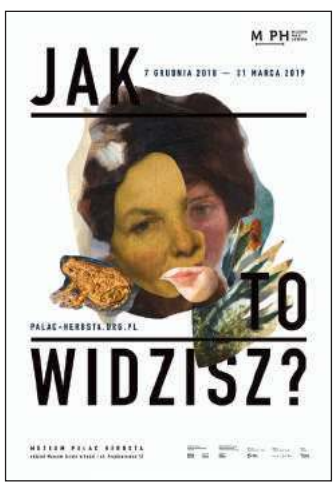

ZAGRAJĄ

ARTE DEI SUONATORI WENECKIE BOŻE NARODZENIE

W tym roku polska orkiestra barokowa o międzynarodowej renomie obchodzi 25-lecie i w grudniu powraca z kolejną propozycją festiwalową. Tym razem usłyszymy program „Weneckie Boże Narodzenie", na który złożą się kompozycje mistrzów baroku związanych z Wenecją: Antonia Vivaldiego, Giuseppe Torellego, Johanna Adolfa Hassego i Giovanniego Agostina Perottiego. Nastrój weneckich wieczorów zostanie przywołany przez Arte dei Suonatori pod dyrekcją Martina Gestera. W koncertach weźmie udział Komalé Akakpo, mistrz psałterionu, instrumentu popularnego we Włoszech i na dworze w Dreźnie. Usłyszymy także francuską sopranistkę Claire Lefilliâtre oraz współzałożycielkę Arte dei Suonatori, skrzypaczkę występującą również solo i kameralnie, Ewę Golińską. **Koncerty: Żelazowa Wola – 13.12, Poznań – 16.12, Radziejowice – 17.12, Warszawa – 18.12, Szczecin – 27.12.**

Kolumny przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, KINO ŚWIAT, MODELINA

eprasa.pl a838ec7ecc

PRZYJAŹŃ Z LOTNICZEJ KOPERTY

Polska dziewczynka i rosyjski kolega. Poznali się przez listy, pisali do siebie wiele lat, nigdy się nie spotkali

Grażyna Nowicka

Rok 1967. W Pabianicach koło Łodzi 13-letnia Ewa Nowacka, uczennica VI klasy szkoły podstawowej, zaczyna korespondencję z rówieśnikami ze Związku Radzieckiego. Adresy przyniosła pani od rosyjskiego Stanisława Syomir. Chętni brali po kilka, bo to było pisanie w ciemno. Należało się spodziewać, że nie każdy będzie miał ochotę odpisać bądź dostanie tyle ofert, że nie da rady wszystkim odpowiedzieć – uprzedzała nauczycielka. Nie uprzedziła tylko, że poznanie poprzez listy nie oznacza, że będzie można się spotkać osobiście. Raczej na pewno nie. Ale głośno nie wolno było o tym mówić.

Pisanie listów do przyjaciół ze Związku Radzieckiego – bo tak to się nazywało – uprawiano we wszystkich tzw. demoludach. Prof. dr hab. Marian Bybluk, rusycysta, wykładowca na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, obecnie związany z Kujawsko-Pomorską Szkołą Wyższą w Bydgoszczy, na początku kariery nauczycielskiej, kiedy uczył w podstawówce, a potem w szkole średniej, też zachęcał do pisania. Co nie oznacza, że nakazywał to program nauczania języka rosyjskiego. Po prostu chodziło o lepszą jakość uczenia języka – listy gwarantowały poszerzenie słownictwa, wymagały zaglądania do słowników. – Ale nie była to masówka – zastrzega profesor. – Takie metody wprowadzali co ambitniejsi nauczyciele, którym zależało na przedmiocie.

Ewa potwierdza, to nie był przymus. – Pisał, kto chciał, lepszego stopnia za to się nie dostawało. Pani nie kontrolowała naszej korespondencji. A język poznałam bardzo dobrze, co potem mi się przydało w pracy.

Ewa i Sasza w czasach szkolnych.

Nie wszyscy uczniowie byli tak pozytywnie nastawieni do nauki rosyjskiego jak ona. Był to przedmiot obowiązkowy od V klasy do matury. Przyjaźń z Sojuzem na siłę, nauka języka obowiązkowa, bez możliwości wyboru – wszystko to sprawiało, że nauczyciele nie mieli łatwego zadania.

Nie pamięta, do ilu osób zaadresowała koperty, dołączając swoje legitymacyjne zdjęcia. Odpowiedź dostała od Gali z Riazania i trzech chłopców: Jury, Saszy, imienia trzeciego nie pamięta. O rok starszy Sasza Jemiec z Kaługi okazał się najwytrwalszy, z pozostałymi skończyło się na dwóch, trzech listach. Ona i Sasza będą utrzymywali tę korespondencyjną znajomość przez lata. Połączy ich coś, czego nie można nazwać uczuciem, ale co było czymś więcej niż sympatią czy koleżeńską zażyłością. Jego listy i zdjęcia Ewa przechowuje do dziś.

•

Początki były takie: dziewczynka ze zdjęcia wysłanego w pierwszym liście podobała się, widać, Saszy, bo przysłał swoje, a następnie paczkę, w której była plastikowa lalka w stroju kosmonauty z czerwoną gwiazdą na hełmie. Adresatka była zachwycona. Zaraz zrobiła sobie zdjęcie z lalką i wysłała do Kaługi. Zaczęło się regularne pisanie. Tematy: pogoda, nauczyciele, stopnie w szkole, osiągnięcia w nauce, które traktowano całkiem serio, czas wolny. On chwalił się swoim motorem, ona panikowała przed egzaminem na prawo jazdy. O kolegach było sporo, o koleżankach nie wspominał, choć mogła przypuszczać, że gdy pisał o riebiatach, z którymi wybierał się na wycieczki, mogło chodzić i o dziewczynki. Z całą powagą zwierzył się jej później z najważniejszego wydarzenia w swoim życiu, przyjęcia do Komsomołu, na co czekał wiele lat.

Wymieniali się zdjęciami aktorów i znaczkami pocztowymi. Sasza poprosił oczywiście o fotki z „Czterech pancernych i psa" oraz o podobiznę Stanisława Mikulskiego – Klossa. Te seriale robiły wówczas furorę nie tylko w Polsce. W zamian przysłał zrobione przez siebie na wycieczce w Moskwie zdjęcie Mauzoleum

Sasza zwierzył się Ewie z najważniejszego wydarzenia w swoim życiu: przyjęcia do Komsomołu.

eprasa.pl a838ec7ecc

Lenina na placu Czerwonym. Robili sobie drobne prezenty. Ona np. wysłała mu *płatoczek* (chusteczkę), lusterko (tej przesyłki nie otrzymał), a raz nawet skarpetki.

Na początku była szczęśliwa, że ma chłopaka, który setki kilometrów od Pabianic myśli o niej, i idąc na pocztę nadać list, czuła się, jakby niosły ją skrzydła. W miarę upływu czasu była trochę zawiedziona, że koleżanki nie zazdroszczą jej tego szczęścia, bo liczył się ktoś, kto był na miejscu, z kim można było się pokazać na dyskotece, a nie daleki wielbiciel, z którego nie miała żadnego pożytku. „Po co ci ten Rusek?", dziwiły się dziewczyny.

Po podstawówce Ewa poszła do liceum, on do technikum budowlanego. Jedno i drugie starało się traktować znajomość na poziomie koleżeńskim, chociaż Saszy z czasem wymykały się słowa, które do tej relacji nie pasowały. Dawał do zrozumienia, że chodzi o coś więcej. Kończył listy: „całuję", potem „mocno całuję", w końcu „bardzo mocno całuję". Raz nawet napisał, że czeka na jej list jak słowik na lato *(żdu otwieta kak sołowiej leta),* innym razem przytoczył wiersz „Pierwaja lubow", „Pierwsza miłość". Przyznał się, że sam próbuje pisać wiersze. Nie była gotowa na takie wyznania. Zapewniał, że jak tylko zdobędzie paszport (a miało to być za dwa lata), przyjedzie do Polski i wreszcie się zobaczą. Żył tą nadzieją.

Czekał na jej list jak słowik na lato.

– Teraz, po kilkudziesięciu latach, gdy przyniosłam jego listy ze strychu i jeszcze raz przeczytałam – mówi Ewa – odkryłam nowe treści i chyba dopiero teraz tak naprawdę je zrozumiałam. Wtedy, po jakimś czasie, ta korespondencja zaczęła mi ciążyć. Jak długo można pisać do człowieka, którego nie widziało się na oczy, z którym oprócz tych kartek papieru nic nie łączy? Co prawda, czekałam na nie, ale ich treść stawała się coraz bardziej obojętna. Zaczęłam zwlekać z odpowiedziami. Ale wtedy do akcji wkroczyły mama i starsza siostra. Chłopak z listów im się podobał i nie chciały dopuścić, by nasza znajomość umarła. Napisały, podszywając się pode mnie, jeden czy dwa listy.

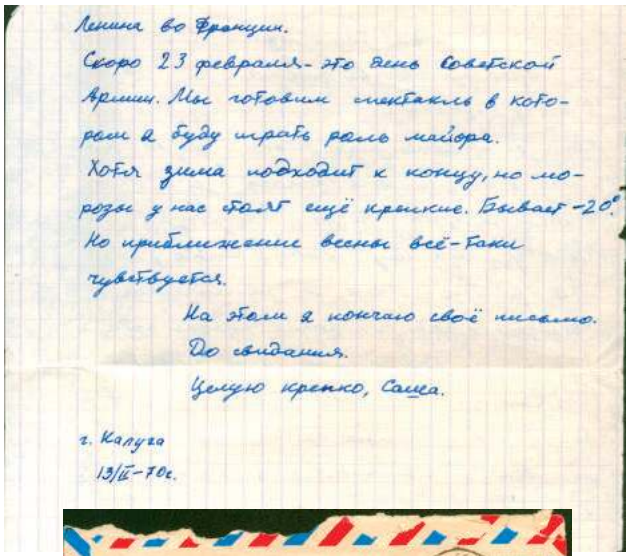
Ленина во Франции.
Скоро 23 февраля - это день Советской
Армии. Мы готовим спектакль в кото-
ром я буду играть роль майора.
Хотя зима подходит к концу, но мо-
розы у нас стоят ещё крепкие. Бывают -20°.
Но приближение весны всё-таки
чувствуется.
На этом я кончаю своё письмо.
До свидания.
Целую крепко, Саша.
г. Калуга
13/II-70г.

List Saszy kończący się słowami: „Mocno całuję".

Na ten adres przychodziły listy Saszy.

Potem się do tego przyznały. Stronę Saszy trzymała także moja babcia. Pochodziła z Wołynia i chyba czuła jakiś sentyment do tamtych stron, do języka. Wyobrażała sobie, że będzie to mój przyszły mąż. Inna rzecz, że Sasza umiał sobie zaskarbić ich sympatię. W tym, co pisał, wydawał się taki poważny, ułożony, wysyłając kartki na Dzień Kobiet (obowiązkowo) i na 1 Maja (też obowiązkowo), nigdy nie zapomniał o mamie i siostrze. Po latach, na 8 Marca, dołączał życzenia dla mojej córki.

Na kilka miesięcy korespondencja z jego strony się urwała. Później wytłumaczył, że wezwano go na pocztę i poinformowano, że za często pisze za granicę. Pouczono, że wolno mu wysłać tylko jeden list w miesiącu i tylko jeden może otrzymać. Przesyłanie większej ilości znaczków też było zabronione. Listy krążyły więc rzadziej, ale wciąż regularnie.

•

Rok 1973. Po szkole średniej Sasza próbował się dostać na uczelnię wojskową, ale go nie przyjęli.

eprasa.pl a838ec7ecc

Czy mogła o tym zadecydować długoletnia, na pewno zauważona przez odpowiednie służby, wymiana listów na linii Kaługa-Pabianice? Zaczął pracę na budowie, czekał na pobór do wojska. W każdym liście odliczał dni, które go dzielą od munduru. W jednym wyraził nadzieję, że może przyjdzie mu służyć w NRD lub w Polsce. Chciałby bardzo w Polsce. „Wtedy na pewno się spotkamy", pisał.

Ewa w tym czasie zdawała maturę, potem egzaminy na studia do Łodzi. Nie przyjęli jej na wybrany wydział. Za rok postanowiła próbować raz jeszcze. Korespondencja zeszła na dalszy plan. Chłopak jednak nie odpuszczał. „Witaj, droga Ewo! Dzisiaj otrzymałem list. Bardzo się ucieszyłem. Już straciłem nadzieję, że jeszcze napiszesz. (...) Znów będziemy korespondować ze sobą jak przyjaciele? Prawda?".

Ewa z lalką kosmonautką.

Sasza został wojskowym.

Wkrótce jednak odnowiona znajomość znowu zaczęła słabnąć. Ewa dostała się na Uniwersytet Warszawski, do dopiero co powołanego Instytutu Organizacji i Kierowania (potem zmienił nazwę na Wydział Zarządzania). Całkowicie pochłonęły ją studia i Warszawa. Zamieszkała w akademiku. O Saszy myślała coraz mniej, tym bardziej że na drugim roku pojawił się chłopak, student dziennikarstwa (w przyszłości mąż). Nie była to miłość od pierwszego wejrzenia. Poznali się na zebraniu komisji stołówkowej. Zaczęło się od pożyczania podręczników do angielskiego, potem była impreza integracyjna w Jachrance, dyskoteka, odprowadzanie się. Na obozie studenckim w Bułgarii byli już parą.

Ale listy od rosyjskiego przyjaciela nadal przychodziły. Ewa dowiadywała się z nich, że Sasza jest już w armii, stacjonuje w NRD. Listy do warszawskiego akademika wysyłane były *via* Kaługa, tam prawdopodobnie otrzymywali je jego rodzice i przesyłali do Ewy. W jednym znalazło się zdjęcie przystojnego żołnierza podpisane patetycznie: „Pamiętaj, że przyjaźń nasza będzie wieczna".

•

Rok 1978. Jeszcze na studiach Ewa i Ryszard biorą ślub. Sasza ożenił się rok wcześniej. Ale wszystko mogło się potoczyć inaczej. W ciągu tych kilkunastu lat korespondencyjnej znajomości tylko raz zdarzyła się szansa na osobiste spotkanie. Podczas pobytu w NRD Sasza napisał, że jadąc do domu na urlop, będzie przejeżdżał przez Warszawę. Koniecznie musi się z Ewą zobaczyć. Spotkają się na Dworcu Centralnym. Podał datę i godzinę. Peron numer 3.

Przeżywała to bardzo. Niejednokrotnie na tym dworcu widziała rosyjskie pociągi. Długie, zielone składy wydawały jej się takie tajemnicze, groźne. Okna pozamykane i zasłonięte firankami, nikt nie wyglądał na peron, nikt nie wysiadał. Z takiego pociągu wyjdzie do niej Sasza.

Koleżanki się dziwiły, po co jej ten Rusek.

Koleżanki z akademika były wtajemniczone, zadbały, by ładnie wyglądała, pożyczyły ciuchy, zrobiły fryzurę i makijaż.

Do spotkania nie doszło. Pociąg, którym jechał Sasza, nie zatrzymał się na Centralnym.

•

Rok 1989. Ewa z rodziną mieszka pod Warszawą. Praca, dwójka dzieci, dom. Odchodzi w przeszłość PRL, w Moskwie początki pierestrojki. Listy ze Wschodu nie przychodzą już co najmniej 10 lat. Te stare, związane w pakiet, wraz z innymi niepotrzebnymi rzeczami wędrują na strych.

W kwietniu mąż Ewy w ramach wymiany dziennikarzy został zaproszony na cały miesiąc na warsztaty dziennikarskie do Moskwy. Ewa pomyślała, że jest okazja, by poznał chłopaka, o którym mu tyle opowiadała. A ona będzie mogła zobaczyć Saszę oczyma swojego męża. Napisała do Kaługi, podała adres hotelu.

Ryszard wspomina: – Pewnego dnia do pokoju hotelowego ktoś puka. Wchodzi wysoki facet i oznajmia: *Ja drug twojej żeny.* Sasza okazał się sympatycznym, inteligentnym człowiekiem. Szczerym i otwartym, takim, jacy potrafią być tylko ludzie ze Wschodu. Opowiadał, co zdarzyło się po „zawieszeniu korespondencji" z Ewą, o rodzinie, dzieciach, miał dwójkę, syna i córkę, o chorobie żony. Skończył zaocznie budownictwo na politechnice, pracował jako budowlaniec. Zamiłowanie do motoryzacji mu nie minęło, miał samochód i motocykl.

Spotkaliśmy się raz jeszcze. Przyjechał z synkiem Kolą swoją ładą, przywiózł podarunki dla Ewy i dzieci. Razem zwiedzaliśmy Moskwę. W okolicach placu Czerwonego poszliśmy do jakiejś knajpy – piwnicy na piwo. Pamiętam, że aby tam się dostać, trzeba było odczekać

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl a838ec7ecc

w olbrzymiej kolejce. No a kiedy zajęliśmy już miejsce przy długim, drewnianym stole (piwo nalewało się z ogromnych dzbanów, a zagryzało słoniną), całe towarzystwo dyskutowało o Rosji, Polsce, Gorbaczowie, Jaruzelskim, pierestrojce. Żegnając się, obiecywaliśmy sobie odwiedziny. Rodzinami. On z żoną miał pierwszy przyjechać do Polski i zobaczyć wreszcie Ewę.

•

Rok 1992. To już inna Polska. Ewa pracuje w wydziale promocji Mazowieckiego Urzędu Wojewódzkiego, jest odpowiedzialna za organizację targów w Pietrozawodsku, w rosyjskiej Karelii. Samochody załadowane meblami, żywnością, obuwiem i wszystkim, co się dało, ruszyły do Rosji. A tam działo się coraz gorzej, kurs rubla spadał, w oczy zaczęła zaglądać bieda. Rosjanie masowo przyjeżdżali handlować na Stadion Dziesięciolecia w Warszawie, można ich było spotkać na rynkach wielu miast. Ewa z Ryszardem uznali, że skoro w Polsce żyje się już lepiej, nadszedł czas, by okazać solidarność z potrzebującymi, przekazać dalej dobro, którego nasi doznali wcześniej, w latach stanu wojennego, od Niemców, Francuzów, Holendrów. Obcy ludzie przysyłali wtedy paczki na prywatne adresy. Oni też dostali pomoc z Tybingi, uniwersyteckiego miasta w Niemczech zachodnich, gdzie Rysiu w studenckich czasach dorabiał sobie podczas wakacji. Teraz kolej na nich. Od razu pomyśleli o Saszy.

Ewa dorzuciła do transportu olbrzymi karton z żywnością, słodyczami, środkami higienicznymi, ubraniami. Pamięta, że włożyła do paczki komplet majtek *made in China*, z napisami na każdy dzień tygodnia (ówczesny szlagier), które powinny ucieszyć żonę Saszy. Paczkę chciała nadać w Pietrozawodsku, żeby uniknąć kontroli na granicy. Na poczcie spotkała się z niechętnym, opryskliwym, wręcz wrogim przyjęciem. Pracownice odburknęły, że paczki nie przyjmą, bo jest źle zapakowana, musi być obszyta materiałem i starannie zaszyta. Skąd wziąć w obcym mieście płótno, skoro półki w sklepach puste? Z pomocą przyszła pracownica hotelu, tzw. *etażnaja*. Poradziła, by ściągnąć z hotelowej poduszki powłoczkę, wsadzić w nią paczkę i zaszyć krzyżykami. Zajęła się tym, a było warto, bo zapłata za dobre serce wyniosła połowę jej miesięcznej pensji. Dar z Polski został wyekspediowany do Kaługi.

•

Ewa wróciła do Ciechanowa. Nie, żeby czekała na podziękowania, ale była ciekawa, czy paczka doszła, bo po przejściach na poczcie wszystkiego mogła się spodziewać. Kaługa milczała. W końcu Ewa uznała, że chyba przesyłkę ukradli. Trudno – pomyślała – skoro w Rosji taka bieda, to niech tam sobie obca baba nosi majtki przeznaczone dla żony Saszy, a nieznane dziecko zje czekoladę, która miała być dla jego dzieci.

Po jakimś czasie z Kaługi nadeszły dwa listy. Od żony Saszy i jego matki. Donosiły, że Sasza nie żyje. Zginął w wypadku samochodowym, kiedy wracał z pracy. Dziękują za dary, ale nie miały siły zrobić tego wcześniej.

Grażyna Nowicka

eprasa.pl a838ec7ecc

Konrad Szelest

KRWAWA ŁAŹNIA NA WYSPIE ŚMIERCI

Guadalcanal – punkt zwrotny w wojnie Amerykanów z Japonią

„Szliśmy przed siebie, wyrąbując maczetami otaczające nas drzewa. Jeden z żołnierzy cały czas powtarzał pod nosem: gdzie te cholerne Żółtki… Kolejne godziny marszu przez dżunglę wbijały się w psychikę niczym stalowe gwoździe". Takimi słowami opisywał marsz przez Guadalcanal jeden z żołnierzy amerykańskiej 132. Dywizji Piechoty walczącej na wyspie.

Pasmo zwycięstw armii japońskiej w rejonie Pacyfiku sprawiło, że coraz bardziej realnym zagrożeniem stawała się inwazja na Australię i Nową Zelandię. Amerykanie z niepokojem spoglądali w kierunku Wysp Salomona, w okolicy których przebiegały szlaki transportowe wiodące na antypody. 3 maja 1942 r. siły japońskie zajęły wyspy Guadalcanal i Tulagi, stanowiące część archipelagu. Kontrola nad tymi terenami pozwalała na stworzenie dogodnych baz wypadowych dla lotnictwa i marynarki wojennej.

SEPPUKU DOWÓDCY

Początkowo amerykańskie dowództwo zamierzało 1 sierpnia 1942 r. przeprowadzić desant na wyspie Tulagi. Plany jednak zmieniono, kiedy 4 lipca załoga samolotu B-17 dostrzegła powstający na Guadalcanal pas startowy. Wczesnym rankiem 7 sierpnia 1942 r. 19 tys. żołnierzy US Marine Corps wylądowało na plażach Guadalcanal. Desant był wspierany z powietrza przez potężne myśliwce.

Atak zaskoczył Japończyków. Ponad 11 tys. marines błyskawicznie ruszyło do natarcia w kierunku pasa startowego na Guadalcanal. Siły japońskie zmuszone były wycofać się w głąb wyspy, oddając 8 sierpnia lotnisko w ręce Amerykanów. Zabezpieczone pasy startowe marines nazwali Henderson Field, na cześć poległego w bitwie o Midway pilota mjr. Loftona Hendersona.

Guadalcanal dla amerykańskich żołnierzy miał się stać półrocznym pobytem w piekle. Każdego dnia w samo południe japońskie myśliwce i bombowce atakowały pasy startowe na wyspie. W nocy amerykańscy żołnierze wypatrywali japońskiego kontrataku. Dźwięki wydawane przez dzikie zwierzęta lub łamiące się gałęzie brali za oznaki zbliżania się wroga i strzelali na oślep w kierunku mrocznej dżungli. 20 sierpnia na Henderson Field dotarło 15 myśliwców Wildcat oraz 12 bombowców Douglas Dauntless. Maszyny te miały stanowić tamtejszą główną siłę powietrzną – Cactus Air Force. Pod kryptonimem Cactus kryła się Guadalcanal.

Nocą 18 sierpnia na pokładach japońskich niszczycieli dotarł na Guadalcanal 28. Pułk Piechoty. Desant nastąpił w odległości ok. 30 km od lotniska. Amerykańskie patrole zwiadowcze błyskawicznie przekazały tę informację do sztabu dowódcy gen. Alexandra Vandegrifta. Żołnierze piechoty morskiej przygotowali zasadzkę. Gdy w nocy z 20 na 21 sierpnia płk Kiyono Ichiki wydał rozkaz ataku w kierunku pozycji Amerykanów, marines już czekali na niewielkim wzniesieniu. Atakujący zostali zdziesiątkowani. Z tysiąca nacierających uszło z życiem niespełna 200 Japończyków. Amerykanie stracili tylko 25 żołnierzy. Dowódca, płk Ichiki, przeżył atak, jednak nie mogąc się pogodzić z porażką, popełnił seppuku. W odpowiedzi na klęskę japońskie dowództwo posłało do boju kolejne jednostki. Zmierzające w kierunku Wysp Salomona statki natknęły się jednak na jednostki US Navy. Japończycy stracili lotniskowiec „Ryūjō", z kolei amerykański lotniskowiec USS „Enterprise" został uszkodzony.

Od tego momentu japońskie okręty tylko pod osłoną nocy mogły operować w pobliżu wyspy. W dzień ryzyko ataku ze strony Cactus Air Force było zbyt duże. Amerykanie również unikali dziennego zaopatrywania swoich jednostek. Niebo nad Guadalcanal było przestrzenią zaciekłych walk powietrznych.

WALKA Z WROGIEM I NATURĄ

W gęstej dżungli tysiące amerykańskich żołnierzy dzień w dzień toczyło walkę z małymi zgrupowaniami Japończyków oraz nieprzyjazną naturą. W wysokich temperaturach i przy ogromnej wilgotności powietrza w zawrotnym tempie rozwijały się tropikalne choroby. Osłabieni żołnierze nie byli w stanie walczyć. Wielu

Jeńcy japońscy na Guadalcanal, 5 listopada 1942 r.

eprasa.pl a838ec7ecc

Desant amerykańskich marines w sierpniu 1942 r.

umierało w cierpieniach, nie doczekawszy pomocy medycznej.

Brak postępów w działaniach na Guadalcanal zmusił japońskie dowództwo do zwiększenia liczby walczących oddziałów. W końcówce sierpnia na wyspie wylądowało prawie 6 tys. żołnierzy, którymi dowodził gen. Kiyotaki Kawaguchi. Ich celem było zdobycie Henderson Field. Kawaguchi nie wyciągnął jednak wniosków z porażki poprzednika. Podobnie jak Ichiki ruszył do ataku bez rozpoznania. Amerykanie powstrzymali natarcie, niszcząc sprzęt, łączność radiową, a także zdobywając mapy i dokumenty. Kawaguchi nie dał za wygraną i poprowadził kolejny atak. I tym razem Amerykanie się obronili, ale kosztowało to życie niemal 2 tys. żołnierzy. „Kule snajperów, miny pułapki czy szaleńcze ataki Japończyków. Wszystko to sprawiało, że moi chłopcy padali niczym muchy, jeden po drugim", pisał ppłk Herman Hanneken. Po stronie japońskiej walki o tzw. krwawą grań pochłonęły 3 tys. ofiar.

Porażka oddziałów Kawaguchiego wywołała wściekłość w Tokio. Na Guadalcanal ruszały kolejne japońskie jednostki. Japończycy zgromadzili potężne, 36-tysięczne zgrupowanie, którym dowodził gen. Harukichi Hyakutake. W odpowiedzi w połowie września i na początku października Amerykańskie wysłali na wyspę 7. Pułk oraz 23. Dywizję US Marine Corps. W trakcie desantu 23. dywizji amerykańskie okręty starły się z japońskimi. Potyczka koło przylądka Esperance kosztowała marynarkę wojenną Japonii ciężki krążownik oraz niszczyciel. US Navy musiała się pogodzić z poważnym uszkodzeniem jednego krążownika. Amerykański desant odbył się jednak bez większych problemów. Japończycy, nie mogąc przełknąć kolejnej przegranej, skierowali w rejon cieśniny Ironbottom duże zgrupowanie pancerników, którym udało się zniszczyć prawie połowę amerykańskich samolotów stacjonujących na Henderson Field. Poważnie uszkodzony został również pas startowy. Amerykanie jednak natychmiast rozpoczęli budowę pasa awaryjnego, a na wyspę dotarły nowe myśliwce.

STARCIE NA WYNISZCZENIE

Ulewy, które zwiastowały nadejście pory deszczowej, utrudniały działania w dżungli. Japończycy próbowali wykorzystać ten fakt, atakując raz za razem amerykańskie pozycje na południe od Henderson Field. Pomimo skrajnego wyczerpania żołnierze piechoty morskiej twardo bronili zajmowanego terenu. Podobnie wyglądała sytuacja na wodach wokół Guadalcanal. Wymiana ciosów, początkowo niekorzystna dla US Navy, wraz z końcem 1942 r. zaczęła przynosić sukcesy. Amerykanom udało się zatopić m.in. siedem japońskich transportowców, na których znajdowało się ok. 6 tys. żołnierzy. W wyniku dwóch starć morskich w październiku i listopadzie 1942 r. Amerykanie utracili m.in. lotniskowiec USS „Hornet" oraz krążowniki „Atlanta" i „Juneau". Straty po stronie japońskiej to pancerniki „Hiei" i „Kirishima" oraz krążownik „Kinugasa". Poważnie uszkodzony został lotniskowiec „Shōkaku".

W grudniu 1942 r. walcząca nieprzerwanie od sierpnia 1. Dywizja US Marine Corps została zluzowana przez 2. Dywizję, Dywizję Americal oraz 25. Dywizję Piechoty. Wsparły one 132. Dywizję Piechoty w ataku na zboczach wzniesienia Austen. Znajdujący się w dramatycznym położeniu Japończycy nie mogli przeciwstawić się ofensywie. Decyzją naczelnego dowództwa na przełomie stycznia i lutego 1943 r. prawie 13 tys. żołnierzy gen. Hyakutakego otrzymało rozkaz odwrotu w kierunku przylądka Esperance, skąd zostali ewakuowani.

Zwycięstwo na Guadalcanal pozwoliło Amerykanom rozpocząć triumfalny marsz w kierunku Wysp Japońskich. Mit niezwyciężonej cesarskiej armii runął jak domek z kart, przekreślając plany ataku na Australię i Nową Zelandię. Wyspa Guadalcanal stała się jedną z najważniejszych baz amerykańskiej marynarki i lotnictwa na Pacyfiku, odgrywając strategiczną rolę do końca II wojny światowej.

TRAGICZNY BILANS

W ciągu siedmiu miesięcy walk o Guadalcanal poległo ok. 7,1 tys. amerykańskich żołnierzy. US Navy straciła dwa lotniskowce, osiem krążowników oraz 14 niszczycieli. Zestrzelono 615 samolotów. Japończycy stracili 31 tys. zabitych żołnierzy, zatopiony lotniskowiec, cztery krążowniki, 12 niszczycieli, sześć okrętów podwodnych oraz ok. 750 samolotów. Niemal połowa ofiar po stronie japońskiej zmarła na skutek głodu i epidemii, które od początku zmagań na Guadalcanal towarzyszyły walczącym po obu stronach. Największa wyspa archipelagu zyskała miano Wyspy Śmierci.

Batalia o Guadalcanal stanowiła potwierdzenie skuteczności morsko-desantowych operacji wojennych, które zmieniły bieg największego konfliktu w dziejach świata. Za kilkanaście miesięcy miało nastąpić lądowanie w Normandii. ■

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl a838ec7ecc

Chcesz wejść do miasta? Zapłać!

Żeby wjechać do centrum Polignano a Mare w okresie świątecznym, trzeba zapłacić 5 euro. Wielu Włochów jest oburzonych

Paweł Drąg
Korespondencja z Apulii

Każda okazja jest dobra, aby wspomóc lokalny budżet. Z takiego założenia wyszedł Domenico Vitto, burmistrz Polignano a Mare, włoskiego miasteczka na wybrzeżu Adriatyku. Z jego inicjatywy, w porozumieniu z komendą główną policji w Bari, stolicy prowincji, w bramach wjazdowych do centrum zamontowano liczniki, aby regulować i monitorować dostęp do zabytkowej części miasta. – Na starym mieście nie może zatrzymać się jednocześnie więcej niż 2,5-2,7 tys. osób, ponieważ trzeba zapewnić funkcjonowanie wszystkich dróg ewakuacji. W przeciwnym razie wystarczy petarda, by stało się coś równie tragicznego jak półtora roku temu w Turynie – wyjaśniał burmistrz, nawiązując do tragedii wywołanej odpaleniem petardy w tłumie kibiców. Panika doprowadziła wówczas do ciężkich obrażeń ok. 1,5 tys. osób.

NIE MOŻNA ZARABIAĆ NA WSZYSTKIM

Kontrowersyjna decyzja w sprawie opłat zapadła przy okazji przekształcenia Polignano a Mare w tymczasową wioskę bożonarodzeniową z okazałymi iluminacjami, z najwyższą w całej Apulii, 18-metrową choinką, otwartym lodowiskiem, a także świątecznym jarmarkiem. Za wstęp do miasta trzeba zapłacić 5 euro. Do 7 grudnia – jedynie w sobotę i w niedzielę, a do 6 stycznia już codziennie, w godz. 15-22. – Polignano a Mare żyje intensywnie latem, ale w miesiącach zimowych, mimo atrakcyjności miasta, życie tu bardzo zwalnia. Akcja „Wspaniałe Boże Narodzenie" to okazja do ponownego pobudzenia ruchu turystycznego – tłumaczył Domenico Vitto.

Idea od początku spotkała się z krytyką okolicznych mieszkańców, a także turystów. Grupy protestujących na forach internetowych postanowiły zbojkotować całe przedsięwzięcie. – Polignano a Mare nie jest Wenecją, a przede wszystkim miasta są bezpłatne i nie można w żaden sposób ich sprzedawać – grzmiał Dino Borri, słynny urbanista i profesor inżynierii na politechnice w Bari. – Ustanowienie opłaty za wejście do

FOT. PAWEŁ DRĄG

eprasa.pl a838ec7ecc

historycznej części miasta jest poważnym błędem. Najpierw próbujemy zachęcić do odwiedzenia naszej perły, a następnie zapraszamy, ale z gotówką. Coś jest nie tak. Ludzie nie są naiwni. Nie możesz zarabiać na wszystkim – wtórował mu Cesare Veronico, lokalny polityk.

Głosy krytyki wywołała również mało sprawna organizacja poboru opłat. Wiele osób narzeka na kolejki i wydłużony czas samego zakupu karty wstępu. Niezadowoleni są sklepikarze, którzy przewidują mniejszą liczbę turystów. „Nawet o tym nie rozmawiajmy. My, którzy jedziemy do Polignano, przynosimy pieniądze lokalnym kupcom. Restauracje, bary i inne przedsięwzięcia komercyjne żyją głównie z turystyki. Myślę więc, że ten sektor powinien płacić podatek. W miasteczku Salerno nie płacisz, żeby zobaczyć iluminacje", pisał na lokalnym forum internetowym oburzony turysta. „Artykuł 16 włoskiej konstytucji mówi, że każdy obywatel może się poruszać swobodnie w jakiejkolwiek części terytorium kraju, z wyjątkiem ograniczeń wynikających z przepisów prawa ogólnego i ze względu na zagrożenie zdrowia lub bezpieczeństwa", dodawał kolejny.

Niezadowoleni są sklepikarze, którzy przewidują mniejszą liczbę turystów.

POWRÓT DO ŚREDNIOWIECZA?

W cenie 5 euro nie zawiera się wyłącznie opłata za wejście do miasta. Każdy nabywca dostaje także napój, popcorn, pączka i watę cukrową lub pieczone kasztany. Ten zabieg nie odniósł jednak oczekiwanych skutków. Domenico Vitto nieustannie musi się bronić przed oskarżeniami o komercjalizację przestrzeni miejskiej. – Niektórzy mówią o powrocie do średniowiecza, inni krytykują nawet wykorzystanie postaci Mikołaja, co niby czyni nas parkiem rozrywki. Intencją „Wspaniałego Bożego Narodzenia" jest przyprowadzanie ludzi tam, gdzie w ostatnich latach nie było nikogo. Aby choć odwiedzili pizzerię, która w piątki ma zapełnionych 200 miejsc, a przez miniony rok była ciągle zamknięta. Na początku naszą kartę kupiło prawie tysiąc osób i wspólnie z nimi już dzielimy magię Bożego Narodzenia. Zapraszam do czerpania z wydarzenia tego, czym realnie jest, a chodzi o możliwość bycia razem i cieszenia się z rozwoju naszego miasta nawet zimą – tłumaczył zawile Vitto.

W cenie zawiera się wejście do miasta, napój, popcorn, pączek, wata cukrowa lub pieczone kasztany.

To niejedyne problemy burmistrza. Włoski Fundusz Ochrony Środowiska podniósł alarm, że spodziewane ulewne deszcze mogą uszkodzić instalacje świetlne, co zagrozi odwiedzającym. Ponadto ruch konsumencki zainterweniował w sprawie samej karty. – Uważamy, że odpowiednie informacje na temat prawidłowego sposobu korzystania z GCard są niezbędne, aby konsument mógł podjąć świadomą decyzję. GCard to nie tylko zwykły bilet wstępu, ale także bezgotówkowy instrument płatniczy podlegający odpowiednim regulacjom – wyjaśniał Bruno Maizzi z Włoskiej Partii Socjalistycznej.

Mimo wielu wątpliwości burmistrz Polignano a Mare już odnotował pierwsze wymierne sukcesy. Według jego relacji w pierwszy weekend po wprowadzeniu opłat miasteczko odwiedziło prawie 30 tys. osób. Zwycięstwo lokalnego budżetu może jednak okazać się wizerunkową porażką całych Włoch – kiedy inni włodarze miast spróbują wziąć przykład z działań burmistrza. Już teraz rozważa to pobliskie Alberobello.

W ODWIDZINACH U DOMENICA MODUGNA

Polignano a Mare znajduje się 30 km od Bari. Wystarczy ledwie 2,5 euro i kilkanaście minut jazdy pociągiem, aby tam dotrzeć. Samo miasteczko najprawdopodobniej leży w miejscu starożytnego greckiego miasta Neapolis. Najpiękniejszym i najpopularniejszym miejscem jest plaża Cala San Giovanni, wciśnięta w ściany wąwozu kończącego się na brzegu Adriatyku. Na jej wschodniej części wznoszą się miejskie zabudowania, jakby zrośnięte w jeden organizm kamiennych rzeźb. Sąsiedni most Lama Monachile ma niemal 2 tys. lat. Został wybudowany za czasów rzymskiego cesarza Trajana. Niedaleko znajduje się obowiązkowy punkt każdej zbiorowej wycieczki – pomnik najsłynniejszego obywatela Polignano, Domenica Modugna, autora hitu „Volare". Sama starówka to czar dawnej Italii, z małymi sklepikami, obrazami świętych na każdym rogu, tajemniczymi zaułkami i plątaniną uliczek, wśród których wiele prowadzi do tarasów widokowych. Najbardziej znany kieruje do restauracji Grotta Palazzese, mieszczącej się właśnie w grocie, tuż nad falami rozbijającymi się o skały. Sercem miasta jest natomiast Piazza Aldo Moro – towarzyskie centrum spotkań mieszkańców. To tu poza sezonem można obcować z prawdziwymi, niekomercyjnymi Włochami. Tymi, którzy nie oczekują zapłaty za wjazd do miasta.

■

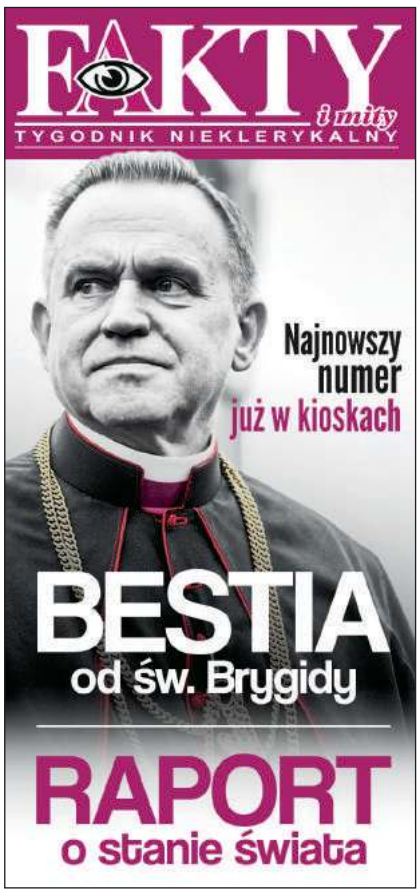

eprasa.pl a838ec7ecc

POLSKIE WYSPY

Przez cały rok rodzice usilnie starali się być najlepszymi Niemcami w Niemczech, ale nie uznawali tej zasady podczas Bożego Narodzenia

Emilia Smechowski

Nasza rodzina co niedziela zakładała marynareczki i wkraczała w chłodne mury. Przeciskaliśmy się przez tłum, mówiąc cicho „przepraszam". Był jeszcze rok 1990, od dwóch lat prawie nie mówiliśmy po polsku, nasze języki już nieco zdrętwiały, kiedy wymawiały słowo „dziękuję", a jednak w tym miejscu nadal pozwalaliśmy sobie na używanie polskiego: w polskiej parafii Berlin-Tempelhof. Wciskaliśmy się do ławki. To siedzenie w ścisku miało nas później przywieść do zguby.

W niemieckim kościele też już byliśmy, krótko po przyjeździe. Rzuciło mi się w oczy, że Niemcy mieli duże tablice informujące, która pieśń ze śpiewnika będzie następna – nadzwyczaj praktyczny wynalazek, pozwalający przekartkować sobie śpiewnik, znaleźć odpowiedni ustęp i śledzić tekst.

W polskim kościele czuliśmy się początkowo pewniej, bądź co bądź coś rozumieliśmy. Był to ostatni bastion naszej dawnej tożsamości i chociaż rodzice odnosili się wobec Kościoła raczej krytycznie, nie potrafili całkowicie z nim zerwać. Co więcej, wydawało się, że ich związek z polskim Kościołem w Niemczech stanie się silniejszy. Język, ubrania, jedzenie, telewizja – na naszej niemieckiej liście kontrolnej w ciągu dwóch lat sporo spraw udało się odhaczyć. Choć brakowało tam punktu odnoszącego się do tego, co robiliśmy w niedziele o godzinie 10. Większość Niemców tego dnia do późna raczyło się obfitym śniadaniem, z jajecznicą i odgrzewanymi bułeczkami, a więc w ogóle nie docierało do nich, że my w tym czasie, jak należy, wdychaliśmy kadzidło.

W polskim kościele dawał się odczuć nadmiar wszystkiego. Jakby w oddaleniu od ojczyzny nie mogło się obyć bez przesadnej dawki kadzidła, głośno śpiewających babć, pewnej specyficznej teatralności. Organy, w swoim impecie także nieco niesamowite, były przyczyną, dla której chciałam tam wracać. Ten największy ze wszystkich instrumentów, przypominający wiernym o ich małości, dawał mi poczucie siły. Msza upływała mi na wyczekiwaniu końca, momentu, gdy organista po prostu grał. Nieliczni, którzy podczas tych końcowych akordów nadal siedzieli w ławkach, obracali się i patrzyli ku górze, czego nigdy nie rozumiałam, przecież muzyki nie da się oglądać! Ja siedziałam, najczęściej z zamkniętymi oczami, w swojej ławce, potężny dźwięk przepływał przez moje ciało i nie mogłam sobie wyobrazić, że w przyszłości coś zdoła poruszyć mnie bardziej. Rok później, kiedy miałam osiem lat, wzięłam pierwszą lekcję gry na pianinie, ale dopiero lata później wreszcie zasiadłam bezpośrednio przed organami.

Emilia Smechowski wyemigrowała z rodzicami do Niemiec w 1988 r.

Pierwsza komunia, bierzmowanie, ślub, cotygodniowa spowiedź – polskie życie organizowane jest przez Kościół. I nawet jeśli się chce, nie sposób przed tym uciec. W Polsce kapłani często udzielają wywiadów i wypowiadają się na tematy polityczne w głównym wydaniu telewizyjnych wiadomości. Zarówno wtedy, jak i dzisiaj.

Niemcy zapełniali swoje kościoły tylko w święta Bożego Narodzenia, w ich mieszkaniach nie wisiały też zdjęcia Karola Wojtyły. W Polsce polski papież należał do podstawowego inwentarza każdego gospodarstwa domowego, jak lodówka i suszarka do włosów. Najczęściej zdjęcie wisiało w sypialni, czasami w gabinecie, niemal zawsze w kuchni, Polacy uchodzili w końcu za gościnnych. U nas w Wejherowie i u mojej babci w Gdańsku nie było jednak papieża na ścianie, mój ojciec nie uznawał tego kultu jednostki. Różnice między niemieckim i polskim katolicyzmem ujawniały się także w samym kościele. Co na polskiej mszy przebiega inaczej:

Wierni są zasadniczo głośniejsi od księdza, czy to podczas modlitwy, czy śpiewu.

Kapłan z kolei nie jest człowiekiem skłonnym do upiększania, przynajmniej raz w trakcie kazania musi pojawić się słowo „piekło".

Kościół to miejsce na imprezy rekreacyjne. Kobiety noszą kapelusz (na zewnątrz!), a przynajmniej buty pasujące do kostiumu, mężczyźni: marynarkę, zawsze.

W trakcie zbierania ofiary słychać brzęk monet (jest on celowy i wcale nie oznacza, że Polacy są bardziej hojni).

Podczas zbierania ofiary ministrant czujnie sunie wzdłuż ławek. Bóg widzi wszystko. Jego pomocnicy na ziemi widzą więcej.

W głębi duszy cieszyliśmy się, że tylko nieco zniemczyliśmy nasze polskie nazwisko.

Do komunii przystępują wszyscy. W końcu wcześniej można się wyspowiadać.

Niedzielna msza zawsze, naprawdę zawsze, wywoływała u mnie głód i zmęczenie, specyficzną formę wycieńczenia, której poza tym nie znałam. Ale także później, po mojej pierwszej komunii, gdy mogłam skupić się na powolnym przeżuwaniu

eprasa.pl a838ec7ecc

1987 r. Polonia niemiecka wita papieża.

smutnego opłatka, niewiele to zmieniło. Przyklejał mi się do podniebienia i sprawiał, że czułam w ustach kwaśny posmak. Za każdym razem zbyt wiele sobie po nim obiecywałam.

Choć w polskiej parafii słuchanie języka polskiego sprawiało mi przyjemność – *„Erbarme dich unser"* brzmi pięknie, „Zmiłuj się nad nami" brzmi piękniej – wszystko inne mnie nudziło. Ta choreografia, składająca się ze stania, siedzenia, klęczenia. Wyznanie wiary, wstawiennictwa, zbieranie ofiary, „Ojcze nasz". Wpatrywałam się w plecy i potylice osób zajmujących ławki przede mną. Widziałam, że polscy mężczyźni także w Niemczech ponadprzeciętnie często nosili złoty łańcuch i krótko podgolone włosy, chociaż niektórzy z nich mieli głowy przypominające gruszki. Zatapiałam się w widoku szarych murów i liczyłam szkiełka w kolorowych witrażach okiennych.

Ratunkiem uwalniającym od nudy – i jednocześnie naszą zgubą – najczęściej był ksiądz. W gruncie rzeczy śpiewał zbyt głośno i fałszował, jakby wypił za dużo wina mszalnego, i kiedy starał się wyciągać wysokie tony, nas często dopadało rozbawienie: siostra i ja demonstracyjnie patrzyłyśmy w przeciwnym kierunku. Czasami chrząkałam, czasami zdradziecko trącałam ją w ramię. Ksiądz podnosił się do kazania i wydawał z siebie wyjący, monotonny zaśpiew, jak stara kobieta lamentująca z powodu podagry. Słyszałam, jak siostra ostrożnie wypuszcza powietrze. Podczas gdy na zewnątrz przed kościołem siedzieli polscy bezdomni, których alkoholizm było widać i czuć, wewnątrz ksiądz prawił kazanie o abstynencji – a sam sprawiał wrażenie podpitego.

– Nie pozwólcie uwieść się alkoholowi, on tylko udaje waszego przyjaciela!

Znów chrząknięcie, tym razem mojej siostry.

– Kochajcie Jezusa i ufajcie mu!

Zabulgotałam krótko, zdołałam się jednak opanować.

– Abstynencja daje wolność!

Nie mogłam już dłużej wytrzymać, musiałam to z siebie wyrzucić, więc nachyliłam się do mojej siostry.

– No tak, on musi coś o tym wiedzieć – powiedziałam. (…)

•

Nikt z nas nie mówił tego głośno, ale w głębi duszy cieszyliśmy się z tego, że tylko nieco zniemczyliśmy nasze polskie nazwisko – i nie nazywaliśmy się teraz na przykład Meier lub Müller.

Do pierwszej komunii przystąpiłam w 1993 r. W niemieckim kościele, z czysto pragmatycznych względów. Rodzice uważali, że bardziej sensownie na cotygodniowe zajęcia przygotowujące do komunii będzie chodzić pieszo do przydzielonej nam niemieckiej parafii, niż dojeżdżać metrem z północnego Berlina do południowego.

W polskim kościele dawał się odczuć nadmiar wszystkiego.

Tygodniami towarzyszyło mi to dziewczęce marzenie. Miałam kroczyć w białej sukni (z bufiastymi rękawami!) do ołtarza, z zakręconymi włosami i z wianuszkiem kwiatów na głowie. Moja mama zorganizowała białe rękawiczki, które sięgały mi do łokci i wydawały się nieco przesadne, ale ona widziała je w tych starych angielskich filmach, a więc nie było dyskusji.

W sobotę poprzedzającą uroczystość obudziłam się z czerwonym policzkiem, który wraz z upływem dnia stawał się coraz bardziej czerwony. Dostałam wysokiej gorączki. Mój

FOT. IMAGO/EAST NEWS, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl a838ec7ecc

ojciec zawiózł mnie do szpitala, diagnoza: róża twarzy. Półpasiec, który objawia się na twarzy, zwykle u kobiet od trzydziestki, mnie przytrafił się w wieku 10 lat. Musiałam brać antybiotyki i chciałam tylko zaszyć się w łóżku, bo w międzyczasie mój prawy policzek upodobnił się do surowego steku. Wszyscy wytykaliby mnie palcami i szeptali: „Jak ona wygląda?". (…)

Ponieważ moja pierwsza komunia odbyła się w niemieckim kościele, nie miało już sensu chodzenie do polskiego. Niemiecka msza, nowoczesna i zabawna, o wiele bardziej odpowiadała wymaganiom rodziców, którzy nie byli już nastawieni na polskość ani arcykatoliccy. Na niemieckiej mszy też się nudziłyśmy. Nie było kapłana pod wpływem alkoholu ani mowy o piekle, a tym samym skończyły się też nasze napady śmiechu. Pozostała już tylko jedna jedyna wyspa polskości w naszym życiu w Niemczech: święta Bożego Narodzenia.

•

O ile przez cały rok moi rodzice usilnie starali się być najlepszymi Niemcami w Niemczech, o tyle nie uznawali tej zasady podczas Bożego Narodzenia. Mieliśmy prawdziwą polską Wigilię, bez sałatki ziemniaczanej i bez parówek, w tej kwestii żadne zmiany nie wchodziły w rachubę. Nie żebym próbowała. Uwielbiałam nasz wieczór wigilijny. Kiedy później przekonałam się, jak organizują go Niemcy, byłam głęboko rozczarowana. Wigilia oznaczała u nich w gruncie rzeczy zjeść jak najszybciej i potem rozpakowywać prezenty. Żadnego napięcia. Żadnego uroku. Żadnej tradycji. Chyba że za tradycję uznamy kupowanie każdego roku wiedeńskich kiełbasek u tego samego rzeźnika.

– Co za brak kultury! – krzyknęła moja matka, gdy ktoś w domu uchodźców opowiedział jej o berlińskim Bożym Narodzeniu. I po naszych pierwszych świętach w Niemczech, które spędziliśmy ze łzami w oczach u cioci, moja mama w następnych latach wolała sama organizować wieczór wigilijny – chyba że spędzaliśmy go w Polsce, u dziadków.

Już kilka tygodni wcześniej, w okolicach pierwszego dnia adwentu, wpadała w stan najwyższego napięcia. Zostawialiśmy to na jej głowie. Przyniesienie opłatków z kościoła, zorganizowanie ozdób choinkowych, zakup, ustawienie i ozdobienie choinki. Sprzątanie. Pieczenie. Pierniczki, ciastka anyżkowe, makowiec. Przygotowanie pierogów z kapustą, kupienie karpia – jednak już martwego, tylko w Polsce mógł on jeszcze przez kilka godzin żwawo pływać w wannie. Nastawienie barszczu, pieczenie karpia, gotowanie pierogów z kapustą.

Nawet 24 grudnia stała jeszcze godzinami z wałkami do włosów i w fartuchu w kuchni. Stamtąd dyrygowała moją siostrą i mną.

– Osiem dużych, osiem małych i osiem głębokich talerzy!

– I sztućce, te ładne!

– Pod spód podkładki, nie te, kupiłam w Karstadzie nowe, ciemnoczerwone!

– Ale tak nie możecie składać serwetek!

– Mila, chodź tutaj! Zanieś to, proszę, do pokoju dziennego – ostrożnie!

Ja i moja siostra niecierpliwie wyglądałyśmy przez okno. Gdzie też ona się podziała, ta pierwsza gwiazdka? Zgodnie z tradycją mogliśmy zasiąść do wigilii dopiero wtedy, gdy pojawiała się na niebie.

Potem wreszcie się zaczynało. Przychodziła ciocia z wujkiem i tak staliśmy wszyscy przy nakrytym stole, siostra i ja w naszych nowych, czerwonych sukienkach, z zaplecionymi warkoczami, „francuskimi", jak niezmordowanie przypominała mama. W tamtym roku, 1994, urodziła się moja najmłodsza siostra, teraz raczkowała między naszymi nogami, podczas gdy my dzieliliśmy się opłatkiem. Wzięłam kawałek z talerzyka i podeszłam do mamy, ona odłamała kawałeczek z mojego opłatka, a ja z jej. Życzyłyśmy sobie „wszystkiego dobrego", objęłyśmy się krótko i przeszłyśmy do następnych. W tamtym czasie jeszcze obejmowałam mojego ojca.

Zasiedliśmy przy stole. Tradycyjnie jedno miejsce pozostało puste. Ten polski symbol gościnności ma oznaczać: każdy obcy jest mile widziany. Zaczęliśmy jeść. Przez te wszystkie lata żaden obcy u nas nie gościł. (…)

•

Prezenty, muszę przyznać, zmieniały nas jako rodzinę, z roku na rok. Obfitość, radość z prezentów powszedniały. I tak wszystko to, co ukryte pod papierem i wstążką, z czasem stało się głównie wyznacznikiem rodzicielskiej miłości. Ile masz ty, ile mam ja i o wiele ważniejsze: dla kogo jest ta wielka paczka tam z tyłu, w kącie? Po tym, jak prezentów robiło się coraz więcej, z upływem lat traciły znaczenie. Z jednej strony wynikało to z naszego wieku, ale z drugiej – było konsekwencją faktu, że teraz mieliśmy już wszystkiego po trzykroć.

Rok 1994 okazał się jednak bardzo urodzajny: różowy, pluszowy słoń, który kiedy wsadziło się do niego baterie, nagle mruczał, człapiąc po podłodze. Trzy pary wełnianych rajstop z różnymi wzorami. Kolorowy piecyk z piekarnikiem z plastiku, z niebieskim garnkiem i niebieską patelnią – płytki palników robiły się czerwone, kiedy przekręcało się pokrętło w prawo. Plastikowa opaska na włosy, która wyglądała jak niebo, niebieska z białymi chmurkami. I magnetofon kasetowy, z którego można było słuchać muzyki, a także nagrywać. Cały w kolorze liliowym, z mikrofonem i sznurem do mikrofonu, który się zwijał i dawało się go całkiem rozprostować. Kiedy zdarłam papier i zobaczyłam zawartość, uniosłam prezent w górę niczym puchar. Moja siostra popatrzyła z zazdrością. Wygrałam!

Niemcy zapełniali kościoły tylko w święta, w ich mieszkaniach nie wisiały też zdjęcia Karola Wojtyły.

Tradycyjnie jedno miejsce przy stole pozostało puste: każdy obcy jest mile widziany. Przez te lata żaden obcy u nas nie gościł.

Fragmenty książki Emilii Smechowski, *My superimigranci*, przekład Bartosz Nowacki, Prószyński i S-ka, Warszawa 2018

eprasa.pl a838ec7ecc

Świat alternatywny

Z reguły jest tak, że organizatorzy jakiegoś ważnego przedsięwzięcia zbierają później tego owoce – są chwaleni, ciepło o nich się pisze i mówi, wybiera do gremiów decyzyjnych.

No to właśnie Polska zaprzeczyła tej regule, po raz kolejny „zagrała" inaczej niż wszyscy. Naprawdę trzeba nie mieć wyobraźni, żeby w Katowicach zorganizować konferencję klimatyczną. I żeby na dodatek odbywała się 4 grudnia.

Nie ma co się dziwić, że światowe relacje z konferencji były mniej więcej takie jak kanału Euronews: „Polska jest czarną owcą Europy, jeśli chodzi o dostosowanie się do porozumienia paryskiego z 2015 r. w sprawie redukcji gazów cieplarnianych. Obecnie węgiel stanowi 80% w krajowej produkcji energii elektrycznej. Eksperci oszacowali, że do 2030 r. udział węgla w miksie energetycznym Polski powinien spaść do 39%, aby osiągnąć cel 2% globalnego ocieplenia ustalony na rok 2100. Jednak polski rząd planuje zmniejszenie udziału węgla w produkcji energii elektrycznej do 60% w 2030 r. Warszawa jest również przeciwna decyzji UE o zwiększeniu celów redukcji emisji CO_2, a także planom dekarbonizacji do roku 2050. Jest to stanowisko odzwierciedlające pozycję potężnego polskiego przemysłu węglowego. Na przedmieściach Katowic, gdzie odbywają się obrady konferencji ONZ, znajduje się największa w Europie kopalnia węgla kamiennego".

Poza tym w światowych stacjach pokazywano zadymiony Śląsk oraz wywiady z ekologami, którzy opowiadali o tym, jak byli blokowani przez rząd.

No i dodawano, że wszyscy co ważniejsi politycy światowi szczyt w Katowicach ominęli.

A rząd? Zajmował się raczej górnikami, którym składał obietnice, że krzywda im się nie stanie, bo kopalnie to polski skarb. A jeżeli już trzeba było coś powiedzieć na konferencji, wtedy padały słowa mniej więcej w stylu premiera Morawieckiego: że Polska jest jednym z liderów w powstrzymywaniu globalnego ocieplenia.

Na zasadzie: my mówimy swoje.

Ten sposób mówienia, prezentowania się przylepił się do władzy na stałe. Premier Morawiecki deklaruje, że obecna Polska jest najbardziej wolnościowym krajem w swojej historii. Jednocześnie wyraża zdziwienie, że Komisja Europejska nie wycofała z TSUE skargi na Polskę i wciąż uruchomiona jest procedura nieprzestrzegania praworządności. Czyli tak jak ekolodzy nie rozumieją sytuacji na Śląsku (i w Białowieży), tak Bruksela nie rozumie sytuacji w polskich sądach.

A w ogóle to Unia nie rozumie samej Unii (w przeciwieństwie do Polski). Mówił to wiceminister Bartosz Cichocki w wywiadzie dla „Euractiv". Że państwa Unii nie radzą sobie gospodarczo, nie mają pomysłu na reformowanie Unii, nie mówiąc o polityce migracyjnej, i w zasadzie powinny słuchać Polski i Węgier. Choć konkretnie jakich rad powinna Europa słuchać – tego nie ujawnił.

Za to ogłosił w jednej z telewizji coś ważniejszego: „W perspektywie kilku lat Polska stanie w jednym szeregu z Wielką Brytanią i Izraelem, a to bezpośrednio pozwoli Stanom Zjednoczonym odbudować Zachód".

Jeżeli tak mówią pisowscy urzędnicy najwyższej rangi: premier, wicepremier, wiceminister itd., to czego możemy się spodziewać po reszcie?

Attaché

Migingo, najgęściej zaludniona wyspa świata, na Jeziorze Wiktorii na granicy Ugandy i Kenii. Ma ćwierć hektara, mały port, kilka barów, a nawet domy publiczne. Mieszkańcy zajmują się głównie rybołówstwem.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl a838ec7ecc

JOLKA

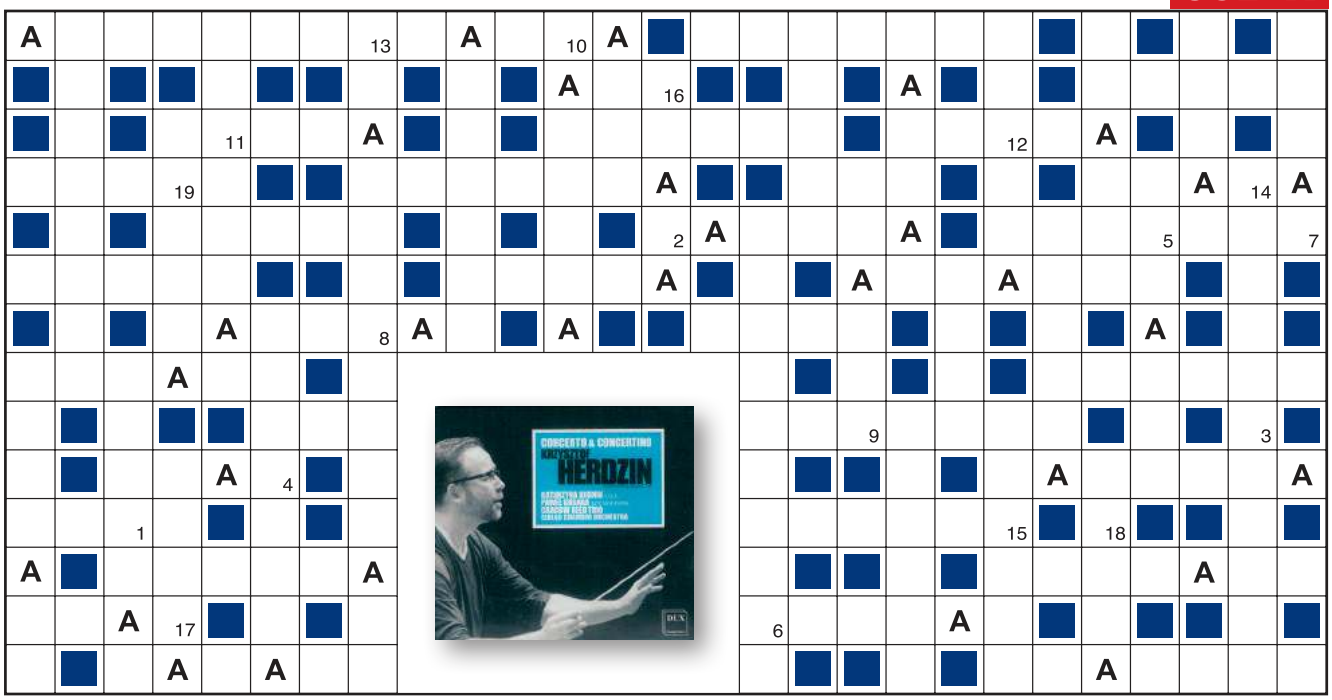

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery A ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- urzędy i organy państwowe, samorządowe
- trochę tańca, trochę gimnastyki
- wytaczany z piwniczki
- trzy bez… – w brydżu
- argument, możliwość, szansa
- walczył z Jokerem
- zwolennicy witają nimi polityka
- są rzeczy proste jak jego konstrukcja
- kolor czerwony z odcieniem brunatnym
- rychło w niego to za późno
- zagraniczne środki płatnicze
- obejście, zagroda
- z morskiej pianki, gdy wystrojony do przesady
- produkt zastępczy, surogat
- głównym… kraju jest Waldemar Izdebski
- lud, najniższy stan
- z zębami do liści
- skorowidz
- elektryczna lub nadziei
- widowisko o narodzinach Jezusa
- Ganimedes dla Jowisza
- ognia lub sportowiec
- prawione, by skarcić
- okien przed świętami
- w gestii anestezjologa
- PKN to produkt krajowy…
- sformułował trzy zasady dynamiki
- o czymś nieudanym
- jego twórczość odkrył Zenon Przesmycki
- harowanie
- za zdrowiem i szczęściem
- gwałtowne uczucie lub podmuch
- jeśli nie orzeł, to ona
- Kwintylian, Demostenes albo Cyceron
- krótki w koszulce, bluzeczce
- …szyn – szerokość toru
- może meandrować
- tworzy gęsty kożuch na wodzie
- rdzawobrązowy, długodzioby ptak łowny
- sędzia z pistoletem
- przyboczna, przemysłowa lub przednia
- górna powierzchnia wyrobiska
- dawna wizytowa długa marynarka
- Kazimierz Kutz lub Jerzy Ciurlok
- kropka i przecinek razem
- konstrukcja, po której spływa solanka
- i Waits, i z Jerrym
- Sofokles albo Ajschylos
- siedzisko Dagoberta
- do rzęs albo grany
- tęgość, korpulencja
- długo ją żywi pamiętliwy
- dźwignia w zawieszeniu auta
- strugany zarozumialec
- mineralna nie z owiec
- karane jest naganą, grzywną lub aresztem
- charakterystyczna artykulacja słów
- Hoovera – na rzece Kolorado
- wołowy z kaszą gryczaną i sosem
- powinny płynąć prosto z serca

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-887”. Do rozlosowania płyty „Krzysztof Herdzin. Concerto and Concertino” ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 16 grudnia 2018 r.

Rozwiązanie „JOLKI-884” z 25 listopada: *Z armaty nie strzelaj do muchy.* Nagrody otrzymują: Ewa Guczalska z Bydgoszczy, Edmund Kowalów ze Szczecina, Zenonna Łojewska z Legionowa.

eprasa.pl a838ec7ecc

PENETRACJE

Press **PROF. JAN KANIA,** MEDIOZNAWCA, POLITECHNIKA KOSZALIŃSKA

Kluczowym mankamentem polskiego kolportażu jest brak właściwej i pogłębionej współpracy wydawców na rzecz jego odpowiedniego zorganizowania i funkcjonowania. Przywiązanie do ostrej rywalizacji, konkurencji, eksponowania własnych interesów blokuje porozumienie w tej konkretnej sprawie, jaką jest kolportaż. Pozostaje to w całkowitej sprzeczności ze sposobem postępowania wydawców w krajach tzw. starej Unii, którzy pomimo wielu dzielących ich różnic potrafią się łączyć wokół problemów kolportażu.

Zawód:Architekt **MAGDALENA PAWLAK,** ARCHITEKTKA, PARALOTNIARKA

Co panią tak zauroczyło?

– Przede wszystkim poczucie wolności i tego, że wszystko zależy ode mnie, bo to ja podejmuję decyzje. I niezwykła jedność z przyrodą. W przypadku paralotni do poruszania się wykorzystujemy w zasadzie tylko siły natury. Kiedyś leciałam razem z bocianami – to niezwykłe uczucie, którego nie sposób oddać słowami. Zdarza się, że krążymy w prawo, a ptaki w lewo i po jakimś czasie one zmieniają kierunek, przystosowując się do nas. Niesamowicie wyglądają też ptaki drapieżne, które czasami lecą w grupie. Lot paralotni w gruncie rzeczy odbywa się na podobnej zasadzie, dlatego staramy się je obserwować i naśladować. W górach w Słowenii leciałam też obok szybowca. On wydaje charakterystyczny dźwięk, taki delikatny szum. To muzyka dla uszu! Oczywiście leci dużo szybciej, bo ja rozwijam prędkość 30 km na godz., a on ok. 100. Ale pomachałam pilotowi i on mi odpowiedział.

TYGODNIK ANGORA **PROF. JOANNA WIBIG,** KIEROWNIK KATEDRY METEOROLOGII I KLIMATOLOGII UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

Uczciwie trzeba przyznać, że w ostatnich latach niektóre kraje Unii mogły sobie pozwolić na znaczną redukcję emisji dwutlenku węgla także dlatego, że część swojej produkcji przemysłowej przeniosły do państw Dalekiego Wschodu, przede wszystkim do Chin. Jest więc w tym sporo hipokryzji. Niemcy od lat spalają tyle samo węgla, ale z roku na rok produkują coraz więcej energii ze źródeł odnawialnych. W miejsce elektrowni atomowych budują ogromne farmy wiatrowe. My idziemy w przeciwnym kierunku. Chcemy budować elektrownię atomową i zlikwidować elektrownie wiatrowe.

charaktery magazyn psychologiczny **RAFAŁ OLBIŃSKI,** MALARZ, GRAFIK

Pół roku temu kupiłem sobie dobry rower, lekki, bo mieszkam na Starym Mieście w kamienicy bez windy, więc muszę go wnosić na czwarte piętro. Wniosłem go, przypiąłem łańcuchem i… nie miałem czasu tym rowerem pojeździć. Właściwie to wstyd, że na nim nie jeżdżę, ale jak obliczyłem, musiałbym na to wygospodarować co najmniej półtorej godziny. Pomyślałem więc, że lepiej będzie 10 razy wejść i zejść po schodach. Tak zrobiłem i zajęło mi to 13 minut.

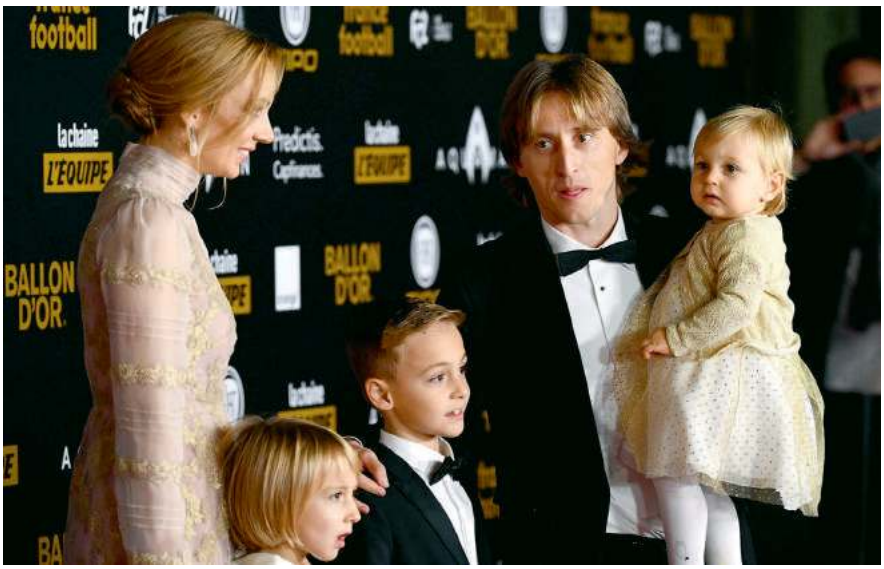

Luka Modrić świętuje z rodziną przyznanie tytułu Piłkarza Roku 2018. Przełamał dziesięcioletnią hegemonię Cristiana Ronalda i Leo Messiego.

FOT. AFP/EAST NEWS

Aby język giętki…

PROF. ANDRZEJ FRISZKE O IPN

PiS przekształciło go w instytucję lansowania jednej, partyjnej wizji państwa, partyjnej wizji polityki, partyjnej wizji narodu polskiego i jego tradycji.

PROF. MARCIN KRÓL O PATRIOTYZMIE

Patriotyzm to wspólnota ducha, a nie powtarzanie frazesów o ojczyźnie.

GEN. MIROSŁAW RÓŻAŃSKI O WOJSKACH OBRONY TERYTORIALNEJ

To nic więcej niż chwyt propagandowy Macierewicza. Ludzie zostali oszukani przez ministra, że w dwa tygodnie zrobi z nich żołnierzy.

JERZY URBAN O BISKUPACH

Nie są nawet statystami, tylko kolorowymi dekoracjami celebr państwowych.

ZBIGNIEW BONIEK O MEDIACH

Mamy sporo agresywnej młodzieży dziennikarskiej, sporo frustratów, ogromną skalę hejtu.

JERZY OWSIAK O MILCZENIU

Już nikt mnie nie powstrzyma, żeby mówić. Wokół dzieje się za dużo, żebym milczał.

DOROTA WELLMAN O KOBIECOŚCI

Uwielbiam gotować, prasować, prać i myć podłogę. Choć czasami mi się nie chce.

ADAM MAŁYSZ O SAMOCHODACH

Cały czas ciągnie mnie za kierownicę. Ale nie startuję, nie ma finansów, rajdy to bardzo drogi sport.

ANNA MARIA JOPEK O BEZLITOSNYM SHOW-BIZNESIE

Udaję siłaczkę i wszyscy się nabierają. Włącznie ze mną.

OLGIERD ŁUKASZEWICZ O TYM, JAK BYŁ „PIPĄ"

Tak mnie nazwał Wojtek Pszoniak. „Pipa" wszystkiego się czepia, chodzi, sprawdza, marudzi.

KINGA PREIS O MINIMALIZMIE

Mogłabym prowadzić w telewizji program „Eksterminator wnętrz – jak idealnie wyczyścić dom". Nie mam ani jednej rzeczy, o której myślę, że bez niej nie dam rady.

eprasa.pl a838ec7ecc

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Lepsi starsi

W Stanach Zjednoczonych zauważono ostatnio nowy trend – w restauracjach szybkiej obsługi coraz częściej młodzi pracownicy są wypierani przez seniorów. Według rekrutujących dysponują oni lepszymi miękkimi kwalifikacjami, takimi jak uprzejmość czy punktualność. Sieci *fast food* często same szukają starszych pracowników, kontaktując się z nimi poprzez kluby dla seniorów, parafie czy organizacje broniące praw osób starszych.

Na pokaz

Firma badawcza MobData z Szanghaju zbadała korelację zarobków Chińczyków z posiadanymi przez nich telefonami. Okazało się, że większość iPhone'ów sprzedawanych w Chinach kupują tzw. niewidzialni biedni, czyli ludzie, którym wcale nie powodzi się tak dobrze, ale na siłę próbują ukryć ten fakt. Zdaniem agencji właściciele iPhone'ów zarabiają mniej, rzadziej posiadają własne mieszkanie i mają gorsze wykształcenie niż użytkownicy np. smartfonów Xiaomi czy Huawei.

Nałogowe pytania

Psychologowie z PAN opracowali aplikację, która ma wspierać użytkowników w walce z nałogiem. Nałogometr, bo taką nazwę nosi projekt, ma monitorować zachowania nałogowe poprzez zadawanie pytań, które mają zmuszać użytkowników do zastanowienia się nad skalą problemu. Po 30 dniach korzystania z aplikacji system wygeneruje indywidualny raport, w którym zawarte będą informacje dotyczące przebiegu uzależnienia oraz tego, z czym jest związany głód nałogowy. Nałogometr powstał w ramach programu Ogólnopolskie Badanie Nałogów.

Praktyka czyni mistrza – członkowie mniejszości etnicznej Miao podczas święta Jiyou w Danzhai w Chinach.

Holowany myśliwiec

Mieszkańcy Petersburga mogli niedawno oglądać niecodzienne zjawisko – myśliwca na holu. Samolot Su-27 był podwieszony pod największy śmigłowiec świata Mi-26. 15-tonowy odrzutowiec został przetransportowany w ten sposób z bazy Lewaszowo do oddalonego o 60 km Kronsztadu, gdzie Su-27 trafił do muzeum.

Prezydent w Warsie

Wywodzący się z Zielonych prezydent Austrii Alexander Van der Bellen postanowił razem z austriacką delegacją pojechać na Szczyt Klimatyczny do Katowic pociągiem. Kiedy go podstawiono, okazało się, że wagon z rezerwacjami dla austriackiej delegacji nie dotarł z Katowic. Prezydent zaproponował, że delegaci pojadą w wagonie restauracyjnym i nie tracąc dobrego humoru, całą podróż relacjonował w mediach społecznościowych. Swoją wpadkę PKP tłumaczą tym, że nie wiedziały, że pociągiem będzie jechać delegacja, gdyż jej członkowie po prostu kupili bilety, nie zgłaszając tego faktu.

MEMY BEZ ŚCIEMY

Przegląd „PRZEGLĄD" NA ANTENIE Warszawa 101 FM DAB+ RDC

eprasa.pl a838ec7ecc

Przed szczytem PKP Intercity wdrożyły bowiem specjalną procedurę związaną z obsługą oficjalnych delegacji.

Wyspa izolująca

Centroprawicowy duński rząd i skrajnie prawicowa Duńska Partia Ludowa planują umieścić setkę ludzi na małej wyspie Lindholm. Mają to być cudzoziemcy skazani za zbrodnie oraz ci ubiegający się o azyl, których wnioski zostały odrzucone, a nie mogą wrócić do swojego kraju. Na wyspę tylko sporadycznie dopływa prom, a jest ona oddalona od lądu o 3 km. Mieszkańcy każdego dnia będą musieli meldować się w ośrodku na wyspie, w przeciwnym razie grozić im będzie więzienie.

Nie rzucimy mięsem

Walcząca o etyczne traktowanie zwierząt organizacja PETA chce, żeby frazeologizmy, w których znajdziemy odzwierzęce sformułowania, zostały zmienione na takie, które nie rażą wegetarian. W Wielkiej Brytanii toczy się na ten temat dyskusja. Równolegle w brytyjskim sądzie rozstrzygany jest spór o to, czy wegetarianizm można uznać za współczesną religię.

FOT. STR/AFP/EAST NEWS (2), FB/OCZKOMUSIEODLEPILOTEMUMISU, FB/ANONIMOWYINTERNAUTA, TWITTER/TONIEPRZEJDZIE

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Kacper Leśniewicz, Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:
Sandra Zawadzka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl a838ec7ecc

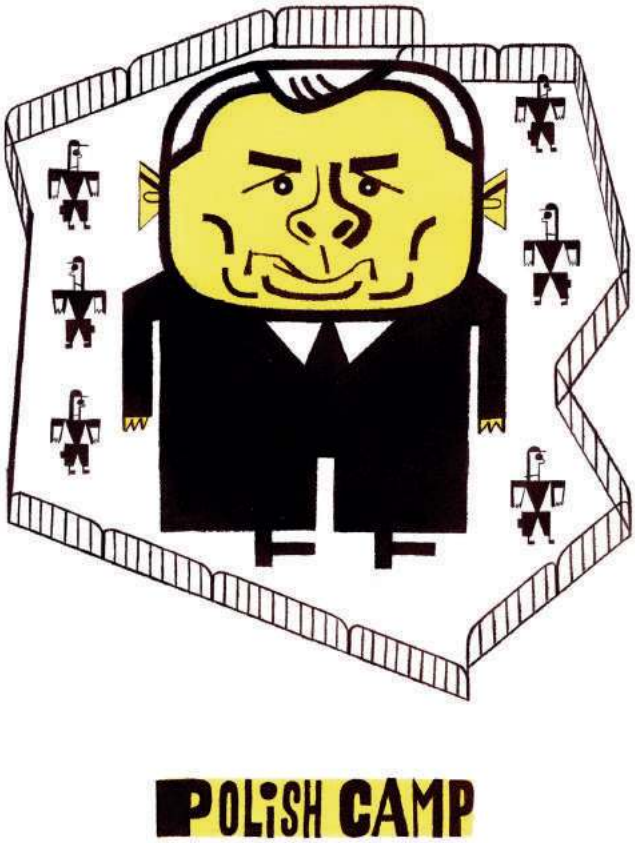

TOMASZ BRODA – Polish camp
złoty medal w kategorii „Żart i satyra”

LESZEK OŁDAK – Portret
srebrny medal w kategorii „Żart i satyra”

PATRONAT **PRZEGLĄDU**

NIKA JAWOROWSKA-DUCHLIŃSKA – Po ptakach
wyróżnienie w kategorii „Żart i satyra”

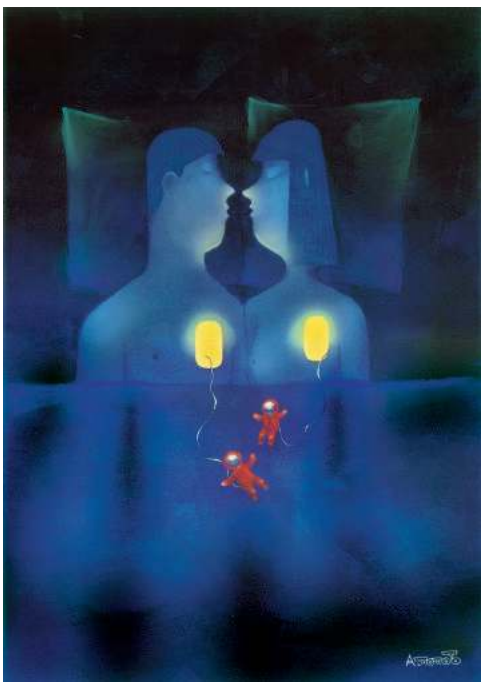

ANDREI POPOV – Przestrzeń
brązowy medal w kategorii „Empatia”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Satyrykon – Legnica 2018 to jeden z najważniejszych na świecie konkursów na rysunek satyryczny. Rokrocznie biorą w nim udział zarówno młodzi, jak i starsi twórcy, profesjonaliści i amatorzy z różnych stron świata. Na tegoroczną, 41. edycję zgłosiło się 584 autorów z 54 krajów, a na wystawę zakwalifikowano 174. W Muzeum Karykatury zobaczymy więc najciekawsze interpretacje motywu przewodniego, którym w tym roku jest „Empatia”, a także stałej kategorii „Satyra i żart”.

Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego, Warszawa, ul. Kozia 11, do 24 lutego

eprasa.pl a838ec7ecc

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

Bachantki

wg Eurypidesa

Adamczyk, Bożek, Chotkowski, Czachor, Duchnowski, Jarmicki, Kędzierski, Kleczewska, Koleśnik, Korzeniak, Łasowski, Olszak, Parol, Seweryn, Staal, Świeżewski, Żemła

premiera 7.12, kolejne pokazy: 12, 13, 14.12 oraz 5, 6, 8, 9.01.2019

Patroni medialni: wyborcza, wyborcza.pl WARSZAWA, cojestgrane24, AKTIVIST, Przegląd

Fot. Magda Hueckel

CAREY MULLIGAN
JAKE GYLLENHAAL
KRAINA WIELKIEGO NIEBA
reżyseria PAUL DANO
SONY PICTURES RELEASING INTERNATIONAL and STAGE 6 FILMS PRESENT IN ASSOCIATION WITH JUNE PICTURES A MAGIC CHILD / SIGHT UNSEEN / NINE STORIES PRODUCTION
IN ASSOCIATION WITH FILMNATION ENTERTAINMENT A FILM BY PAUL DANO "Wildlife" CAREY MULLIGAN ED OXENBOULD BILL CAMP AND JAKE GYLLENHAAL
LAURA ROSENTHAL ASSOCIATE PRODUCER DANI JOHNSON MUSIC SUPERVISOR SUSAN JACOBS COSTUME DESIGNER AMANDA FORD FILM EDITOR MATTHEW HANNAM
LOUISE FORD PRODUCTION DESIGNER AKIN McKENZIE DIRECTOR OF PHOTOGRAPHY DIEGO GARCIA EXECUTIVE PRODUCERS ZOE KAZAN TED DEIKER EDDIE VAISMAN
PRODUCED BY ANDREW DUNCAN ALEX SAKS PAUL DANO OREN MOVERMAN ANN RUARK JAKE GYLLENHAAL RIVA MARKER
BASED ON THE BOOK BY RICHARD FORD SCREENPLAY BY PAUL DANO & ZOE KAZAN DIRECTED BY PAUL DANO
June Pictures IX FILMNATION STAGE 6
na podstawie
bestsellerowej powieści „Wildlife"
laureata Nagrody Pulitzera
w kinach